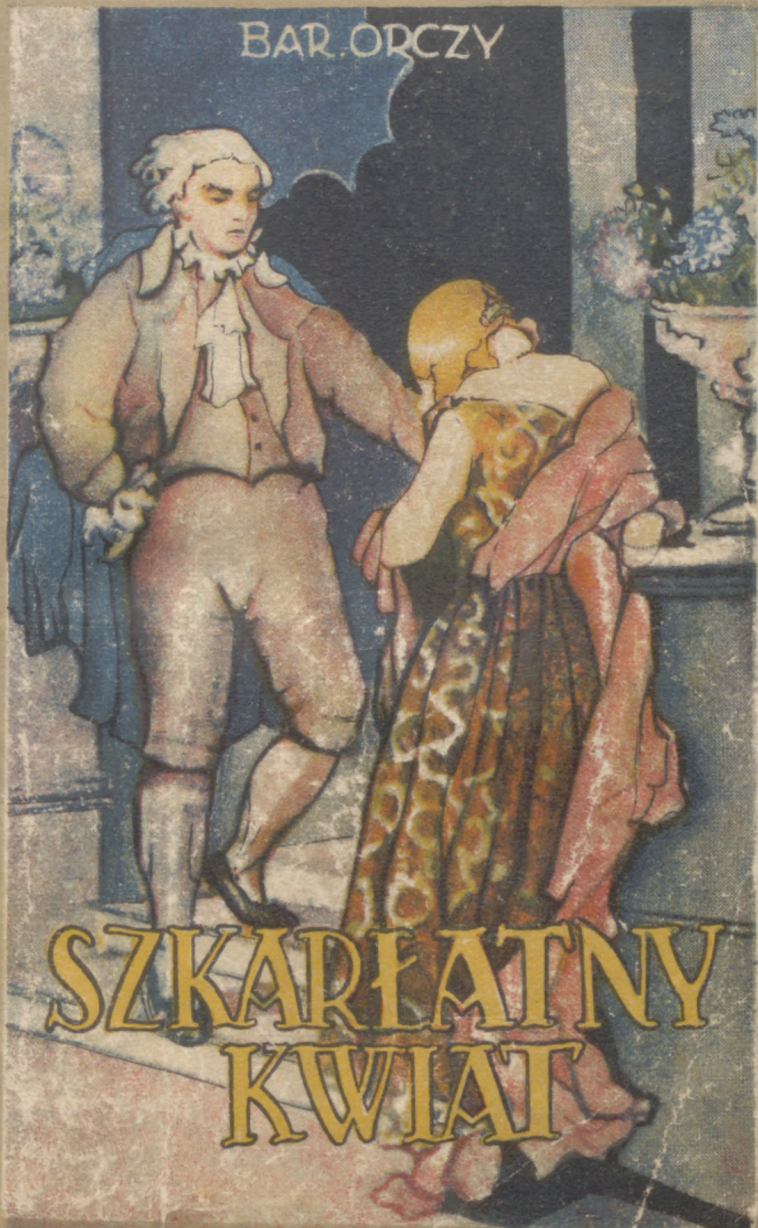
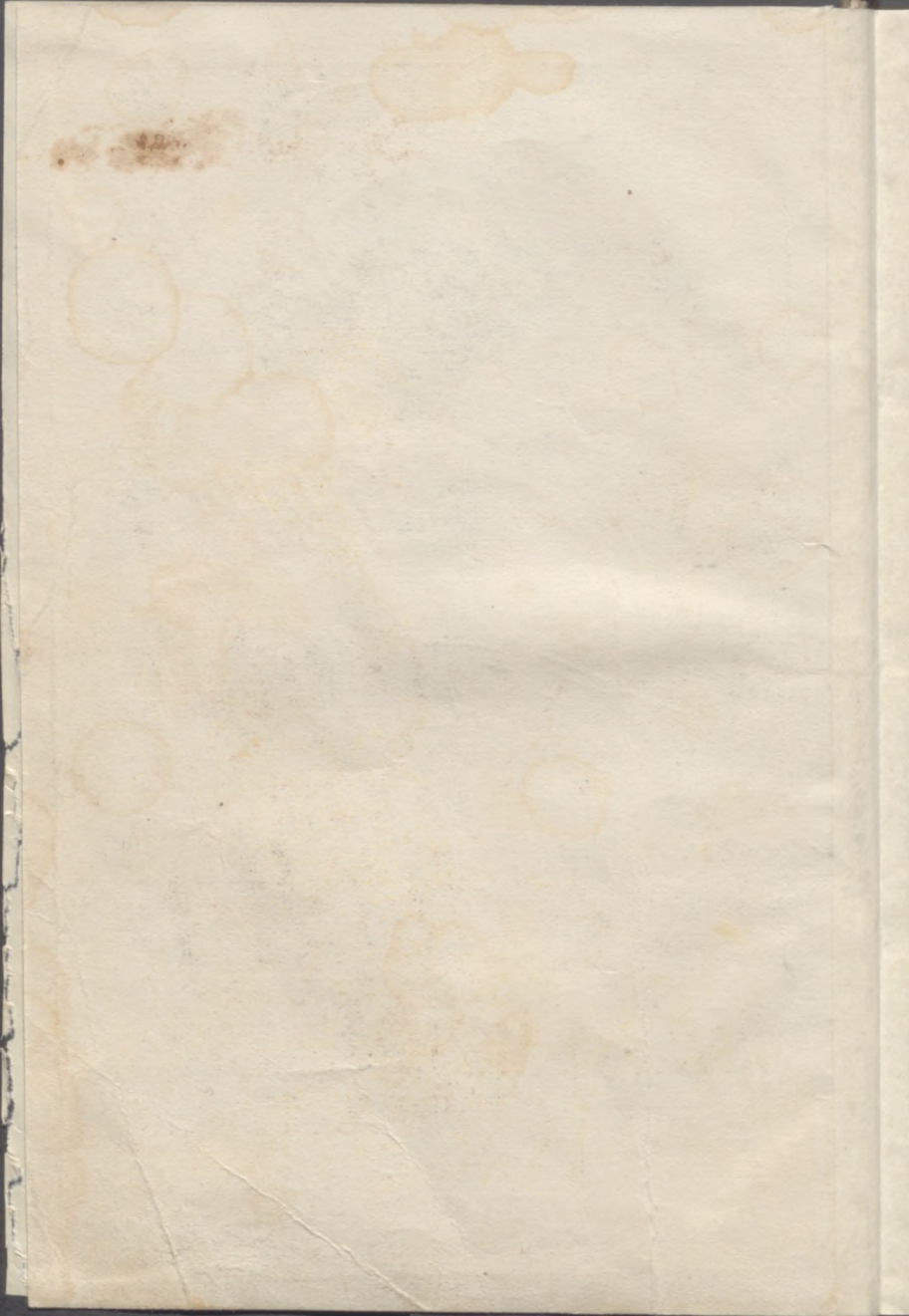


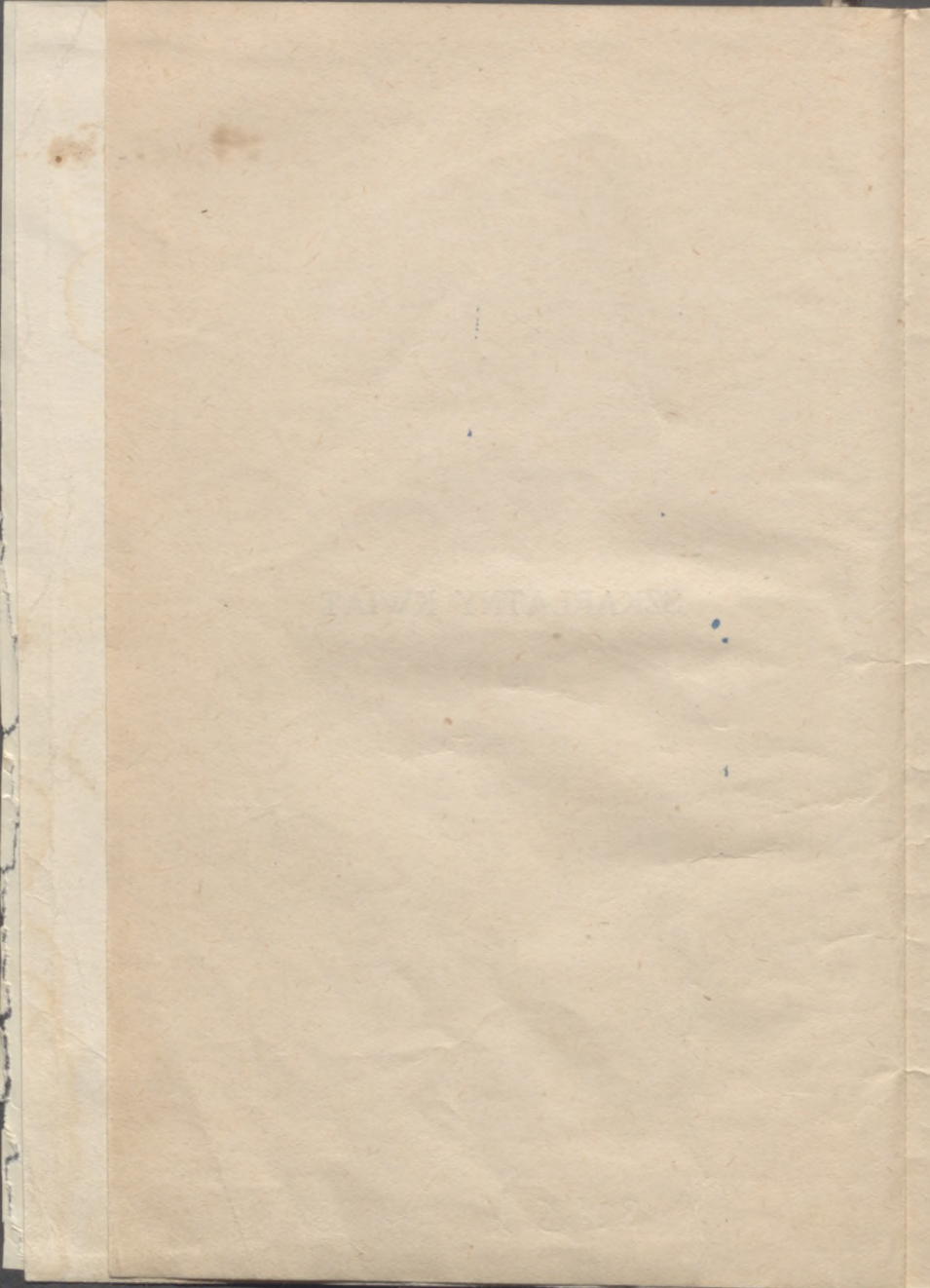
BAR. ORCZY



SZKARŁATNY
KWIAT



SZKARŁATNY KWIAT



332792

35517

BR. ORCZY

SZKARŁATNY KWIAT

POWIEŚĆ

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY Z ANGIELSKIEGO
PAULINY LEDÓCHOWSKIEJ



[19287]

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



332792

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA“.
WINIETA OKŁADKOWA POMYSŁU TERESY LEDOCHOWSKIEJ
WYKONANA TECHNIKĄ OFFSETOWĄ W ZAKŁADACH WŁASNYCH.

X.2168/64

ROZDZIAŁ I.

Paryż we wrześniu 1792 roku.

Zapadał zmierzch. Koło bramy zachodniej, tam gdzie dumny władca wznosił potem nieśmiertelny pomnik narodowej sławie i własnej próżności, kipiał wzburzony i hałaśliwy tłum. Była to dzicz potworna o rozbudzonych najniższych instynktach, dysząca nienawiścią i pragnieniem zemsty.

Przez cały niemal dzień gilotyna wykonywała ohydną funkcję. Wszystko co w minionych wiekach stanowiło chlubę Francji, jej stare rody i błękitna krew, padało ofiarą żądzy „wolności i braterstwa“. Rzeź zakończyła się dopiero z zapadającym zmrokiem, a inne, ciekawsze jeszcze widowisko czekało na motłoch przed ostatecznym zamknięciem miasta. Dlatego tłum opuścił „Place de la Grève“ i udał się ku rozlicznym bramom, gdzie codziennie wabiła go ciekawość. Bo też co to za szalone głowy ci arystokraci! Wszyscy co do jednego byli oczywiście zdrajcami ludu: mężczyźni, kobiety, dzieci i synowie wielkich rodów, które od czasu wojen krzyżowych okrywały chwałą Francję.

Ich poprzednicy uciskali lud, deptali go czerwonymi obcasami wytwornych trzewiczków o złotych

klamrach, a teraz lud stał się władcą Francji i miażdżył dawnych panów nie obcasami wprawdzie — bo chodził przeważnie boso — ale skuteczniejszym jeszcze ciężarem — nożem gilotyny.

I codziennie nienasycone i ohydne narzędzie tortury dopominało się o nowe ofiary: starców, młode kobiety, wątłe dzieci, nim nadszedł dzień, gdy gilotyna zawołała o głowę króla i pięknej królowej. Ale tak być musiało! Czyż lud nie stał się panem Francji, a arystokraci zdrajcami jak ich ojcowie? Dwieście lat lud w pocie czoła pracował i głodował, aby utrzymać dwór rozrzutny, a teraz potomkowie tych, którzy przyczyniali się do jego świetności, musieli się ukrywać albo uchodzić z kraju, chcąc uniknąć spóźnionej zemsty. Próby ich ucieczek dawały motłochowi najpociesniejsze widowiska. Każdego wieczoru przed zamknięciem bram miasta, gdy liczne wozy targowe wyjeżdżały z Paryża, niektórzy arystokraci próbowali umknąć ze szponów „komitetu bezpieczeństwa publicznego“. W rozmaitych przebraniach, pod różnemi pozorami podkradali się do bram tak dobrze strzeżonych przez żołnierzy republikańskich. Mężczyźni w sukniach kobiecych, kobiety w męskim przebraniu, dzieci pod łachmanami żebraków, ci „cidevant“ hrabiowie, markizowie, księżęta usiłowali przedostać się z Francji do Anglii lub innego przeklętego kraju, aby tam zwrócić obce narody przeciw walecznej republice, utworzyć armję i oswobodzić nikczemnych więźniów z Temple, którzy nazywali się niegdyś władcami Francji. Ale prawie zawsze ich przytrzymywano. Zwłaszcza u bra-

my zachodniej sierżant Bibot okazywał niezwykłą czujność i demaskował każdego arystokratę. Wtedy rozpoczynała się zabawa. Bibot patrzył na zdobycz jak kot na mysz złapaną, bawił się nią niekiedy dłużej niż kwadrans, udawał że wprowadziły go w błąd peruka lub inne sztuczki tego lub owego „cidevant“ markiza, albo hrabiego. Bibot miał rzeczywiście wiele sprytu i było na co patrzeć, gdy łapał zbiega przed zemstą ludu. Czasem przepuszczał faktycznie swą ofiarę przez bramę, aby przez chwilę miała złudzenie, iż uszła cało z Paryża, ale gdy biedak oddalił się na odległość dziesięciu metrów, Bibot posyłał za nią dwóch ludzi, którzy zawróciwszy go, zdzierali z niego przebranie.

Jakże się śmiano serdecznie, gdy okazało się, że zbieg był niewiastą, dumną markizą! A jak śmiesznie wyglądała w szponach Bibota, wiedząc, że na zajutrz czeka ją sąd, a potem czuły uścisk Madame la Guillotine! Nic więc dziwnego, że w ten piękny wieczór wrześnieowy tłum skupiony przy bramie Bibota dyszał ciekawością i podnieceniem. Żądza krwi zwiększa się z jej widokiem i nie zna przesyty. Widziano dzisiaj setkę głów spadających, chciano się upewnić, czy można liczyć jutro na sto nowych.

Bibot siedział na przewróconej beczce tuż przy bramie, mając przy boku oddział żołnierzy. Praca była ciężka. Ci przekłęci arystokraci, porwani panicznym strachem, czynili co mogli, aby wydostać się z Paryża. Jednak codziennie Bibotowi udawało się zdemaskować kilku monarchistów i posłać ich pod sąd „komitetu bezpieczeństwa publicznego“, któ-

rego przewodniczącym był ów dobry patriota, towarzysz Fouquier Tinville. Robespierre i Danton wynagrodzili Bibota za gorliwość, a on pysznił się, iż jego wyłączną zasługą była śmierć pięćdziesięciu arystokratów.

Ale dzisiaj wszyscy sierżanci na straży mieli wyjątkowe polecenia. W ubiegłych dniach wielu arystokratom udało się uciec i dostać do Anglii. Dziwne wieści krążyły o tych ucieczkach, które stawały się teraz dość częste i dziwnie zuchwałe. Wszystkie umysły były niemi poruszone. Wysłano na szafot sierżanta GrosPierre'a za to, że pod jego nosem cała rodzina wymknęła się przez bramę północną. Przekonano się, że te wyprawy organizowane były przez kilku Anglików, którzy z bezprzykładnem zuchwalstwem, mieszając się w nieswoje sprawy, ratowali ofiary przeznaczone dla Madame la Guillotine.

Wieści te przybierały niezwykle rozmiary. Bez wątpienia banda Anglików istniała, a wodzem jej był człowiek o wprost bajecznej odwadze i zuchwalstwie. Opowiadano, że on i arystokraci, których ratował, stawali się niewidzialni, gdy zbliżali się do bram i wychodzili z miasta zapomocą sił nadprzyrodzonych. Nikt nie widział tych tajemniczych Anglików, a co do ich wodza, to nie mówiono o nim inaczej, jak z zabobonnym lękiem. Tu towarzysz Fouquier Tinville otrzymywał pismo z niewiadomego źródła pochodzące, czasem znajdował je w kieszeni swego płaszcza, tam znów podawano mu list w tłumie, gdy szedł na posiedzenie „komitetu bez-

pieczeństwa publicznego“. Papier zawierał zawsze krótką wzmiankę, że banda intrygantów działa, a w rogu widniał mały szkarłatny kwiatek w formie gwiazdki.

W kilka godzin po otrzymaniu tej bezczelnej przesyłki towarzysze „komitetu bezpieczeństwa publicznego“ dowiadawali się, że pewna ilość monarchistów umknęła z Paryża i była w drodze do Anglii. Straż przy bramach została zdwojona, sierżantom zagrożono śmiercią, a równocześnie obiecano ogromne nagrody za schwycenie tych Anglików. Za pojmanie ich tajemniczego, nieuchwytnego przywódcy, ukrywającego się pod nazwą „Szkarłatnego Kwiatu“, ofiarowano pięć tysięcy franków nagrody.

Przypuszczano ogólnie, że Bibot będzie owym szczęśliwcem, któremu się to uda, i dlatego dzień po dniu ludzie gromadzili się przy bramie zachodniej, aby widzieć na własne oczy, gdy położy rękę na zbiegu, uchodzącym pod opieką tajemniczego Anglika.

— Towarzysz GrosPierre musiał być głupcem! — rzekł Bibot do swego wiernego kaprała — szkoda, że mnie nie było zeszłego tygodnia przy bramie północnej.

I splunął na ziemię, aby okazać pogardę dla naiwności kolegi.

— Jak to było, towarzyszu? — spytał kaprał.

— GrosPierre stał na straży przy bramie — zaczął z namaszczeniem Bibot, a tłum zbliżał się, aby słyszeć jego opowiadanie. — Wszyscy słyszeli o tym intrygancie, tym przekętym Szkarłatnym Kwicie,

ale przez moją bramę on nie przejdzie. Morbleu! chyba, że jest djablem wcielonym — chwalił się GrosPierre. Ale GrosPierre był głupcem. Wozy, powracające z jarmarku, wyjeżdżały powoli z miasta, jeden był naładowany beczkami, a na koźle siedział stary woźnica i chłopiec koło niego. GrosPierre był trochę podпиты, ale uważał się za mądrego. Zajrzał do niektórych beczek, były puste, więc pozwolił staremu przejechać przez bramę.

Szmer oburzenia przeszedł po tłumie obdartych nędzarzy, otaczających towarzysza Bibota.

— W niespełna pół godziny — ciągnął dalej sierżant — nadjeżdża kapitan gwardji z oddziałem kilkunastu żołnierzy. „Czy przejechał tędy wóz z beczkami?“ pyta bez tchu GrosPierre'a. „Tak, przejechał temu pół godziny“, odrzekł GrosPierre. „I pozwoliłeś mu uciec?“ krzyknął ze złością kapitan. „Pójdiesz za to na szafot, towarzyszu sierżancie! W wozie był ukryty „cidevant“ książę de Chalis i cała jego rodzina.“ „To nie może być!“ zawołał przerażony GrosPierre. „Jakto nie! a furmanem był nie kto inny, tylko ten przeklęty Anglik, Szkarłatny Kwiat.“

Tłum zawył ze zgrozy.

— Towarzysz GrosPierre odpokutował swą pomysłkę na gilotynie, ale doprawdy, żeby takim być głupcem!

Bibot śmiał się tak bardzo z własnego opowiadania, że nie mógł przyjść do siebie. Gdy się trochę uspokoił, ciągnął dalej:

— „A teraz, moi ludzie“, zawołał po chwili kapitan, „myślcie o nagrodzie, gdyż zbiegi nie mogą być daleko!“ i pomknął przez bramę, otoczony żołnierzami.

— Ale już było za późno! — zawołał tłum.

— Już ich nie złapano!

— Dobrze zrobiono GrosPierre'owi, czemu był taki głupi!

— Czemu nie obejrzał dokładnie wszystkich beczek!

— Zasłużył na swój los!

Te wykrzykniki bawiły Bibota tak serdecznie, że aż go w boku kłuło ze śmiechu, a łzy spływały mu po policzkach.

— Nie, nie! — rzekł wreszcie — nie było arystokratów w wozie! Woźnicą nie był „Szkarłatny Kwiat!

— Co?

— Nie! kapitan gwardji był „Szkarłatnym Kwiatem“ w przebraniu, a żołnierze arystokratami!...

Na te słowa tłum umilkł. To zdarzenie było wprost cudowne, a choć republika ciemniła religję, nie udało jej się całkowicie zgładzić strachu przed siłami nadprzyrodzonymi w sercach tłumu. Nikt nie miał więc wątpliwości: ten Anglik na pewno był wcielonym djabelem.

Słońce skłaniało się wolno ku zachodowi i Bibot zabrał się do zamykania bramy.

— Wozy naprzód! — zawołał.

Kilkanaście krytych płótnem wozów stanęło w długim szeregu, gotowe do opuszczenia miasta,

aby na drugi dzień rano znów przyjechać na targ z produktami wiejskimi. Bibot znał je wszystkie, gdyż przejeżdżały tędy codziennie dwa razy. Zwrócił się do woźniców — a były to przeważnie kobiety — i zaczął przeszukiwać wozy.

— Nie można nikomu wierzyć — rzekł głośno — i nie dam się złapać jak ten głupi GrosPierre.

Owe kobiety spędzały prawie zawsze cały dzień na „Place de la Grève“ koło gilotyny, robiąc na drutach i plotkując, podczas gdy na plac zajeżdżały liczne ofiary teroru. Przypatrywały się z lubością, jak Madame la Guillotine przyjmowała zaproszonych gości. Bibot przez cały dzień pełnił służbę na placu, znał więc te stare wiedźmy „tricoteuses“, jak je nazywano, które siedziały spokojnie, podczas gdy spadała głowa za głową, obryzgując je krwią.

— Hej tam, matko! — rzekł Bibot do jednej z tych okropnych kobiet — co ty tam masz?

Widział ją wczesnym rankiem tego dnia, gdy z robotą w ręku, z batem leżącym obok, siedziała na „Place de la Grève“. Teraz miała przyczepiony do bata rząd loków wszystkich odcieni — od złotych do srebrnych, jasnych i ciemnych i głaskała je swemi ogromnemi kościstymi palcami, śmiejąc się do rozpuku.

— Zawarłam przyjaźń z kochankiem Madame la Guillotine — rzekła. — Obcina je dla mnie ze spadających głów. Na jutro obiecał mi więcej, ale nie wiem, czy będę mogła przyjść na zwykle miejsce.

— A to dlaczego, matko? — zapytał Bibot, który choć twardym był żołnierzem, wzdrygnął się

z obrzydzeniem na widok tej ohydnej kobiety i jej wstrętnych zdobyczy.

— Mój wnuk zachorował na ospę — rzekła, wskazując wewnątrz wozu. — Niektórzy mówią, że to dżuma, a w takim razie nie pozwolą mi jutro przyjechać do Paryża.

Na wzmiankę o ospie Bibot cofnął się trwożnie, ale gdy stara wiedźma wspomniała o dżumie, odskoczył od wozu jak oparzony.

— Niech cię diabli wezmą! — syknął przez zęby.

— Raczej niech ciebie diabli wezmą, towarzyszu, żeś taki tchórz. To dopiero wojak, który boi się choroby!

— Morbleu, dżuma!

Ale i tłum skamieniał ze strachu wobec potwornego widma choroby. Ona jedna mogła jeszcze wzbudzić uczucie lęku i obrzydzenia w tych posępnych duszach.

— Wynoś się czempredzej z zapowietrzonym dzieciakiem! — wrzasnął ochryple Bibot.

Z nowym wybuchem śmiechu i przekleństwem na ustach stara kobieta zacięła chudą szkapę i przejechała przez bramę.

Ten wypadek zepsuł wesoly nastrój. Widmo nieuleczalnej choroby, zwiastunki powolnej i samotnej śmierci stanęło przed oczami tłumu. Ludzie snuli się w głuchym milczeniu, zerkając podejrzliwie jeden na drugiego i unikając się wzajemnie, jakgdyby dżuma wisiała już nad ich głowami.

Nagle w galopie nadjechał kapitan gwardji. Znał go Bibot doskonale, więc nie było niebezpieczeństwa, aby się nagle zamienił w chytrego Anglika.

— Wóz? — krzyknął ochrypłym głosem, nim dojechał do bramy.

— Jaki wóz? — spytał szorstko Bibot.

— Wóz ze starą wiedźmą — kryty wóz!

— Było ich kilkanaście...

— Stara kobieta, która twierdziła, że jej wnuk ma dżumę...

— Tak.

— Nie puściłeś ich przez bramę?

— Morbleu! — jęknął Bibot, którego czerwone policzki powlekły się trupią bledością.

— W wozie była ukryta cidevant hrabina de Tournay i jej dwoje dzieci! — wszyscy zdrajcy i skazani na śmierć...

— A woźnica? — szepnął Bibot, wstrząśnięty zabobonnym dreszczem przerażenia.

— Sacré tonnerre! — zawołał kapitan — zdaje się, że to był ów przeklęty Anglik we własnej osobie — ów słynny „Szkarłatny Kwiat“!...

ROZDZIAŁ II.

„Odpoczynek Rybaka“ w Dover.

Sally była bardzo zajęta w kuchni. Rondle, garnki i brytwanny stały rzędem na ogromnej blasze, a na rożnie obracała się zwolna wspaniała pieczeń wołowa. Dwie młode kuchareczki zziądane i zaczerwienione od ognia, zakasawszy rękawy do łokcia, zwiły się żwawo, chichocząc i rozmawiając pociachu. Stara Jemina, potężna w objętości, ale spokojniejsza temperamentem niewiasta, mieszała różne przyprawy nad ogniem, mrużąc coś pod nosem.

— Sally, Sally! — odezwały się z kawiarni wesole, ale niezbyt melodyjne głosy.

— Czegoż oni znów chcą? — zawołała śmiejąc się Sally.

— Z pewnością piwa — mruknęła Jemina — chyba nie przypuszczasz, aby Jimmy Pitkin zadowolił się jednym dzbanem.

— Pan Harry ma . . . wisiąj niezwykle pragnienie — dodała Marta, jedna z kuchareczek, a czarne jej oczy błysnęły figlarnie w stronę towarzyszki, na co obie parsknęły cichym, zduszonym śmiechem.

Sally spojrzała na nie groźnie i już wycierała dłonie o smukłe biodra, aby wypoliczkować Martę, ale

pohamowała się i wzruszając tylko ramionami, zajęła się smażonemi kartoflami.

— Hej, Sally, Sally!

I dźwięk naczyń cynowych, któremi goście uderzali o stoły dębowe kawiarni, zawtórował niecierpliwym głosem.

— Sally! — krzyknął ktoś ostro — czy całą noc czekać będą na piwo?

— Mógłby też ojciec sam ich obsłużyć — odparła gniewnie Sally, ale Jemina bez dalszych komentarzy ujęła z półki kilka dzbanów cynowych i zaczęła nalewać do pułarów owo niezrównane szumiące piwo, z którego sływał „Odpoczynek Rybaka“ od czasów króla Karola.

— Twój ojciec jest zanadto zagłębiany w polityce z panem Hempseedem, aby nam pomagać i troszczyć się o kuchnię — rzekła zasapana Jemina.

Sally podeszła śpiesznie do małego lusterka, wiszącego w kącie kuchni, przyglądziła ciemne włosy, poprawiła czepek na głowie, bacząc, by jej było w nim do twarzy, i ująwszy szklanki za uszka po trzy w śniade ręce, weszła uśmiechnięta do kawiarni.

Kawiarnia „Odpoczynek Rybaka“ uważana dzisiaj za ciekawy zabytek przeszłości, nie miała jeszcze z końcem ośmnastego wieku owego historycznego charakteru, jaki nadało jej następne stulecie, choć i wówczas robiła wrażenie odwiecznej budowli. Belki i wiązania dębowe były czarne od starości, tak jak i ławki z wysokiem oparciem i długie stoły, na

których puahary cynowe pozostawiły nieprzeliczone i fantastyczne kręgi.

Rząd czerwonych pelargonij i niebieskich ostrózek stojących na oknie, odbijał barwnie od ciemnego tła dębowego dworku.

Wszyscy wiedzieli, że pan Jellyband, właściciel „Odpczynku Rybaka“ w Dower, był człowiekiem zamożnym. Naczynia cynowe i rondle miedziane, stojące na pięknych starych półkach, świeciły jak złoto i srebro, a czerwona podłoga błyszczała, nieczem szkarłatne pelargonje na oknie. Wszędzie zauważyć można było staranny i czujny nadzór, a dzięki dobrej i pracowitej służbie zajazd odznaczał się wielkim porządkiem i nawet pewną elegancją.

Gdy Sally weszła na salę, odsłaniając w uśmiechu rząd lśniących białych zębów, przyjęto ją głośniei objawami zadowolenia.

— Tu, Sally! piękna Sally! Tu! Hurra!

— Myślałem, żeś ogłuchła w tej kuchni — mruknął Jimmy Pitkin, wodząc dłonią po swych wyschłych ustach.

— Patrzcie, co za gwałt! — śmiała się Sally, stawiając świeżo napełnione puahary na stole. — Czy babka twoja umiera, że się tak śpieszysz do domu, aby jeszcze ujrzeć tę biedną duszę, nim wyjdzie z ciała? Nigdy nie widziałam takiego pośpiechu.

Chór rubasznego śmiechu i zaczepnych żartów odpowiedział Sally, która już teraz nie śpieszyła się do garnków i rondli. Młodzieniec o jasnej falistej czuprynie i niebieskich żywych oczach pochłaniał całą

jej uwagę, a tymczasem żarty o nie istniejącej babce Jimmy Pitkina krążyły dalej po sali wraz z ciężkimi kłębami dymu.

Naprzeciw ogniska z długą glinianą fajką w zębach stał sam gospodarz, szanowny pan Jellyband, właściciel „Odpoczynku Rybaka“, jak jego ojciec, dziad i pradziad. Wysoki, dobronuduszy, już trochę łyrawy, był w rzeczy samej typem wiejskiego John Bulla owych czasów, kiedy dla każdego Anglika, czy był lordem, chłopem, mieszczaninem, cały kontynent Europy był otchłanią zepsucia, a reszta świata krajem dzikich i ludożerców.

Nasz zacny gospodarz zatem, ćmiąc długą fajkę, nie troszczył się o nikogo, lekceważąc sobie wszystkich z drugiej strony kanału. Miał na sobie typową czerwoną kurtkę z lśniącymi mosiężnymi guzikami, aksamitne spodnie, popielate pończochy i zgrabne buciki z klamerkami — zwykły ówczesny strój każdego szanującego się właściciela zajazdu w Wielkiej Brytanji. I kiedy na barkach ładnej Sally, która po śmierci matki objęła gospodarstwo, spoczywał cały ciężar pracy, pan Jellyband rozprawiał o polityce ze swymi wybranymi gośćmi.

Kawiarnia oświetlona dwoma jasnymi lampami, zwieszającymi się od powały, wyglądała nader wesoło i przytulnie. Z pośród gęstych kłębów dymu widniały czerwone twarze gości pana Jellybanda, zadowolone, roześmiane, w zgodzie ze sobą, gospodarzem i całym światem. Ze wszystkich stron pokaju głośne objawy wesołości wtórowały ożywionym, choć niezbyt wzniosłym rozmowom, a bez-

ustanny śmiech Sally świadczył, że nie nudziła się w towarzystwie Harry Waite'a.

Kawiarnię pana Jellybanda zaszczycała obecnością przeważnie rybacy, szczególnie cierpiący na pragnienie, gdyż sól, którą wdychają na morzu, wysusza im gardło. Ale „Odpoczynek Rybaka“ był czemś więcej jeszcze, niż zajazdem dla ludzi prostego stanu. Niemal codzień stawały przed jego bramą londyńskie pojazdy, a także podróżni, którzy wracali z kontynentu, zatrzymywali się u gościnnego pana Jellybanda i zapoznawali się z jego sławnymi francuskimi winami i wybornem domowem piwem.

Było to w końcu września 1792 roku. Ciepłe i pogodne przez cały miesiąc powietrze zmieniło się nagle. Przez dwa dni potoki deszczu zalewały południową Anglję, niweczając wszelkie nadzieje pomyślnego zbioru jabłek, gruszek i późnych śliwek. I teraz bił deszcz w okna, a wpadając przez komin, syczał na rozpalonych węglach ogniska.

— Czy widział kto taką słotę we wrześniu, panie Jellyband? — spytał pan Hempseed, siedzący przy ogniu.

Pan Hempseed był bardzo cenioną osobistością w „Odpoczynku Rybaka“. Pan Jellyband uważał go za doświadczonego polityka na całą okolice, słynącego z czytania i biegłości w Piśmie świętem. Pan Hempseed miał jedną rękę wsuniętą w szeroką kieszeń aksamitnych spodni, w drugiej trzymał długą, glinianą fajkę i patrzył z rozdrażnieniem na strumienie wody, spływające po szybach okiennych.

— Zdaje mi się, że nie — odrzekł pan Jellyband — a jestem w tych stronach 60 lat.

— Chyba nie pamiętasz, co się działo w trzech pierwszych latach twego życia — spokojnie odpowiedział pan Hempseed. — Nie widziałem nigdy małego dziecka, zwracającego uwagę na pogodę, przynajmniej w tych okolicach, a ja tu żyję 75 lat!

Wyższość tego argumentu była tak niezbita, że mimo zwykłej gadatliwości gospodarz nie wiedział co odpowiedzieć.

— To wygląda raczej na kwiecień, niż na wrzesień — ciągnął dalej pan Hempseed żałośnie, gdy znów krople deszczowe zasyczały w ogniu.

— Rzeczywiście — potwierdził gospodarz — ale wróciwszy do polityki, czego spodziewać się można od takiego rządu, jaki mamy teraz?

Pan Hempseed pokiwał znacząco głową, okazując głęboką pogardę dla angielskiego klimatu i angielskiego rządu, i odparł:

— Niczego się nie spodziewam. Tacy biedni ludzie jak my nie mają nic do gadania w Londynie; wiem o tem i nie skarżę się, lecz przy podobnej pogodzie we wrześniu wszystkie moje owoce gniją i idą na marne jak owe pierworodne dzieci egipskich matek, które zginęły bez żadnej korzyści, jeno oswoodziły hołotę żydowską, handlującą pomarańczami i zagranicznymi owocami. Nikt nie kupowałby ich przeklętych owoców, gdyby angielskie gruszki i jabłka dojrzały jak się należy. Pismo święte mówi...

— Masz rację — odparł Jellyband — ale nie można, jak mówię, czego innego się spodziewać. Ci

wszyscy francuscy szatani z drugiej strony kanału mordują swego króla, szlachtę, a panowie Pitt, Fox i Burke kłócą się między sobą i namyślają, czy my Anglicy mamy na to pozwolić, czy nie? Niech się mordują wzajemnie, mówi pan Pitt. Nie pozwolić im, mówi pan Burke...

— A ja mówię, niech się mordują ile chcą i niech ich diabli wezmą — odrzekł Hempseed wyniośle. Nie przywiązywał bowiem żadnej wagi do politycznych poglądów swego przyjaciela Jellybanda, który zawsze zbaczał z toku rozmowy i nie dorastał do tego, aby roztaczano przed nim skarby wiedzy tak powszechnie cenionej.

— Niech się mordują — powtórzył — byleby nie było takiego deszczu we wrześniu. To sprzeciwia się wszelkim prawom, a Pismo święte mówi...

— Przestań, panie Harry! Umrę chyba ze śmiechu! — krzyknęła Sally właśnie w chwili, gdy pan Hempseed zamierzał wygłosić jedną z ulubionych cytat z Pisma świętego.

Okrzyk ten wywołał wybuch gniewu ojcowskiego.

— Cóż to znowu, Sally? — rzekł Jellyband, marszcząc groźnie brwi. — Zaprzeżaj tych głupich żartów z młokosami i idź do roboty.

— Ależ, ojcze! Robota, zawsze ta robota...

Pan Jellyband wszakże był wielkim despota. Miał inne widoki dla jedynaczki, przyszłej dziedziczki „Odpočzynku Rybaka“, niż małżeństwo z młodym chłopcem, którego jedynym źródłem zarobku był połów ryb.

— Czy słyszysz, co mówię? — zawyrokował tym przyciszonym dobitnym głosem, któremu nikt w za-jeździe nie śmiał się sprzeciwić. — Zajmij się kolacją dla lorda Tony'ego i pamiętaj, że jeżeli lord nie będzie zadowolony, to na pewno coś oberwiesz.

Sally posłusznie wyszła z pokoju.

— Czy oczekujesz pan zapowiedzianych gości dziś wieczorem? — spytał Jimmy Pitkin, chcąc odwrócić od Sally uwagę gospodarza.

— Tak — odrzekł pan Jellyband. — Czekam na przyjaciół lorda Tony'ego, których młody lord, jego towarzysz sir Andrew Ffoulkes i inni dżentelmeni wydarli ze szponów tych francuskich djabłów.

Ale tego było już za dużo dla przekornego pana Hempseeda.

— Poco oni to robią? nie rozumiem celu mieszania się w cudze sprawy. A Pismo święte mówi...

— Być może — przerwał mu Jellyband z goryczą; — jesteś przecie przyjacielem pana Pitta i powtarzasz za panem Foxem: niech się mordują. Nie ma w tem nic dziwnego.

— Przepraszam — zaprotestował słabo Hempseed — tego nie mówiłem.

Ale gdy raz panu Jellybandowi udało się dosiąść ulubionego konika, nie dał tak łatwo za wygranę.

— Zaprzyjaźniłeś się z pewnością z jednym z tych francuskich szpiegów, którzy kręcą się między nami, aby przerabiać nas Anglików na ich modłę.

— Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć — mruknął niechętnie Hempseed — wiem tylko, że...

— A ja wiem — głośno zawołał gospodarz — że mój dobry znajomy Peppercorn, właściciel „Niebieskiego Dzika“, był prawym Anglikiem, jakich mało, a teraz? Pokumał się z kilkoma amatorami żabich nóżek, z tymi zepsutymi przekłętymi szpiegami i co się stało? Peppercorn rozprawia teraz o rewolucji, wolności, o zgładzeniu arystokratów, zupełnie tak, jak przed chwilą pan Hempseed.

— Przepraszam — zaprzeczył znów miękko zagadnięty — nie pamiętam, abym był kiedykolwiek...

Gospodarz, opowiadając o występkach imci pana Peppercorna, zwrócił się do całego zebranego grona gości, którzy z przejęciem go słuchali. Przy jednym stole dwaj mężczyźni, ubrani jak dżentelmeni, odsunęli nabok zaczęta partję domina i z nietajoną ciekawością przysłuchiwali się jego wywodom. Gdy skończył, jeden nieznanomy ze złośliwym uśmiechem zwrócił się do pana Jellybanda:

— Mój szanowny gospodarzu — rzekł spokojnie — owych francuskich szpiegów, jak ich nazywacie, uważasz za bardzo przebiegłych ludzi, jeżeli potrafili w tak krótkim czasie zmienić zapatrywania twego przyjaciela Peppercorna. Jestem ciekawy, jak się do tego wzięli?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że zdołali go przekonać. Ci Francuzi, słyszałem, mają nadzwyczajny dar wymowy, a pan Hempseed wytłumaczy ci, w jaki sposób potrafią niektórych ludzi tak otumanić.

— Czy tak, panie Hempseed? — zapytał grzecznie nieznanomy.

— Nie wiem, panie — odparł gniewnie zapytany — czy zdołam udzielić panu żądanych informacji.

— Mniejsza z tem — rzekł nieznajomy — ufajmy, szanowny gospodarzu, że te przekłete szpiegi nie potrafią przemienić twych wzniosłych poglądów.

Tego już było za wiele dla pana Jellybanda. Parsknął gwałtownym śmiechem, a zawtórowali mu wszyscy jego dłużnicy.

— Ha, ha, ha! Hi, hi hi! — śmiał się tak serdecznie, że aż w boku go kłóło, a z oczu lży kapały. — Mnie? mnie? słyszycie? mnie przekonać i moje zasady zmienić? Jak Boga kocham, panie, opowiadasz nadzwyczaj zabawne rzeczy!

— Słuchaj — odparł Hempseed uroczyście — czy wiesz, co Pismo święte mówi? Kto stoi, niech patrzy, aby nie upadł.

— Ależ, panie Hempseed — odparł Jellyband, trzymając się wciąż za boki. — Pismo święte mnie nie znało! Nie chciałbym wychylić nawet jednej szklanki piwa z tymi francuskimi mordercami, a cóż dopiero słuchać ich wywodów! Słyszałem, że ci amatorowie żabich nówek nie umieją nawet mówić po angielsku, a gdyby jeden z nich zwrócił się do mnie z zapowietrzonym językiem, tobym od razu mu pokazał plecy, gdyż strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Szanowny gospodarzu — rzekł rozbawiony nieznajomy — widzę, iż jesteś tak przebiegły, że dałbyś radę i dwudziestu Francuzom; a teraz zdrowie twoje! Czy chcesz uczynić mi ten zaszczyt i wypić ze mną butelkę wina?

— Jesteś pan bardzo uprzejmy — odpowiedział Jellyband, wycierając oczy, które mu wciąż jeszcze łzami zachodziły ze śmiechu. — Przyjmuję z wdzięcznością

Nieznajomy napełnił winem dwa puhary i podał jeden gospodarzowi.

— Musimy przyznać, my uczciwi Anglicy, że mimo wszystko jest to dobra rzecz, której nam Francja dostarcza.

I ten sam złośliwy uśmiech zaigrał na jego cienkich wargach.

— Nikt z nas temu nie zaprzeczy — zapewnił Jellyband.

— A teraz zdrowie — rzekł nieznajomy donośnym głosem — najzaciejszego gospodarza w Anglii, pana Jellybanda.

— Hurra, hurra! — odpowiedziała cała sala i brzęk potrącanych puharów zmieszał się z wesołymi głosami biesiadników. Jellyband zaś wciąż jeszcze dowodził zcicha:

— Twierdzić, że mnie mógłby przekonać taki przez Boga wyklęty cudzoziemiec! Jak Boga kocham, dziwne rzeczy pan mówisz!

Nieznajomy uspokoił go wkońcu zapewnieniem, że istotnie nierozsądne byłoby twierdzenie, iż ktokolwiek mógłby zachwiać jego silnymi zasadami i przekonać go do mieszkańców ładu Europy.

ROZDZIAŁ III.

Ocaleni.

Oburzenie na Francję i jej politykę wzrastało w Anglii z dniem każdym. Przemysłowcy i kupcy, handlujący na wybrzeżu francuskim i angielskim, roznosili wieści, burzące krew każdemu uczciwemu Anglikowi i parły go do zbrojnego wystąpienia przeciw mordercom, którzy uwięzili własnego króla, całą jego rodzinę i narazili królowę z dziećmi na wszelkiego rodzaju upokorzenia; teraz zaś głośno żądali krwi całej rodziny Bourbonów i jej zwolenników. Śmierć haniebna księżnej de Lamballe, młodej i uroczej przyjaciółki Marji Antoniny, przejęła całą Anglię niepojętą grozą. Codzienne egzekucje monarchistów, których jedyną winą było historyczne nazwisko, wołały o pomstę w całym cywilizowanym świecie.

Dotąd jednak nikt nie odważył się na otwarty protest. Burke wyczerpał całą wymowę, aby nakłonić rząd angielski do wystąpienia przeciw rewolucjonistom francuskim, ale z drugiej strony Pitt twierdził, że kraj nie był przygotowany na tak kosztowną i zaciętą wojnę. Austria, mawiał, winna rozpocząć pierwszy krok, Austria, której córka była obecnie tylko zdetronizowaną królową, uwięziona

i znieważaną przez oszalały tłum. Nie było to znów wystarczającym powodem dla Anglii, tłumaczył znowu Fox, aby uchwycić za broń dlatego, że jedna część Francuzów uważała za stosowne wymordować drugą.

Pan Jellyband zaś i jego przyjaciele chociaż spoglądali na każdego cudzoziemca z miążdżącą pogardą, byli wszyscy monarchistami i antyrewolucjonistami. Nie mogli więc darować Pittowi jego umiarkowania, nie rozumiejąc dyplomatycznych względów, które skłaniały do ostrożności owego wielkiego męża stanu.

Wtem Sally wpadła żywo do pokoju. Wesoła kompanja, zebrana w kawiarni, nie słyszała tętentu konia na dziedzińcu, ale Sally spostrzegła przybywającego jeźdźca, który zatrzymał się przed „Odpoczynkiem Rybaka“. I gdy pacholek nadbiegł, aby zająć się koniem, Sally skoczyła żwawo do drzwi frontowych na powitanie gościa, wołając:

— Zdaje mi się, ojcze, że to koń lorda Antoniego.

W tej chwili drzwi się otworzyły od zewnątrz i ramię okryte płaszczem, z którego spływały ciężkie krople deszczu, objęło drobną kibić pięknej Sally. Równocześnie wesoły głos zawołał:

— Bóg ci zapłać za to, żeś ładnymi czarnymi oczyma ujrzała mnie tak bystro.

Na te słowa szanowny Jellyband zbliżył się w podrygach i uprzejmych ukłonach, witając uniżenie jednego z najwytworniejszych swych gości.

— Ile razy cię widzę, panno Sally, zawsze jesteś ładniejszą — dodał lord Antony, ucałowawszy zapłnione policzki dziewczyny. — Szanowny nasz przyjaciel Jellyband musi mieć niemały trud, aby odganiać chłopców od tej zgrabnej figurki. Czy nie tak, mości Waite?

Pan Waite, krępowany uszanowaniem względem mylorda, odpowiedział tylko lekkim mruknięciem, nie lubiąc tego rodzaju żartów.

Lord Antony Dewhurst, jeden z synów księcia of Exeter, reprezentował typ wytwornego młodego angielskiego dżentelmana. Był wysoki, dobrze zbudowany, o ujmującej powierzchowności, i wszędzie wnosił dźwięczny, młodociany śmiech. Zręczny sportowiec, miły towarzysz, dobrze wychowany człowiek światowy, choć trochę lekkomyślny, był powszechnym ulubieńcem salonów londyńskich i wiejskich zajazdów. Wszyscy go znali w „Odpoczynku Rybaka“, gdyż urządzał częste wycieczki do Francji i zawsze jadąc i wracając, spędzał noc pod dachem pana Jellybanda.

Kiwnął przyjaźnie głową Waite'owi, Pitkinowi i całej kompanji, siedzącej w kawiarni, i zbliżył się do ognia, aby osuszyć zmoczone odzienie i ogrzać się cokolwiek. W mgnieniu oka spostrzegł dwóch nieznanym, zabierających się spokojnie do nowej partji domina, rzucił na nich krótkie, podejrzliwe wejrzenie i przez chwilę głęboka zaduma, czy niepokój zaćmiły jego wesołą, młodą twarz. Ale tylko przez chwilę, bo równocześnie prawie zwrócił się

do pana Hempseeda, który z uszanowaniem skłonił się przed nim.

— A co będzie z owocami? — zapytał uprzejmie.

— Żle, mylordzie, źle — odparł ze smutkiem zagadnięty. — Ale... co będzie z tym naszym rządem, sprzyjającym zbójom francuskim, którzy chcą zamordować swego króla i zgubić całą szlachtę?

— Oni rzeczywiście tego chcą — odparł lord Antony; — mordują, kogo im się uda złapać, ale mamy kilku przyjaciół, którzy wyslizgnęli się z ich szponów i dziś w nocy tu będą.

Mówiąc te słowa, rzucił nieufne wejrzenie na ludzi, siedzących w rogu pokoju.

— Dzięki tobie i twoim towarzyszom, jak sły-
szałem, mylordzie — odrzekł pan Jellyband.

Ale na te słowa lord Antony chwycił za ramię gospodarza i ostrzegawczo spojrzął na dwóch nieznajomych.

— Niema się czego obawiać, mylordzie — szepnął Jellyband — nie byłbym się odezwał w ten sposób, nie będąc pewny, z kim mamy do czynienia. Ów pan jest takim samym wiernym poddanym naszego króla Jerzego, jak ty sam. Przyjechał niedawno do Dower dla ważnych interesów.

— Dla interesów? Może to jaki przedsiębiorca zakładów pogrzebowych, gdyż nigdy nie widziałem tak ponurej miny.

— Jest wdowcem, mylordzie, i z pewnością dlatego tak posepnie wygląda. Ale przysięgam, że jest z naszych, a musisz przyznać, że nikt lepiej ode mnie,

właściciela tak popularnego zajazdu, nie potrafi oceniać ludzi.

— W takim razie wszystko w porządku, jeżeli jesteśmy wśród swoich — odrzekł lord Antony, który widocznie nie miał zamiaru rozpoczynać dyskusji z gospodarzem. — Ale powiedz mi, czy mieszka ktoś obecnie u ciebie?

— Nikt, mylordzie, i nikogo się nie spodziewam, prócz...

— Próż?...

— Nie będziesz, mylordzie, miał nic przeciwko temu?

— Któż to?

— Sir Percy Blakeney i jego żona będą tu za chwilę, ale nie pozostaną długo.

— Lady Blakeney? — zawołał lord Antony ze zdziwieniem.

— Tak, mylordzie. Pacholek sir Percy'ego był tu przed chwilą. Powiedział, że brat mylady wyjeżdża do Francji dziś na „Day Dream“, jachcie sir Percy'ego, a lord Blakeney i mylady przyjadą aż tu, aby go pożegnać. Czy ci to nie dogadza w czemkolwiek?

— Ależ nie, przyjacielu, wszystko mi dogadza z warunkiem, aby kolacja, którą nam poda miss Sally, była najlepszą, jaką kiedykolwiek przyrzadziła w „Odpoczynku Rybaka“.

— Niema obawy, mylordzie — odparła Sally, nakrywając do stołu, który ślicznie wyglądał z pięknym bukietem kolorowych astrów w pośrodku, nie-

biesko-chińską porcelaną i świecącemi cynowemi pułarami.

— Na ile osób mam nakryć, mylordzie?

— Na pięć, nadobna Sally, ale niech posiłek będzie przygotowany przynajmniej na dziesięć; nasi przyjaciele przybędą zmęczeni i głodni. Ja zaś zjadłbym chętnie całego wołu.

— Jada! jada! — zawołała wesoło Sally, gdy w oddali rozległ się tętent zbliżających się koni. W kawiarni zawrzało jak w ulu. Wszyscy byli ciekawi ujrzeć przyjaciół lorda Antony'ego, przybywających z drugiej strony kanału. Sally przejrzała się znów w lusterku, wiszącym na ścianie, a Jellyband wybiegł copędzej przed dom, aby przywitać dostojnych gości. Tylko dwaj nieznanomi w kącie pokoju nie brali udziału w ogólnem podnieceniu. Spokojnie grali dalej w domino, nie oglądając się nawet na drzwi wchodowe.

— Prosto przed siebie, hrabino, i drzwi na prawo — objaśniał głos dźwięczny.

— Rzeczywiście to oni — zawołał radośnie lord Antony. — Sally, podaj zupę jak najpędzej.

Drzwi się otworzyły szeroko i na salę, poprzędzone przez klaniającego się w pas Jellybanda, weszły cztery osoby, dwóch panów i dwie panie.

— Witajcie, witajcie w starej Anglii! — zawołał ze wzruszeniem lord Antony, idąc naprzeciw nowo przybyłych z wyciągniętymi ramionami.

— Pan z pewnością jesteś lordem Antony Dewhurst? — rzekła jedna z pań wybitnie obcym akcentem.

— Do usług, madame — odpowiedział, całując ze czcią ręce obu pań. Następnie zwróciwszy się do mężczyzn, gorąco uściskał im dłonie.

Sally pomogła paniom zrzucić z siebie podróżne płaszcze, poczem obie, skostniałe z zimna, zwróciły się do jasnego i wesołego kominka, a Sally żwawo pobiegła do kuchni. Jellyband w ciągłych ukłonach przysunął do ognia kilka krzeseł, a Hempseed śpiesznie się oddalił. Wszyscy patrzyli ciekawie na nieznanomych.

— Cóż wam mogę powiedzieć, panowie? — zapytała starsza pani, grzejąc nad ogniem kształtne ręce i patrząc z niewysłowioną wdzięcznością na lorda Antony'ego i na jednego z towarzyszków podróży, który zdejmował ciężki, zakapturzony płaszcz.

— Że jesteś pewno zadowolona z przybycia do Anglii, hrabino, i że nie zmęczyła cię za nadto ciężka podróż — odrzekł lord Antony.

— Jesteśmy tak bardzo szczęśliwi — odparła, a oczy jej napelniły się łzami — że zapomnieliśmy już o przebytych cierpieniach.

Głos był miły i wdzięczny, a z zachowania jej biła godność i powaga. Cierpienia wyryły piętno na jej pięknej, klasycznej twarzy, okolonej wspaniałymi, śnieżno-białymi włosami, upiętymi wysoko nad czołem według mody ówczesnej.

— Nie wątpię, że mój przyjaciel, sir Andrew Ffoulkes okazał się uprzejmym towarzyszem podróży, madame.

— Sir Andrew był wcieloną dobrocią! Czy potrafimy kiedykolwiek wywdziękzyć się wam, panowie?

Jej towarzyska, drobna, młodziutka panienska, na której twarzy malował się smutek i śmiertelne znużenie, nie odezwała się dotąd ani jednym słowem, ale jej oczy duże, czarne, pełne łez, utkwione były z uwielbieniem w twarzy sir Andrew Ffoulkesa. Gdy wzrok ich spotkał się, słodka jej twarzyczka zarumieniła się nieco pod jego wejrzeniem.

— Tak, jesteśmy w Anglii — rzekła wreszcie, oglądając z dziecinną ciekawością wielki piec, dębowe belki powały i rybaków o szczerych brytyjskich twarzach.

— Skrawek to Anglii tylko, mademoiselle — odpowiedział sir Andrew z uśmiechem — ale cała jest na twoje usługi.

Młoda panienska zaczerwieniła się znowu, lecz tym razem słodki uśmiech ożywił jej delikatną twarzyczkę. Zamilkli oboje, lecz zrozumieli się odrazu, jak rozumieją się zawsze młodzi tajemną wymową swych serc.

— Kolacja! — zawołał wesołym głosem lord Antony. — Prosimy o kolację, panie Jellyband! Gdzie jest wasza panienska i waza z zupą? Idź po nią zamiast tu stać i gapić się na panie, które tymczasem mdleją z głodu.

— Chwileczkę cierpliwości, mylordzie — tłumaczył się Jellyband, otwierając śpiesznie drzwi do kuchni.

— Sally! Sally! moje dziecko — zawołał — czy jesteś gotowa?

Sally była gotowa i równocześnie prawie stanęła w drzwiach, niosąc olbrzymią wazę, z której buchał obłok pary i miły zapach.

— Nareszcie! — rzekł lord Antony, podając z wytworną uprzejmością ramię hrabinie i pytając, czy laska? — poprowadził ją do stołu.

Hempseed, jego przyjaciele i reszta rybaków usunęli się, aby nie przeszkadzać dostojnemu towarzystwu. Tylko dwaj nieznajomi nie ruszyli się z miejsca, grając dalej w domino i popijając wino. Przy drugim stole pozostał też Harry Waite, wodząc oczami za piękną Sally i hamując wzrastający wciąż gniew. Córka Jellybanda była istotnie śliczną i pełną wdzięku dziewczyną, nic więc dziwnego, że młody, uczuciowy Francuz, jakim był wicehrabia de Tournay, nie mógł ócz oderwać od jej świeżej twarzyczki. Liczył zaledwie lat 19, a nieszczęścia, które wstrząsały jego ojczyzną, nie przejmowały go zbyt głęboko. Ubrany gustownie, nawet wykwintnie, pragnął jak najprędzej zapomnieć o okropnościach rewolucji wśród przyjemności angielskiego życia.

— Jeżeli Anglja jest taka, jak się dziś przedstawia — rzekł, patrząc uporczywie na Sally — to jestem całkiem zadowolony.

Jedynie uszanowanie Harry Waite'a dla dostojnych gości, a głównie dla lorda Antony'ego, wstrzymało wybuch jego nienawiści ku młodemu cudzoziemcowi. Zaklął tylko zcicha, zaciskając pięście.

— Ale wobec tego, że to jest Anglja — odrzekł z naciskiem lord Antony — musisz uważać, lekko-

myślny młodzieńcze, aby nie wprowadzać luźnych obyczajów do najmoralniejszego z krajów.

Wszyscy siedli do stołu, hrabina zajęła miejsce po prawej ręce lorda Antony'ego. Jellyband uwijał się wkoło, przystawiając krzesła i napełniając szklanki, Sally zaś rozlewała zupę.

Towarzysze wyprowadzili wreszcie ze sali Harry Waite'a, wzburzonego i podnieconego wzrastającym podziwem wicehrabiego dla Sally.

— Susanne! — rozległ się ostry, rozkazujący głos hrabiny.

Zuzanna zaczerwieniła się ze wstydu. Stojąc koło ogniska z rękoma w dłoniach młodego Anglika, zapomniała zupełnie, gdzie się znajduje, i dopiero głos matki przywrócił ją do rzeczywistości. Z pokornem „tak, mamó“ przybliżyła się śpiesznie do stołu i zmieszana siadła do kolacji.

ROZDZIAŁ IV.

Liga „Szkarłatnego Kwiatu“.

Wszyscy mieli twarze, promieniejące zadowoleniem, nawet szczęściem przy tym wspólnym posiłku: i sir Andrew Ffoulkes, i lord Antony, przystojni młodzi Anglicy z wielkiego świata, i wytworna francuska hrabina z dwojgiem dzieci, której udało się ująć śmierci, znalazłszy bezpieczne schronienie na brzegach gościnnej Anglii.

W rogu pokoju dwaj nieznajomi ukończyli tymczasem rozpoczętą partję. Jeden z nich powstał i obróciwszy się plecami do wesołego towarzystwa, nałożył starannie zakapturzony płaszcz, rzucił krótkie spojrzenie wkoło siebie, a widząc, że wszyscy byli zajęci rozmową, szepnął słówko towarzyszowi, który błyskawicznie ze zdumiewającą zręcznością wsunął się bez szmeru pod stół dębowy. Nieznajomy w płaszczu zaś z głośnem „dowidzenia“ spokojnie opuścił kawiarnię.

Nikt nie zauważył tego dziwnego zdarzenia i gdy zakapturzona postać zamknęła drzwi za sobą, wszyscy odetchnęli z ulgą.

— Nareszcie sami! — zawołał radośnie lord Antony.

W tej chwili młody wicehrabia de Tournay powstał z puhaem w rękę i z uprzejmością, znamionującą owe czasy, podniósł go w górę, mówiąc łamaną angielszczyzną:

— Zdrowie jego królewskiej mości króla Jerzego III-go angielskiego! Niech mu Bóg błogosławi za jego gościnność dla nas wszystkich, biednych wygnańców francuskich!

— Zdrowie króla! — powtórzyli lord Antony i sir Andrew, podnosząc puhary.

— Zdrowie jego królewskiej mości, króla Ludwika francuskiego! — dodał sir Andrew uroczyście. — Niech go Bóg strzeże i dopomoże do zwycięstwa nad wrogami!

Wszyscy wstali i wychylili wino w milczeniu. Dola nieszczęśliwego monarchy francuskiego, więźnia własnego narodu, rzuciła cień smutku nawet na uśmiechniętą twarz Jellybanda.

— Wznoszę toast na cześć hrabiego de Tournay de Basserive! — rzekł lord Antony wesoło. — Obyśmy mogli niebawem powitać go w Anglii!

— Ach, panie! — odparła hrabina, sięgając po kieliszek drżącą ręką i podnosząc go do ust. — Nie śmiem nawet ufać...

Lord Antony nalał zupe, a Jellyband ze Sally zaczęli roznosić talerze wkoło stołu. Rozmowa ucichła, wszyscy zajęli się posiłkiem.

— Odwagi, hrabino! — ciągnął po chwili lord Antony. — Mój toast nie był zbyt śmiały. Będąc sama, hrabino, z panną Zuzanną i mym przyjacielem wice-

hrabią, tak bezpieczną w Anglii, musisz nabrać otuchy o los hrabiego.

— Całą moją nadzieję pokładałam w Bogu — odpowiedziała z ciężkim westchnieniem. — Mogę się tylko modlić i... ufać.

— Ależ naturalnie, pani. Ufność w Bogu przede wszystkim, ale spuść się też trochę na naszych angielskich przyjaciół, którzy obiecali przeprowadzić hrabiego szczęśliwie przez kanał, jak to uczynili z tobą, pani.

— Mam, panie, najgłębsze zaufanie do ciebie i twoich towarzyszy. Sława wasza rozeszła się już po całej Francji. Sposób, w jaki niektórzy z moich znajomych wymknęli się ze szponów okrutnego trybunału rewolucyjnego, był wprost cudowny, a wszystko dzięki tobie i twoim towarzyszom.

— Pani, byliśmy tylko wykonawcami.

— Ale mój mąż — ciągnęła dalej, a łzy tamowały jej mowę — jest w tak okropnem niebezpieczeństwie! Nigdy nie byłabym go opuściła, chodziło jednak o dzieci! Nie wiedziałam, co było moim ważniejszym obowiązkiem, one nie chciały jechać beze mnie, a wy zapewnialiście tak uroczyście, że mego męża też ocalicie. Ale teraz, gdy jestem tutaj wśród was, w tej pięknej wolnej Anglii, myślę o nim. Ścigają go, a on ucieka, kryje się jak biedne osaczone zwierzę, w takim niebezpieczeństwie! Ach, czemuż go opuściłam!...

Biedna kobieta była złamana. Zmęczenie, troski i trwoga zwyciężyły jej energję i dumę. Płakała

cicho. Zuzanna zerwała się z krzesła i czule objęła matkę za szyję, starając się ją uspokoić.

Lord Antony i sir Andrew milczeli. Głęboko byli wzruszeni, ale jako prawdziwi Anglicy niechętnie ujawniali swe uczucia. Ukrywając pod maską milczenia współczucie, wyglądali raczej na zmieszanych i zakłopotanych.

— Ja zaś — odezwała się naraz Zuzanna, spoglądając z pod ciemnych loków na sir Andrew — mam ufność niezachwianą, że wyratujesz mego drogiego ojca, tak, jak i nas wyratowałeś...

Słowa te wypowiedziała z taką mocą i wiarą, że w jednej chwili osuszyła łzy matki, a uśmiech zawitał znowu na ustach wszystkich.

— Zawstydzasz mnie, panienko — odparł sir Andrew. — Choć życie moje jest na twoje usługi, byłem tylko skromnem narzędziem w rękach naszego wielkiego wodza, który zorganizował i uskutecznił waszą ucieczkę.

Mówił z takim zapałem i przejęciem, że oczy Zuzanny spoczęły na nim z nietajonem zdumieniem.

— Wódz wasz, panie? — spytała hrabina z zaciekawieniem. — Ależ oczywiście, musicie mieć wodza, nie myślałam o tem przedtem. Powiedz mi zaraz, gdzie on jest? Muszę jak najprędzej iść do niego, rzucić mu się do nóg wraz z mojami dziećmi i podziękować za to, co uczynił dla nas.

— Niestety, pani — odparł lord Antony — to jest niemożliwe.

— Niemożliwe? dlaczego?

— Dlatego, że „Szkarłatny Kwiat“ pracuje w ukryciu, a jego nazwisko znane jest tylko najwierniejszym towarzyszom. Ci zaś związani są uroczą przysięgą, aby dochować tej ważnej tajemnicy.

— Szkarłatny Kwiat! — rzekła Zuzanna z wesołym uśmiechem — co za szczególne imię! Co to ma oznaczać?

Patrzała na sir Andrewa ze wzrastającym zaciekawieniem. Twarz młodego człowieka mieniła się pod czarem tego nazwiska. Oczy jego błyszczały; miłość, uwielbienie, cześć dla bohatera i wodza zdawały się pałać na jego obliczu.

— „Szkarłatny Kwiat“ — odrzekł po chwili skupienia — jest to mały, niepokazny kwiatek w formie gwiazdki, służący do ukrywania prawdziwego nazwiska, najszlachetniejszego i najodważniejszego człowieka na świecie, aby łatwiej mógł wypełniać wysokie zadanie, które wziął za cel swego życia.

— Ach tak — wmieszał się do rozmowy wicehrabia — słyszałem o tym „Szkarłatnym Kwicie“. Mały czerwony kwiatek, nieprawdaż? Mówią w Paryżu, że ile razy uda się monarchiście uciec do Anglii, ten szatan Fouquier Tinville otrzymuje papier z tym znakiem, wyrysowanym czerwoną barwą. Czy tak?

— Tak — odpowiedział lord Antony.

— W takim razie musiał taki papier otrzymać i dzisiaj?

— Jakże jestem ciekawa, co on na to powie — zawołała rozbawiona Zuzanna. — Słyszałam, że je-

dyna rzecz, która go przestraszyć może, to widok tego czerwonego kwiatka.

— Miejmy nadzieję, że nieraz jeszcze będzie miał sposobność go oglądać.

— To wszystko brzmi, panie, jak czarowna bajka, której zrozumieć nie jestem w stanie — rzekła hrabina.

— Nie próbuj, pani, rozwiązać tej tajemnicy.

— Powiedz mi przynajmniej, dlaczego wasz wódz i wy wszyscy wydajecie pieniądze i narażacie życie (bo narażacie je zawsze, ilekroć wstępujecie na ziemię francuską) dla nas, Francuzów, którzy jesteśmy dla was niczem?

— Dla sportu, hrabino, tylko dla sportu — zapewniał lord Antony, śmiejąc się wesoło. — Jak wiadomo, jesteśmy narodem sportsmenów, a teraz właśnie jest w modzie wrywać zająca z zębów psa myśliwskiego.

— Nie, nie, to nietylko sport! Jestem pewna, że macie wznioślejsze pobudki.

— Wierz mi, pani, i innego powodu nie szukaj. Kocham się w tej grze, bo to najciekawszy sport, jaki kiedykolwiek uprawiałem. Wyprawy, śmiałe przedsięwzięcia, życie wiszące na włosku i naraz... niema nas!

Ale hrabina niedowierzająco kiwała głową. Nie mogła uwierzyć, aby ci młodzi, bogaci, wysokiego rodu ludzie i wielki ich wódz mogli jedynie dla sportu narażać się bezustannie na tak straszne niebezpieczeństwa. Ich narodowość na ziemi francuskiej nie chroniła ich wcale. Każdy człowiek, który

popierał lub pomagał monarchistom, był natychmiast skazany i ścięty bez względu na narodowość. I ta garstka młodych Anglików w oczach nieprzeblaganego, krwiożerczego trybunału rewolucyjnego, w murach samego Paryża, śmiała wykradać skazane na śmierć ofiary, niemal u stóp gilotyny! Dreszcz lęku przeszył ją na nowo na wspomnienie wypadków, zaszłych niedawno: ucieczka z Paryża w krytym wozie, wraz z dwojgiem dzieci pod stosem kapusty i rzepy, strach tamujący oddech, gdy tłum krzychał przy bramie zachodniej: „A la lanterne les aristos!”

Wszystko miało przebieg wręcz cudowny. Oboje z mężem dowiedzieli się, że są umieszczeni na liście osób podejrzanych, co oczywiście oznaczało, że ich osądzenie i śmierć były tylko kwestją czasu. Potem zaświtała nadzieja ucieczki: tajemniczy list, podpisany zagadkowym czerwonym kwiatkiem, jasne energiczne wskazówki, pożegnanie z hrabią de Tournay, które rozdarło serce biednej kobiety, obietnice rychłego połączenia, ucieczka z dwojgiem dzieci, wóz kryty płótnem ze straszliwą wiedźmą na koźle, podobną raczej do szatana, ze swą wstrętną zdobyczą, przyczepioną do bata...

Hrabina rozglądała się po cichej starej sali angielskiego zajazdu, tchnącego bezpieczeństwem spokojnego kraju o prawdziwej wolności, religijnej i społecznej. Zamknęła następnie oczy, aby oddalić wciąż powracający obraz przerażonego tłumu przy bramie zachodniej, gdy stara wiedźma wspomniała o dżumie. Ukryta na spodzie wozu, każdej chwili spodzie-

wała się, że ją poznają, zawloką wraz z dziećmi przed sąd i na stracenie. Ci młodzi Anglicy pod rozkazami odważnego i tajemniczego wodza narażali życie, aby ratować ich wszystkich, jak wyratowali już kilkudziesięciu innych niewinnych ludzi. I to wszystko dla sportu Nigdy! Oczy Zuzanny, szukające spojrzenia sir Andrew, zapewniały go, że ma niezachwianą pewność, że on, właśnie on, ratował bliźnich dla wyższych pobudek.

— Ilu was jest w tej szlachetnej lidze? — zapytała nieśmiało.

— Dwudziestu — odrzekł. — Jeden rozkazuje, a dziewiętnastu słucha. Wszyscy jesteśmy Anglikami i wszyscy służymy tej samej sprawie: słuchać wodza i ratować niewinnych.

— Oby Bóg otaczał was swoją opieką, panowie! — rzekła gorąco hrabina.

— Pani! do tej chwili Bóg nam dopomagał.

— To rzecz wprost zdumiewająca! Jesteście wszyscy tacy odważni, tacy pełni poświęcenia dla bliźnich, będąc przecież Anglikami, a we Francji nie ma nic prócz zdrady, i to w imię wolności i braterstwa!

— Kobiety francuskie są jeszcze bardziej wrogo usposobione dla nas arystokratów niż mężczyźni — rzekł z westchnieniem wicehrabia.

— Ach! tak — potwierdziła hrabina, a w oczach jej odbił się wyraz najwyższej pogardy i goryczy. — Naprzykład taka kobieta, jak Małgorzata St. Just. Ona to zdradziła margrabiego de St. Cyra i całą jego rodzinę przed trybunałem rewolucyjnym.

— Małgorzata St. Just? — rzekł lord Antony, rzucając krótkie i niespokojne wejrzenie na sir Andrew. — Małgorzata St. Just? Jestem przekonany, że...

— Tak — odrzekła hrabina — znacie ją z pewnością. Była słynną aktorką w „Comédie française“, a potem wyszła za Anglika; musicie ją znać.

— Czy ją znamy? — zawołał lord Andrew. — Czy znamy lady Blakeney, najwytworniejszą damę w Londynie, żonę najbogatszego człowieka w Anglii? Naturalnie, że ją znamy!

— Była moją koleżanką w klasztorze paryskim — dodała Zuzanna — i przyjechałyśmy razem do Anglii, aby nauczyć się waszego języka. Lubiłam bardzo Małgorzatę i uwierzyć nie mogę, aby była zdolna uczynić coś podobnego.

— Jest to zupełnie nieprawdopodobne — rzekł sir Andrew. — Twierdzisz, hrabino, że niedawno zdradziła margrabiego de St. Cyr. W jakim celu byłaby to uczyniła? Musi to być pomyłka.

— Niema mowy o żadnej pomyłce — odparła zimno hrabina. — Brat Małgorzaty St. Just jest zaciekłym republikaninem. Zaszła jakaś sprzeczka między nim a moim kuzynem de St. Cyr. St. Justowie są plebejuszami, a republikański rząd ma wielu szpiegów... Zapewniam pana, że tu niema pomyłki. Nie słyszałeś nigdy o tej aferze?

— Przyznać muszę, że doszły mnie wieści o tej sprawie, ale nikt w Anglii nie daje temu wiary. Sir Percy Blakeney, mąż Małgorzaty, jest człowiekiem bardzo majątnym, ma wysokie stanowisko socjalne,

jest bliskim przyjacielem księcia Walji, a lady Blakeney nadaje ton całemu londyńskiemu towarzystwu.

— Być może, ale my będziemy wiedli bardzo spokojne życie w Anglii i proszę Boga, aby nie spotkać się z Małgorzatą St. Just, dopóki pozostanę w tym pięknym kraju.

Po tych słowach wśród gromadki spożywającej wieczerzę zapanowało głucho milczenie. Zuzanna posmutniała. Sir Andrew bawił się bezwiednie widelcem, a hrabina, siedząc w wysokim krześle, naburmuszona i wyniosła, wyglądała dziwnie sztywno i chłodno. Lord Antony od czasu do czasu rzucał stroskane spojrzenia na Jellybanda, bardziej jeszcze zakłopotanego niż on sam.

— O której godzinie spodziewasz się sir Percy'ego i lady Blakeney? — szepnął niepostrzeżenie do gospodarza.

— W każdej chwili, mylordzie — odparł cicho Jellyband.

Jeszcze nie skończył, gdy rozległ się daleki turkot najeżdżającego powozu. Z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy, usłyszano trzaskanie z bata i tętent kopyt końskich na nierównym bruku. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i wbiegł pacholek, wołając:

— Sir Percy Blakeney i mylady najeżdżają!

Zadzwończyły podkowy o kamienny dziedziniec, i wspaniały kocz, zaprzężony w cztery kasztany wysokiej krwi, stanął przed drzwiami „Odpoczynku Rybaka“.

ROZDZIAŁ V.

Małgorzata.

W mgnieniu oka gościnna kawiarnia zajazdu stała się widownią zamieszania i beznadziejnego popłochu.

Gdy pacholek oznajmił przybycie gości, lord Antony zerwał się na równe nogi i zaczął wydawać śpiesznie rozkazy biednemu Jellybandowi, który z przerażenia całkiem stracił głowę.

— Na miłość Boską, człowiecze — szepnął lord Antony — spróbuj zatrzymać lady Blakeney choćby na chwileczkę w przedpokoju, nim te panie zdążą wyjść z sali. Do kaduka! a to się dopiero udało!

— Prędko, Sally, światła! — krzyczał Jellyband, biegając tu i tam i powodując jeszcze większe zamieszanie w ogólnej sytuacji.

Hrabina wstała z krzesła sztywna i dumna, i starając się ukryć wzburzenie pod pozorem zimnej krwi, powtarzała machinalnie:

— Nie chcę jej widzieć, nie zobaczę jej!

W przedpokoju zaś ruch, spowodowany przyjazdem tak znakomitych gości, wciąż się powiększał.

— Dobry wieczór, sir Percy! Dobry wieczór, mylady! Najniższy sługa! — słychać było jakby chór głosów, przeplatany słabszem nawoływa-

niem. — Nie zapominajcie o biednym ślepym człowieku, zlitujcie się nad nim! poratujcie mnie, mylordzie, mylady!

Wśród tego zgiełku rozległ się dziwnie słodki i śpiewny głos o lekkim, cudzoziemskim akcencie:

— Nie wypędzajcie tego biedaka, dajcie mu jeść na mój rachunek, proszę was.

W kawiarni wszyscy mimowoli zamilkli. Lecz Sally trzymając lichtarze, szła już ku drzwiom, prowadzącym do sypialnych pokojów, a hrabina pośpieszyła za nią, uchodząc przed nieprzyjacielem o tak słodkim i melodyjnym głosie.

Zuzanna posłusznie zamierzała uczynić to samo; z żalem tylko rzucała spojrzenia na drzwi wchodowe, w których wciąż jeszcze miała nadzieję zobaczyć ukochaną koleżankę.

Jellyband otworzył drzwi, ufając, że zdoła żegnać katastrofę, wiszącą w powietrzu, lecz już ten sam cichy, wdzięczny głos odezwał się z żartobliwą skargą:

— Br... jestem przemoczona jak śledź. Dieu! czy kto widział taki klimat?

— Zuzanno, chodź ze mną natychmiast, czy słyszysz? — zawołała hrabina wyniośle.

— Mamo! — błagalnie szepnęła Zuzanna.

— Mylady... chwileczkę... hm... — jąkał się Jellyband, który stanął wpoprzek drzwi, aby nie dopuścić nowoprzybyłych do sali.

— Pardieu! przyjacielu — rzekła lady Blakeney z cieniem zniecierpliwienia w głosie — poco stoisz

przede mną i tańczysz jak kulawy indyk? Puść mnie do ognia, zmarzłam do szpiku kości!

I w jednej chwili odtrąciwszy lekko gospodarza, weszła do sali.

Istnieje dużo portretów i minjatur Małgorzaty St. Just, lady Blakeney, jak się wówczas nazywała, ale jest bardzo wątpliwe, aby znalazła się jedna podobizna, mogąca oddać w całej pełni nadzwyczajny jej wdzięk i urodę. Wysoka, ponad średnią miarę, o wspaniałej królewskiej postawie, była tak urocza, że nawet hrabina zatrzymała się, oczarowana jej widokiem.

Małgorzata Blakeney miała najwyżej lat 25, a uroda jej była w pełnym rozkwicie. Duży kapelusz, przybrany w miękkie falujące pióra, rzucał lekki cień na jej klasyczne czoło, okolone aureolą złotych włosów, tego dnia niepoddrowanych. Miała słodkie, niemal dziecięce usta, prosty, kształtny nos, okrągły podbródek i delikatną szyję, a czar jej podnosił jeszcze malowniczy strój ówczesny. Bogata suknia z niebieskiego aksamitu przylegała do jej zgrabnej figury; w drobnej ręce trzymała z wdziękiem sobie właściwym wysoką laskę, ozdobioną szerokim pękiem wstążek, wedle mody wprowadzonej niedawno przez wytworne panie.

Małgorzata objęła jednym rzutem oka cały pokój i osoby w nim się znajdujące. Skinęła uprzejmie głową sir Andrew Ffoulkesowi i podała rękę lordowi Antony'emu.

— Co robisz w Dower, mylordzie? — zapytała wesoło i nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do

hrabiny i Zuzanny. Twarz jej zajaśniała radością na widok młodej dziewczyny, i wyciągając do niej obie ręce, zawołała:

— Czy mnie oczy nie mylą? Czy to naprawdę moja Zuzia? Pardieu! jakim sposobem znajdujesz się w Anglii? i pani tu także?

Chciała się z nimi przywitać serdecznie, bez cienia zakłopotania w uśmiechu lub zachowaniu. Lord Antony i sir Andrew śledzili tę scenę ze wzrastającym niepokojem. Choć byli Anglikami, znali dostatecznie Francję i Francuzów, aby wiedzieć, z jaką nieubłaganą nienawiścią i nieugiętą pogardą stara szlachta francuska traktowała sprawców jej upadku.

Armand St. Just, brat pięknej lady Blakeney, choć uchodził za człowieka umiarkowanego, był zaciętym republikaninem i jego spór ze starożytną rodziną de St. Cyrów doprowadził ją do upadku i do całkowitego wymordowania jej członków. We Francji zatem St. Just ze swą partją zwyciężył, a tu na ziemi angielskiej wypędzeni wygnańcy, którzy dla ocalenia życia opuścili wszystko co wieki dobrobytu im w darze przyniosły, spotykali się z przedstawicielką tych samych republikańskich rodzin, które zwały tron i zniszczyły arystokrację, sięgając pochodzeniem zamierzchłych wieków.

Małgorzata stała przed nimi w całym blasku zachwalej urody i wyciągała ku nim delikatne dłonie, jakby chcąc tym ruchem puścić w niepamięć krwawe wypadki ostatnich czasów.

— Zuzanno, zakazuję rozmawiać ci z tą kobietą! — rzekła ostro hrabina, wstrzymując rękę córki.

Przemówiła po angielsku, aby mogli ją usłyszeć i zrozumieć nie tylko młodzi panowie, ale gospodarz i jego córka.

Ci oniemieli wprost z przerażenia wobec zuchwalstwa tej cudzoziemki dla myłady, która była teraz Angielką, jako żona sir Percy'ego, i przyjaciółką księżnej Walji.

Serca zaś lorda Antony'ego i sir Andrew zamarły ze zgrozy na tę straszną zniewagę. Z nie miłym wyrazem trwogi spoglądali ku drzwiom, za którymi brzmiał powolny, poważny, ale miły głos.

Jedynie Małgorzata Blakeney i hrabina de Tournay pozostały niewzruszone. Hrabina, sztywna i zuchwała, z ręką wciąż jeszcze na ramieniu córki, była uosobieniem nieugiętej dumy. Przez chwilę twarz Małgorzaty stała się tak białą, jak szal otaczający jej szyję, a bystry obserwator byłby zauważył, że ręka trzymająca wysoką laskę o barwnych wstążkach, zacisnęła się kurczowo i lekko zadrżała. Ale tylko przez chwilę. Wkrótce podniosła delikatne brwi, rozchyliła usta w ironicznym uśmiechu, a utkwivszy jasno-niebieskie oczy oczy w sztywnej twarzy hrabiny, rzekła, wzruszając ramionami:

— Cóż ci się stało, hrabino? Czy mucha cię ugryzła?

— Jesteśmy w Anglii — odparła zimno hrabina — i mam prawo zakazywać mej córce witać się z tobą. Chodź ze mną, Zuzanno.

Skinęła na córkę, nie spojrzawszy już na Małgorzatę Blakeney, złożyła głęboki, staromodny ukłon młodym ludziom i wyszła z pokoju.

Cisza zapanowała w sali starego zajazdu, dopóki szelest sukni hrabiny nie ucichł w korytarzu.

Małgorzata, jakby skamieniała, biegła roziskrzonymi oczyma za znikającą dumną postacią, ale gdy pokorna i posłuszna Zuzanna zbliżyła się też ku drzwiom, twarde wyraz znikł z jej twarzy. Z niewysłowionym smutkiem spojrzała na odchodzącą koleżankę.

Zuzanna to spostrzegła. Jej kochające dziecięce serce rwało się do pięknej kobiety, ledwo co od niej starszej; posłuszeństwo ustąpiło wobec przyjaźni. Rzuciła się ku niej i oplótłszy ramionami szyję Małgorzaty, uściskała ją serdecznie. Potem śpiesznie pobiegła za matką, poprzedzoną przez Sally.

Pocziwy i delikatny poryw Zuzanny zlagodził nieco przykre naprężenie. Sir Andrew popatrzył na odchodzącą, zgrabną postać dziewczęcia, a gdy znikła w cieniach korytarza, rzucił rozbawione oczy na lady Blakeney.

Małgorzata z przesadną afektacją posyłała ręką pocałunki w stronę pań, a uśmiech ironiczny igrał na jej ustach.

— Ach, sir Andrew, czy widziałeś kiedy tak nieprzyjemną osobę? Mam nadzieję, że na starość nie będę tak wyglądała.

Uniosła suknię i przybierając majestatyczną postawę, zaczęła kroczyć ku ognisku.

— Zuzanno — rzekła — naśladować głos hrabiny — zakazuję ci rozmawiać z tą kobietą!

Śmiech, który towarzyszył temu żartowi, był trochę wymuszony i twarde, ale ani sir Andrew,

ani lord Antony nie byli bystrymi obserwatorami. Naśladowała hrabinę tak znakomicie, dźwięk głosu jej był tak podobny, że obaj zawołali z podziwu: Brawo!

— Ach, lady Blakeney — rzekł rozbawiony lord Antony — jak bardzo komedja francuska musi odczuwać brak pani! Na pewno wszyscy znieawidzili sir Percy'ego za to, że się z tobą ożenił!

— Mój Boże, przyjacielu, nienawidzić sir Percy'ego jest rzeczą niemożliwą, jego dowcipy rozbrowiłyby samą nawet hrabinę!

Młody wicehrabia, który jeszcze nie był wyszedł za matką, uczynił krok naprzód, gotów wystąpić w jej obronie w razie, gdyby lady Blakeney zamierzała w dalszym ciągu bawić się jej kosztem, ale nim zdołał zaprotestować, rozległ się za drzwiami sympatyczny, ale dość głupkowaty śmiech i na progu ukazała się postać niezwykle wysoka i bardzo wytwornie ubrana.

ROZDZIAŁ VI.

Elegant z roku 1792.

Według kronik ówczesnych, sir Percy Blakeney liczył w roku 1792 około lat 30. Bardzo wysoki, nawet jak na Anglika, barczysty, dobrze zbudowany, mógł uchodzić za niezwykle pięknego mężczyznę, gdyby nie wyraz ospałości w głębokich niebieskich oczach i śmiech ustawiczny i głupkowaty, który tak szpecił piękny i silny rysunek ust jego.

Rok dobiegał końca, gdy baronet Percy Blakeney, jeden z najbogatszych magnatów angielskich, król mody i serdeczny przyjaciel księcia Walji, zadziwił wykwintne towarzystwo londyńskie, wprowadzając do domu po podróży po kontynencie piękną i inteligentną żonę — Francuzkę. On, najospalszy i najnudniejszy ze wszystkich Anglików, który potrafiłby zanudzić na śmierć piękną kobietę, wygrał pierwszy los w małżeństwie, choć wielu było pretendentów.

Małgorzata St. Just stała u progu kariery artystycznej w chwili, gdy w murach Paryża rozpoczął się największy przewrót socjalny, jaki świat pamiętał. Licząc zaledwie 18 lat, szczerze obdarzona pięknnością i talentem, pod jedyną opieką młodego,

ale ubóstwianego ją brata, potrafiła w krótkim czasie zgromadzić w ślicznem mieszkaniu na ul. Richelieu towarzystwo wytworne, ale niemniej ekskluzywne, a to pod jednym względem. Małgorzata St. Just była republikanką z zasady i przekonania. Równość co do urodzenia była jej hasłem, nierówność majątkową uważała za nieprzyjemny przypadek. Jedyne nierówność talentu była w jej oczach godna podziwu. Pieniądze i tytuły są dziedziczne, mawiała, ale nie rozum, i dlatego jej uroczy salon był otwarty jedynie dla ludzi wysoce inteligentnych, utalentowanych, dla mężczyzn i kobiet pełnych dowcipu i werwy artystycznej. Świat umysłowy Paryża rokował świetną karierę artystyczną temu, ktoby się dostał do tego wybranego grona.

Ludzie uczeni, wykwintni, o wysokiem stanowisku światowem, tworzyli świetny dwór uroczej artystki z „Komedji Francuskiej“, a ona przesuwiała się w tym republikańskim, rewolucyjnym krwiożerczym Paryżu jak błyszcząca kometa, pociągając za sobą niby świetlaną smugę, najbardziej wyszukany, zajmujący, intelektualny świat europejski. A potem nastąpiło rozwiązanie. Niektórzy uśmiechali się do brotliwie, nazywając je artystyczną ekscentrycznością, drudzy uważali je za mądre wyrachowanie ze względu na wypadki rozgrywające się w Paryżu, które brały coraz to groźniejszy obrót, ale dla wszystkich prawdziwy powód pozostał tajemniczą zagadką. W każdym razie faktem było, że pewnego dnia Małgorzata St. Just zaślubiła sir Percy'ego Bla-

keney'a bez poprzedniego uwiadomienia przyjaciół, bez „soirée de contrat“, „diner de fiançailles“, albo innych uroczystości towarzyszących bogatym francuskim weselom.

Jakim sposobem ten głupi i nudny Anglik został wogóle przyjęty do wybranego grona otaczającego „najmędrszą kobietę w Europie“, jak ją nazywali przyjaciele? Nikt tego nie odgadł. Złoty klucz otwiera wszystkie drzwi, twierdzili złośliwie niejedni.

Dość że wyszła za niego i „najmędrsza kobieta w Europie“ związała los z „tym głupim Blake-ney'em“, co nawet najbliżsi jej znajomi uważali za dziwactwo.

Jednak uśmiechali się pogardliwie na twierdzenie niektórych ludzi, że Małgorzata wyszła za głupca z korzyści materialnych i stanowiska, które jej w darze przynosił. Wiedzieli dobrze ci, którzy ją znali, że nie dbała o bogactwa, a mniej jeszcze o tytuły. W świecie międzynarodowym, w którym się obracała, znała wielu mężczyzn równie wysoko urodzonych, jeśli nie równie bogatych, którzy byliby się czuli aż nadto szczęśliwi, mogąc ofiarować Małgorzacie St. Just wszystko, czego tylko byłaby zaprażyła.

O samym sir Percy'm sądzono ogólnie, że nie był w stanie sprostać trudnemu zadaniu, którego się podjął. Mógł tylko zdobyć się na ślepe uwielbienie dla żony, otaczanie ją zbytkiem i splendorem swych wpływów, wysokich stosunków, które miał na dworze angielskim. Ale towarzystwo londyńskie twier-

dziło ze względu na jego ograniczenie umysłowe, że byłby postąpił o wiele rozsądniej, ofiarując te wszystkie świetności osobie mniej inteligentnej i utalentowanej.

Choć ostatnie lata spędził w kraju i należał do najpierwszych osobistości świata londyńskiego, całą młodość spędził na kontynencie. Ojca jego sir Algernona Blakeney'a spotkało wielkie nieszczęście. Jego młoda i ubóstwiana żona dostała pomieszania zmysłów po dwóch latach szczęśliwego pożycia małżeńskiego, bez najmniejszej nadziei polepszenia. Percy ujrzał światło dzienne, kiedy już lady Blakeney zapadła na tę straszną chorobę, którą wówczas uważano za nieuleczalną i za rodzaj przekleństwa Bożego nad całą rodziną. Sir Algernon wyjechał z chorą żoną na kontynent i tu pomiędzy nieprzytomną matką a zrozpaczonym ojcem Percy wychował się aż do chwili pełnoletności. Śmierć rodziców nastąpiła prawie równocześnie, a że sir Algernon prowadził życie bardzo skromne i ciche, olbrzymia fortuna Blakeney'ów powiększyła się jeszcze znacznie.

Sir Percy Blakeney, nim wprowadził do domu piękną, młodą żonę, dużo podróżował po kontynencie. Towarzystwo londyńskie oczekiwało ich z otwartymi ramionami. Sir Percy był bogaty, jego żona pełna wdzięku. Sam książę Walji należał do ich przyjaciół. W niespełna 6 miesięcy zostali królami mody i elegancji. Płaszcz sir Percy'ego były tematem rozmów, jego żarty powtarzane z ust do ust, nawet ów śmiech głupkowaty naśladowała „złota

młodzież“. Wszyscy twierdzili, że jest beznadziejnie głupi, ale nie było się czemu dziwić: od kilku generacji wszyscy Blakeney'owie byli ograniczeni, a matka jego umarła w obłądnie.

Wielki świat go zapraszał, dogadzał mu i liczył się z nim. Konie jego były najpiękniejsze w całym kraju, przyjęcia i wina najslawniejsze. Co do jego ślubu z „najmędrszą kobietą w Europie“ to co miało się stać, stało się w najkrótszym czasie. Nikt z nim nie współczuł, sam był sobie winien. Wiele panien angielskich, ładnych i wysokiego rodu, chętnie byłoby z nim dzieliło korzyści fortuny Blakeney'ów, pobbłażając jego nieszkodliwej głupocie. Zresztą sir Percy nie odczuwał litości, gdyż wcale o nią nie dbał. Wydawał się bardzo dumny ze swej inteligentnej żony, nie mając jej bynajmniej za złe, że tak mało zadawała sobie trudu, aby maskować lekką pogardę, którą dla niego żywiła, ostrząc sobie dowcip jego kosztem. Zresztą Blakeney był zanadto ograniczony, aby zauważyć swą śmieszność, a jeżeli jego domowe stosunki z uroczą paryżanką nie dawały mu tego zadowolenia, na jakie zasługiwało jego prawdziwie psie przywiązanie, nikt o tem nigdy się nie dowiedział.

W przepięknej rezydencji w Richmond grał zawsze z niezamąconą dobroduszą podrzedną rolę, obsypując Małgorzatę klejnotami i otaczając ją zbytkiem, a ona przyjmowała te dary z niezrównanym wdziękiem, czarując w przyjmowaniu gości tą samą uprzejmością, jaką okazywała artystycznemu kółku w Paryżu.

Sir Percy Blakeney był bezsprzecznie bardzo piękny, choć szpecił go ów leniwy i znudzony wyraz, jemu właściwy. Ubierał się stale bez zarzutu, a chociaż stosował się do trochę przesadnej mody ówczesnej, przyjętej już w Anglii, zachowywał zawsze dobry smak, wrodzony szlachcicowi angielskiemu.

W ten dzień wrześniowy, mimo długiej podróży w powozie, mimo deszczu i błota, ubranie leżało bez zarzutu na jego cienkich ramionach, a ręce białe jak u kobiety, wyłaniały się z rękawów ozdobionych wspaniałymi brabanckimi koronkami. Jedwabne ubranie o krótkiej talji, kamizelka z białymi wylogami, obcisłe prążkowane spodnie, uwydatniały znakomicie tę potężną i kształtną postać. Na pierwszy rzut oka uderzała jego piękna powierzchowność, ale afektowane ruchy i ten wieczny pusty śmiech niweczył w jednej chwili jakiegokolwiek głębsze wrażenie, które mógł wywierać na ludziach. Wszedłszy do starej sali zajazdu, strzepnął krople deszczu z pięknego płaszcza i podniósłszy w złoto oprawne szkła do niebieskich sennych oczu, spojrzął z zaciękawieniem na towarzystwo. Zapadło przykre milczenie.

— Jak się masz Tony i ty Ffoulkes — rzekł, spostrzegłszy młodzieńców i witając się z nimi. — Morbleu przyjaciele! — dodał ziewając — widzieliście kiedy taki czas? przekłety klimat!

Małgorzata zmrużywszy figlarnie oczy, zwróciła się ku mężowi i z uśmiechem trochę wymuszonym przypatrywała mu się od stóp do głów.

— Co wam jest? — zaczął znów sir Percy po chwili milczenia, gdy nikt się nie odzywał. — Czemuście tacy zakłopotani, co się stało?

— Ależ nic — odrzekła Małgorzata z udaną wesołością — nic, co mogłoby wyprowadzić cię z twego błógiego spokoju: znieważono twoją żonę, więcej nic!

Śmiech, z jakim to powiedziała, miał uspokoić sir Percy'ego co do doniosłości tego faktu. Cel został osiągnięty, bo śmiejąc się również zawołał:

— Ależ droga, nie mów tak! Gdzie jest ów śmiałek, który odważył się ci ubliżyć?

Lord Antony już miał odpowiedzieć, gdy naraz młody wicehrabia wystąpił na środek pokoju.

— Panie — rzekł łamaną angielszczyzną, zaczynając swą przemowę głębokim ukłonem — hrabina de Tournay de Basserive, moja matka, obraziła panią, która jest jak widzę, twoją żoną. Nie mogę prosić cię o przebaczenie za moją matkę, co ona robi jest dobre w moich oczach, ale jestem gotów ofiarować ci panie zwykłą satysfakcję, przyjętą między ludźmi honorowymi.

Młodzieniec wyprostował o ile mógł swą wysmukłą postać i z zapalem patrzył dumnie na 6 stóp wysokiego baroneta Percy'ego Blakeney.

— Patrz no, sir Andrew — zawołała wesoło Małgorzata — na ten niezrównany obraz! Indyk angielski i kogut francuski!

Porównanie było rzeczywiście nadzwyczaj trafne. Angielski indyk patrzył z góry ze zdumieniem na małego francuskiego koguta groźnie podskakującego wkoło niego.

— Powiedz mi, panie — rzekł wkońcu sir Percy, przypatrując się przez szkła młodemu Francuzowi — gdzie do kaduka nauczyłeś się po angielsku?

— Panie... — zaprotestował wicehrabia, dotknięty niewzruszonym spokojem tego Anglika, wobec jego wojennej postawy.

— To jest wprost zdumiewające — ciągnął dalej sir Percy tym samym tonem. — Czy nie uważasz, Tony? Ręczę, że nie potrafiłbym nigdy tak przemówić we francuskim żargonie.

— Co to, to prawda — potwierdziła Małgorzata — wymowa francuska sir Percy'ego kaleczy uszy jak nożem.

— Panie — przerwał wicehrabia poważniej, jeszcze gorszą angielszczyzną — zdaje mi się, że nie rozumiesz o co mi chodzi. Ofiaruję ci jedyną satysfakcję, godną gentelmana.

— Cóż to jest u diabła? — spytał sir Percy zdziwiony.

— Moja szabla, panie!... — odparł żywo wicehrabia, tracąc powoli cierpliwość.

— Jesteś sportsmanem, lordzie Tony — rzekła Małgorzata wesoło. — Stawiam 10 na jednego na małego koguta.

Jeszcze przez chwilę sir Percy patrzył na wicehrabiego przez napół przymknięte, leniwe powieki, potem ziewnął, wyciągnął przed siebie długie nogi i obróciwszy się plecami do niego, mruknął z największym spokojem:

— Co mi po twojej szabli?

Co sobie wicehrabia pomyślał w tej chwili wobec zachwalstwa owego długonogiego Anglika, byłoby tematem do napisania księgi.

Odpowiedź jego streszczała się w jednym tylko wyrazie, gdyż wszystkie inne uwięzły mu w gardle, pod wpływem duszącej go wściekłości.

— Pojedynek, panie... — syknął przez zęby.

Blakeney obrócił się jeszcze raz ku niemu i ze swej wysokości spojrział na rozjuszonego małego człowieczka, ale ani przez jedno mgnienie oka nie stracił dobrego humoru. Zaśmiał się dźwięcznym śmiechem i wsadziwszy piękne, długie ręce w przepastne kieszenie kamizelki, rzekł powoli:

— Pojedynek? Ach teraz rozumiem. Jak mi Bóg miły, jesteś krwiożerczym człowiekiem! Chcesz przedziurawić spokojnego człowieka? Bo ja to się nie bawię w pojedynki — dodał siadając spokojnie i wyciągając przed siebie długie nogi. — Djabelnie niewygodnem zajęciem są te pojedynki, czyż nie tak Tony?

Wicehrabiemu wiadomo było niezawodnie, że w Anglii pojedynki między gentelmenami były surowo zabronione. Mimo to dla tego młodego Francuza, którego pojęcie o honorze wyrosły z wiekowych tradycji, widok gentelmana nie przyjmującego pojedynku, był wprost potworny.

Zawahał się, co mu czynić wypadało, czy spoliczkować tego długiego Anglika i nazwać go tchórzem, czy też się wstrzymać ze względu na obecność kobiety.

Na szczęście Małgorzata odezwała się.

— Proszę cię, lordzie Tony — rzekła miłym, melodyjnym głosem — spróbuj pogodzić tych panów. Chłopca złość podnosi i jeszcze gotów skaleczyć sir Percy'ego — dodała z cieniem ironji w głosie. — Indyk angielski wyszedł cało, gdyż wszyscy święci z kalendarza mogliby go wyzwać, a on nie straciłby zimnej krwi.

Zaśmiała się filuternie, ale nie wyprowadziła męża ze zwykłej równowagi. Przeciwnie, wydawało się, że Blakeney był w najlepszym humorze w świecie, gdyż zwracając się do wicehrabiego, odparł westoło:

— Czy żona moja nie jest dowcipna? Będziesz miał możność nieraz o tem się przekonać, jeżeli zostaniesz dłuższy czas w Anglii.

— Sir Percy ma rację, wicehrabio — przerwał lord Antony, kładąc rękę na ramieniu młodego Francuza. — Nie wypadaloby rozpoczynać pobytu w Anglii od pojedynku.

Przez chwilę młodzieniec wahał się jeszcze, potem wzruszywszy zlekka ramionami na myśl o dziwnych zapatrywaniach na sprawy honorowe w tej zamglonej wyspie, rzekł z godnością, pełną wdzięku:

— Jeżeli pan jest zadowolony, nie mam do niego dalszej urazy. Ty, mylordzie, jako nasz opiekun, powiedz, czy zawiniłem, a oddalę się.

— Z całą przyjemnością — odparł Blakeney z westchnieniem ulgi. — A to dopiero czupurna sztuka! Jak mi Bóg miły, Ffoulkes, jeżeli ty i twoi przyjaciele sprowadzacie podobne okazy z Francji,

to radzę cię zatop je po drodze w kanale, inaczej mój drogi, będę zmuszony udać się do Pitta, aby zakazał wam tego rodzaju przemytnictwa, a ciebie zamknął wraz z twoim towarem.

— Ostrożnie, sir Percy! Odwaga porywa cię! — rzekła z przymileniem Małgorzata. — Zapominasz, że i ty przemyciłeś sobie coś z Francji!

Blakeney powstał z wolna.

— Mogłem wybierać na rozmaitych rynkach, ale mój gust nie zawiódł mnie — odparł z wyszukaną galanterią, składając przed żoną głęboki i uroczysty ukłon.

— Ale zato rycerskość cię zawiadła — odrzekła ironicznie.

— Bądźże rozsądna, moja droga! Czy myślisz, że pozwolę zrobić ze swojego ciała poduszkę na szpilki, ile razy jakiemuś amatorowi żabich nóżek nie spodoba się kształt twego nosa?

— Nie masz się czego obawiać, sir Percy! Nigdy się to nie stanie, żeby mężczyźnie mój nos się podobał.

To rzekłszy, ukłoniła mu się z wdziękiem.

— Hańba temu, kto się boi! Czy wątpisz o mojej odwadze, pani? Kto jeżeli nie ja popiera boksowanie? Czyż nie tak, Tony? Niedawno sam zmierzyłem się z Red Sam'em, i miał się zpyszna!

— Szkoda, że tego nie widziałam! Ha, ha, ha! Musiałeś ślicznie wyglądać! Ha, ha, ha! A teraz boisz się Francuzika!

Śmiech jej rozlegał się wesoło po starej dębowej sali.

— Ha, ha, ha! — zawtórował jej sir Percy — zaszczycasz mnie, pani! Morbleu, Ffoulkes, spójrz tylko! potrafiłem zabawić moją żonę, kobietę najinteligentniejszą w Europie! Napijmy się na jej zdrowie!

Uderzył potężnie w stół.

— Hej, Jelly! Prędko, przyjacielu, bywaj!

I znów zapanowała zgoda, a Jellyband przychodził zwolna do siebie po przebytych wzruszeniach.

— Czarę gorącego i mocnego ponczu, rozumiesz? — rzekł sir Percy. — Dowcip, który potrafił rozbawić inteligentną kobietę, musi być podtrzymywany! Ha, ha, ha! śpiesz się, pocziwcze!

— Niema na to czasu — zaprotestowała Małgorzata. — Kapitan okrętu zjawi się lada chwila i mój brat musi siadać na jacht, inaczej „Day Dream“ nie zdąży skorzystać z przyływu.

— Nie zdąży, kochanie? Jest więcej czasu niż potrzeba dla każdego gentelmana, aby się upić i siaść na okręt, nim nastąpi odpływ.

— Zdaje mi się, mylady — zauważył z uszanowaniem Jellyband — że młody pan nadchodzi wraz z kapitanem okrętu.

— Doskonale! — zawołał Blakeney — Armand St. Just wypije z nami czarę ponczu. Czy myślisz, Tony — dodał, zwracając się w stronę wicehrabiego — że ten młody zapaleniak będzie chciał z nami wychylić szklankę? Powiedz mu, że pijemy na zgodę.

— Bawicie się tak dobrze w wesołym towarzystwie, że nie weźmiecie mi za złe, że pożegniam się

z moim bratem w sąsiednim pokoju — rzekła Małgorzata.

Protesty nie były na miejscu, Lord Antony i sir Andrew zrozumieli doskonale, że lady Blakeney nie mogła dzielić ich wesołości. Jej przywiązanie do brata Armanda było rozczulające i głębokie. Spędził właśnie parę tygodni u niej w Anglii, a teraz powracał, aby służyć ojczyźnie tam, gdzie śmierć była jedynie nagrodą za trudy i poświęcenia dla niej poniesione.

Sir Percy również nie próbował zatrzymywać żony. Z tą wytworną galanterją, która cechowała każdy jego ruch, otworzył przed nią drzwi kawiarni, złożyłszy jej wpierw głęboki ukłon, ona zaś opuściła salę, rzuciwszy na niego jedynie przelotne, pogardliwe spojrzenie.

Tylko sir Andrew, którego myśl z chwilą poznania Zuzanny stała się przenikliwsza, czulsza i zgadująca, zauważył dziwne wejrzenie, pełne głębokiego i beznadziejnego smutku, którem sir Percy żegnał znikającą postać uroczej kobiety.

ROZDZIAŁ VII.

Tajemniczy ogród.

Wyszedszy z hałaśliwej kawiarni na źle oświetlony korytarz, Małgorzata Blakeney miała wrażenie, że oddycha swobodniej. Westchnęła głęboko z ulgą, jakgdyby zostawiła na progu gniotące ją brzemie i kilka łez spłynęło jej po twarzy.

Deszcz przestał padać. Z pośród szybko przesu-
wających się chmur blade promienie słońca ozłacały
piękne białe wybrzeże Kentu i domy otaczające
przystań admiralską.

Małgorzata stanęła na progu i spojrzała na mo-
rze. Tu na tle mieniącego się wciąż nieba stał wspa-
niały okręt o białych rozpiętych żaglach, łagodnie
kołysany wiatrem. Był to „Day Dream“, sir Percy'-
ego prywatny yacht, gotowy do drogi, aby odwieźć
do Francji Armanda. Wracał do kraju, gdzie kipiała
krwawa rewolucja, która zrzuciła monarchję, zde-
ptała religję i zniszczyła całą warstwę społeczeń-
stwa, aby odbudować na popiołach starej kultury
nową utopję, której nikt nie był w stanie powołać
do życia.

Z oddali dwóch ludzi zbliżało się do „Odpoczyn-
ku Rybaka“. Jeden z nich, starszy mężczyzna,

z wieńcem siwych włosów, otaczających krągłe policzki, szedł owym chwiejnym krokiem, znamionującym marynarzy; drugi młody, wysmukły, bardzo starannie ubrany w płaszcz z kapturem, był gładko ogolony, a ciemne jego włosy zaczesane wtył głowy, odsłaniały szlachetne czoło.

— Armandzie! — zawołała Małgorzata i uśmiech radosny rozjaśnił przez łzy słodką jej twarzyczkę.

W kilka minut potem brat i siostra witali się czułym uściskiem, a stary kapitan przystanął z uszanowaniem na uboczu.

— Ile pan St. Just ma jeszcze czasu do odjazdu? — zapytała lady Blakeney.

— Musimy podnieść kotwicę przed upływem godziny — odrzekł stary kapitan, podnosząc rękę do czoła.

Wsunąwszy rękę pod ramię brata, Małgorzata podeszła ku skałom nadbrzeżnym.

— Zaledwie pół godziny — westchnęła, patrząc na morze — a będziesz tak daleko ode mnie! Armandzie... nie mogę uwierzyć, że odjeżdżasz. Te dni podczas nieobecności sir Percy'ego upłynęły dla mnie jak sen. Miałam cię przecież wyłącznie dla siebie.

— Nie wyjeżdżam daleko, moja droga — odparł miękko młodzieniec. — Wąski kanał nas rozdzieli, tylko kilka mil drogi, mogę więc powrócić w każdej chwili.

— Przeraza mnie nie odległość, Armandzie, ale ten straszny Paryż...

Doszli do brzegu skały. Łagodny powiew morski igrał włosami Małgorzaty wokoło jej twarzy, a końce jej miękkiego koronkowego szalu falowały w powietrzu jak biały gibki wąż. Starala się przeniknąć wzrokiem odległość, za którą leżały wybrzeża Francji, tej surowej i bezlitosnej Francji, która domagała się haraczu krwi najszlachetniejszych swych synów.

— Nasz własny, piękny kraj, Małgorzato — odrzekł Armand, zgadując jej myśli.

— Oni idą za daleko, Armandzie — rzekła z zapalem. — Jesteś republikaninem jak i ja, mamy te same poglądy, to samo pragnienie wolności i równości, ale nawet ty musisz przyznać, że idą za daleko.

— Cicho... — szepnął trwożnie Armand, rzucając krótkie, ostrożne spojrzenie koło siebie.

— Widzisz!... Zdaje ci się, że niebezpiecznie rozprawiać o tych rzeczach nawet tu, w Anglii.

Objęła go w namiętnym porywie gwałtownej, macierzyńskiej niemal miłości.

— Nie odjeżdżaj, Armandzie! — błagała — nie wracaj do kraju! Co stałoby się ze mną, gdyby...

Wybuchnęła płaczem. Jej niebieskie oczy z czułością i rozpaczą patrzyły na młodzieńca, który z powagą zwrócił się do niej.

— Nie byłabyś moją odważną siostrzyczką — odparł ze słodyczą — gdybyś nie pamiętała, że gdy Francji grozi niebezpieczeństwo, nie uchodzi jej synom opuścić ojczyzny.

Jeszcze nie dokończył, a już słodki, dziecinny uśmiech zawitał na jej smutnej twarzyczce, wciąż jeszcze oblanej łzami.

— Ach, Armandzie! — westchnęła cicho. — Pragnęłabym niekiedy, abyś nie miał tylu wzniosłych cnót... Zareczam ci, że twoje drobne uchybienia są o wiele mniej niebezpieczne i lżejsze do zniesienia. Ale będziesz ostrożny, nieprawdaż? — dodała poważnie.

— Obiecuję ci, że będę się starał o ile możliwości...

— Pamiętaj, najdroższy, że mam tylko ciebie, tylko ty mnie kochasz...

— Ależ, moja droga, masz dzisiaj inne jeszcze więzy... Percy cię kocha...

Dziwny smutek odbił się w oczach Małgorzaty, gdy szepnęła:

— Kochał mnie dawniej...

— Ależ, na pewno...

— Nie troszcz się o mnie, Armandzie, Percy jest rzeczywiście bardzo dobrym człowiekiem.

— Muszę troszczyć się o ciebie, moja Małgorzato — przerwał z mocą. — Słuchaj, nie mówiłem z tobą o tej sprawie pierwej, gdyż za każdym razem coś mnie wstrzymywało. Ale czuję, że nie potrafiłbym teraz odjechać i zostawić cię nie zadawszy ci jednego zapytania. Nie potrzebujesz mi odpowiedzieć, jeżeli sobie nie życzysz — dodał, widząc nagle wyraz lęku w jej oczach.

— Mów — rzekła spokojnie.

— Czy sir Percy Blakeney wie... jaką rolę odgrywałaś w sprawie uwięzienia margrabiego de St. Cyr?

Zaśmiała się smutnym, gorzkim, pogardliwym śmiechem, który zabrzmiał jak fałszywa nuta w melodji jej głosu.

— Chcesz powiedzieć, że zdradziłam margrabiego de St. Cyr przed trybunałem, który wysłał jego i całą rodzinę pod gilotynę? Tak, powiedziałam mu o tem po ślubie.

— Czy wytłumaczyłaś mu wszystkie okoliczności łagodzące, które całkowicie cię uniewinniają?

— Nie, gdyż było za późno mówić o okolicznościach. Wiedział już o tej sprawie z innej strony. Moje tłumaczenie przyszło zdaje się poniewczasie. Nie mogłam poniżyć się do tego stopnia, by szukać sposobów uniewinniania się.

— A teraz?

— A teraz, Armandzie, mam satysfakcję w przeświadczeniu, że najbardziej ograniczony człowiek w Anglii ma największą pogardę dla swojej żony.

Wypowiedziała te słowa z taką goryczą, że serdecznie ją kochający Armand odczuł wyraźnie, iż dotknął bardzo niezręcznie bolesnej rany.

— Sir Percy kochał cię przecież?

— Czy mnie kochał? Tak, Armandzie, przynajmniej zdawało mi się przez pewien czas, że mnie kocha, inaczej nie byłabym nigdy została jego żoną. Jestem przekonana — dodała śpiesznie, jakgdyby pragnęła nareszcie zrzucić z siebie ciężkie brzemię, przygniatające ją od miesięcy — jestem przekonana, że i ty nawet, jak wszyscy zresztą, myślałeś, że wyszłam za niego dla majątku. Zaręczam ci, najdroższy, że to nieprawda. Zdawało mi się, że mnie

uwielbia taką dziwną siłą miłości i tak gorąco, że byłam do głębi wzruszona. Przytem, jak wiesz, nie kochałam nikogo, a miałam już dwadzieścia cztery lata; sądziłam, że nie potrafię nigdy kochać. Ale marzyłam zawsze, aby być ślepo uwielbiana. Choć Percy był ociążały i ograniczony, miał dla mnie tem większy powab; myślałam, że będzie mnie kochał tem więcej... Inteligentny mężczyzna ma inne zajęcia, ambitny inne nadzieje, zaś ograniczony umysł będzie tylko miłował i tem się zadowoli. A wzamian byłam gotowa odpłacić mu równem przywiązaniem, Armandzie. Nietylko odbierać, ale dawać miłość bezgraniczną...

Westchnęła, a w tem westchnieniu była cała otchłań rozczarowania i bólu. Armand nie przerywał jej ani razu. Słuchał, pogrążony we własnych myślach. Jego serce cierpiało na widok tej młodej, pięknej kobiety, która u progu życia straciła nadzieję i wiarę wobec rozwianych złotych snów, które byłyby uczyniły z jej młodości nieprzerwane pasmo szczęścia. Mimo przywiązania do siostry rozumiał ów tragiczny konflikt szwagra. W krótkim swem życiu zetknął się już z ludźmi rozmaitych narodowości, różnego wieku, rozmaitych warstw społecznych i domyślił się, czego Małgorzata nie dopowiedziała.

Percy Blakeney był faktycznie słabo uposażony pod względem umysłowym, ale mimo wszystko miał ową rodową dumę, odziedziczoną po przodkach, odwiecznych angielskich dżentelmenach. Jeden Blakeney zginął na polu bitwy pod Bosworth, drugi poświęcił życie i majątek dla sprawy Stuartów — i ta

sama duma bezsensowna, jak ją nazywał republikański Armand, musiała być głęboko dotknięta na wieść o winie ciążyącej na sumieniu lady Blakeney. Armand wiedział dobrze, że była taka młoda i wprowadzona w błąd, wiedzieli i ci, którzy skorzystali z jej młodości, braku rozwagi i zastanowienia. Ale Blakeney nie miał jasnego sądu. Nie brał pod uwagę żadnych okoliczności łagodzących. Widział jedynie czyn: lady Blakeney zdradziła rodaka przed trybunałem, nie znającym litości. Pogarda, jaką musiał odczuwać dla tego czynu, choćby nawet mimowolnego, mogła zabić jego miłość.

Ale nawet teraz siostra była dla Armanda zagadką. Życie i miłość przynoszą tak dziwne niespodzianki! Czy wobec słabnącego uczucia męża serce Małgorzaty obudziło się dla niego? Na drodze miłości spotyka się nieoczekiwane zwroty. Czy może ta kobieta, przed którą klęczał świat umysłowy Europy, zapalała miłością do tej miernoty?

Małgorzata wpatrzyła się w zachód słońca. Armand nie mógł widzieć jej twarzy, ale miał wrażenie, że to co błyszczało w złotych wieczornych promieniach, padało z jej oczu na delikatny szal koronkowy.

Lecz nie chciał dłużej przeciągać tej rozmowy. Znał dobrze dziwną, namiętą naturę siostry i rozumiał, ile tajonego bólu musiało się kryć pod pozorami wesołości i swobody. Dawniej nie rozstawali się prawie nigdy. Rodzice pomarli, gdy Armand był jeszcze wyrostkiem, a Małgorzata dzieckiem. Starszy od niej o ośm lat, opiekował się nią

aż do ślubu i był podporą w świetnych latach, spędzonych na ulicy Richelieu. Żegnał ją z prawdziwym smutkiem i lękiem, gdy wyjeżdżała do Anglii, by rozpocząć nowe życie, a teraz od czasu ślubu siostry złożył jej w Anglii pierwszą wizytę. Niestety, kilka miesięcy rozłąki wystarczyły, aby wznieść mur nieprzebyty między bratem a siostrą. Ta sama głęboka obopólna miłość zawsze trwała, ale każdy z nich posiadał dla siebie jakby tajemniczy ogród, do którego nikt więcej nie miał dostępu. Armand nie mógł powiedzieć siostrze wielu rzeczy. Polityczne oblicze rewolucji francuskiej zmieniało się niemal codziennie. Nie byłaby więc rozumiała, dlaczego jego własne poglądy i sympatje takiej uległy zmianie, wobec coraz to straszliwszych nadużyć jego dawnych przyjaciół. Ze swej strony Małgorzata nie mogła bratu odkryć całkowicie tajemnic swego serca, gdyż sama ledwie je rozumiała. Wiedziała tylko, że wśród bogactw i przepychu czuła się samotna i nieszczęśliwa.

A teraz Armand wyjeżdżał. Bała się o niego, pragnęła go mieć przy sobie i nie chciała zamacać tych ostatnich chwil tak bolesnego i słodkiego zarazem pożegnania, mówiąc tylko o sobie. Wsunęła mu znów rękę pod ramię i poszli wzdłuż skał ku wybrzeżu. Tyle rzeczy mieli jeszcze sobie do powiedzenia, które znajdowały się poza obrębem ich tajemniczego ogrodu!

ROZDZIAŁ VIII.

Zaufany agent.

Dzień chylił się ku wieczorowi i długi, chłodny angielski zmierzch rozpościerał zasłonę na zielony krajobraz Kentu.

„Day Dream“ wyruszył w drogę, a Małgorzata Blakeney od godziny stała samotnie na brzegu urwiska, ścigając wzrokiem białe żagle unoszące z taką szybkością jedyną istotę, która rzeczywiście o nią dbała, którą śmiała kochać, której mogła ufać.

O kilka kroków od niej po lewej stronie oświetlone szyby kawiarni „Odpooczynku Rybaka“ rzucały żółte blaski wśród zwiększającej się wciąż mgły. Od czasu do czasu zdawało się jej przeczulonym nerwom, że słyszy odgłos wesołej rozmowy i w uszach jej dźwięczał bezustannie nużący śmiech męża.

Sir Percy był o tyle delikatny, że zostawił ją zupełnie samą. Przypuszczała, że na swój sposób rozumiał, iż wolała patrzeć samotnie, jak z widnokregu znikaty białe żagle. On, który z taką bezwzględnością wymagał zachowania pozorów, nie żądał nawet, aby służący czuwał nad żoną zdaleka.

Małgorzata wdzięczna była mężowi za tę delikatność i coprawda starała się okazywać mu wdzięczność za jego względy i szczodrość iście królewską. Usiłowała nawet czasem zwalczać ironiczne i gorzkie uczucia, które zalewały jej duszę i dyktowały ustom obrażające złośliwe słowa.

Często starała się dotknąć boleśnie męża, aby czuł, że i ona nim gardzi, że i ona zapomniała o tych dniach szczęścia, w których gotowa była go pokochać. Kochać tego półgłówka! którego myśli nie były w stanie wznieść się ponad sposób wiązania krawatu, lub linję nowego kroju płaszczu? A jednak... zamglone słodkie wspomnienia, dostrojone do tego spokojnego letniego wieczoru, stanęły przed jej oczami, przyniósł je na niewidzialnych skrzydłach lekki podmuch wiatru morskiego. Chwila pierwszego poznania... zdawało się, że był tak oddany jak niewolnik... i było w tej miłości coś tak potężnego, że podbiło ją i czarowało...

A potem ta miłość, to przywiązanie, które uważała za prawdziwą psią wierność, rozwiały się zupełnie. W 24 godziny po cichej uroczystości w kościele św. Rocha wyznała mu, jak pewnego razu nierozważnie i lekkomyślnie opowiedziała przed kilkoma przyjaciółmi rozmaite szczegóły, kompromitujące margrabiego de St. Cyr. Oni zaś korzystając z tych informacji, wysłali nieszczęsnego margrabiego wraz z całą rodziną pod gilotynę. Nienawidziła margrabiego. Niegdyś jej ukochany brat Armand kochał się w Anieli de St. Cyr; ale St. Just był plebejuszem, a margrabia był nadzwyczaj dumny i przepojony

arystokratycznymi przesądami swej kasty. Pewnego dnia Armand zwykle ostrożny i pełen uszanowania dla Anieli, ośmielił się bóstwu swych marzeń posłać krótki wierszyk, wyrażający miłość i uwielbienie. Następnego nocy służba margrabiego wyprowadziła go podstępnie poza mury Paryża i zabiła, zabiła jak psa, dlatego że śmiał podnieść oczy na córkę arystokraty. Takie wypadki na kilka lat przed rewolucją francuską były na porządku dziennym i doprowadziły do krwawego odwetu, który prawie wszystkie te dumne głowy wysłał pod nóż gilotyny.

Małgorzata nie zapomniała nigdy, ile ucierpiała upokorzona męska duma brata i ile przez niego i z nim wycierpiał jej własne serce. A gdy nadszedł dzień zemsty, St. Cyr i jemu podobni musieli uznać za swych panów tych samych plebejuszków, którymi ongi pogardzali. Armand i Małgorzata przyjeśli z zapałem, właściwym młodemu wiekowi, utopijne zasady rewolucji, gdy tymczasem margrabia de St. Cyr i jego rodzina bronili zaciekle tych przywilejów, które wyniosły ich wszystkich ponad resztę społeczeństwa. Lekkomysłna Małgorzata, nie znająca doniosłości słów, a pamiętna strasznej zniewagi wyrządzonej jej bratu przez margrabiego, usłyszała raz, że rodzina St. Cyr'ów znosiła się tajemnie z Austrią w nadziei, iż cesarz stłumi wzrastającą rewolucję. W owych czasach jeden zarzut wystarczał.

Słowa Małgorzaty, powtórzone niebacznie, przyniosły owoce w przeciągu 24 godzin. Przeszukano papiery margrabiego i znaleziono w biurku listy cesarza niemieckiego, obiecującego przysłać wojska

przeciw paryskiemu motłochowi. Margrabiego skazano natychmiast i wysłano pod gilotynę z żoną, synami i całą rodziną.

Małgorzata, przerażona strasznymi skutkami lekomyślności, nie zdołała już margrabiego wyratować. Jej przyjaciele i znajomi sami przewodniczyli rewolucyjnemu ruchowi i uważali ją za bohaterkę, a gdy wychodziła za sir Percy'ego Blakeneya, nie zdawała sobie sprawy, jak surowo osądzi on jej zbrodnię bezwiedną, tem niemniej jednak ciężącą na jej sumieniu. Wyznała wszystko mężowi, ufając, że jego wielką miłość i przywiązanie przebaczą to, co mogłoby razić angielskie sumienie. W chwili wyznania miała wrażenie, że mąż nie przywiązuje wielkiej wagi do tej wiadomości i nie rozumie nawet jej doniosłości, ale od tego czasu nie zaznała już miłości sir Percy'ego, jakgdyby była zamarła. Zczasem doszło do tego, że żyli oddzieleni jakby wrogim murem. Sir Percy Blakeney wyrzucił z serca całą miłość do żony, jakby to uczynił ze starą rękawiczką.

Małgorzata próbowała obudzić w nim zamarłe uczucie, ostrząc swój lotny dowcip o jego ciężki umysł, dla wywołania zazdrości, ale wszystkie jej usiłowania były daremne. Pozostał niewzruszony, bierny, ospały, choć zawsze uprzejmy, pełen kurtuzji. Małgorzata posiadała wszystko, co tylko świat i bogaty mąż dać może kobiecie, a jednak w ten cudny letni wieczór, gdy białe żagle yachtu znikły w mrocznych cieniach, czuła się więcej samotna niż ów biedny wędrowiec, który odbywał ciężką drogę wśród kamienistego wybrzeża.

Z nowem westchnieniem odwróciła się od morza i udała się do zajazdu „Odpozynek Rybaka“. Odgłos wesołych rozmów i wykrzykników stawał się coraz wyraźniejszy. Mogła rozróżnić miły głos sir Andrew, głośny śmiech lorda Antony'ego i spokojne słowa męża. Otaczała ją pustka i ogarniały ciemności; przyśpieszyła więc kroku. Wtem spostrzegła nieznanego, idącego śpiesznie naprzeciw niej. Małgorzata nie podniosła nawet oczu; nie czuła lęku, a „Odpozynek Rybaka“ był tak blisko. Nieznajomy przystanął, widząc zbliżającą się Małgorzatę i gdy go mijała, zawołał:

— Obywatelko St. Just!

Wydała lekki okrzyk zdziwienia, słysząc swe panieńskie nazwisko. Spojrzała na nieznanego i tym razem z niekłamana radością wyciągnęła ku niemu obie ręce.

— Chauvelin! — zawołała.

— We własnej osobie, citoyenne. Do usług twoich — dodał, całując uprzejmie końce jej palców.

Małgorzata milczała przez chwilę. Patrzyła z radością na niezbyt powabną małą postać, stojącą przed nią.

Chauvelin, liczący od 30 do 40 lat, był mądrym, przebiegłym człowiekiem o ciekawym lisim wyrazie w głęboko osadzonych oczach. Był tym samym nieznanym, który przed godziną wypił butelkę wina z panem Jellybandem.

— Chauvelin! przyjacielu! — rzekła Małgorzata. — Jestem uradowana, że cię widzę.

Biedna Małgorzata, samotna wśród przepychu i nowych przyjaciół, z radością ujrzała twarz, przypominającą jej szczęśliwe czasy w Paryżu, gdy panowała jako królowa nad artystycznym kółkiem na ulicy Richelieu. Nie zauważyła ironicznego uśmiechu, który igrał na cienkich ustach Chauvelina.

— Powiedz mi — rzekła wesoło — co robisz w Anglii?

Zaczęła znów iść ku zajazdowi, a Chauvelin siedł obok niej.

— Zadaję ci to samo pytanie, piękna pani — odrzekł — co tu porabiasz?

— Ach, ja! — odparła, wzruszając ramionami — nudzę się, przyjacielu i tyle.

Doszli do stylowych drzwi „Odpoczynku Rybaka“. Ale Małgorzata nie chciała wejść do zajazdu. Powietrze po burzy popołudniowej było nadzwyczaj miłe i poza tem znalazła przyjaciela, który przypominał jej Paryż, znał jej brata Armanda i mógł udzielić jej wiadomości o wesołym gronie, które zostawiła w Paryżu. Przez oświetlone okno kawiarni dochodziły odgłosy śmiechów, wołania na Sally o piwo, brzęk dzbanów i grę w kości, przeplataną dobrodusznym śmiechem sir Percy'ego.

Chauvelin stał obok niej i utkwiał blado-żółte oczy w pięknej twarzyczce, która w letnim zmierzchu wyglądała tak uroczo i młodo.

— Zdziwiasz mnie, citoyenne — rzekł, zażywając tabaki.

— Naprawdę, mój drogi Chauvelin — odrzekła weselej — miałam cię za bystrzejszego. Że się też

nie domyślasz, iż dławiąca atmosfera surowych cnót nie dogadza Małgorzacie St. Just.

— Mój Boże, czy aż tak? — spytał z udanem przejęciem.

— Aż tak i jeszcze stokroć gorzej.

— Jakie to dziwne. Myślałbym, że dla pięknej kobiety życie w Anglii ma dużo uroku.

— I ja tak myślałam — odparła z westchnieniem.

— Jakże może tu dobrze powodzić się pięknym kobietom, gdy wszystkie miłe rozrywki są dla nich zakazane? — dodała po namyśle.

— Czy rzeczywiście?

— Nie uwierzyłbyś, mój drogi Chauvelin, ale zapewniam cię, że spędzam czasem dzień, całe dni, słyszysz? nie mając ochoty do niczego.

— Nic więc dziwnego, że najmędrsza z kobiet w Europie się nudzi...

Zaśmiała się kryształowym śmiechem.

— Najlepszym dowodem, jakie to życie być musi, jest fakt, że z taką radością cię przywitałam — rzekła figlarnie.

— I to w niespełna rok po zawarciu romantycznego małżeństwa... z miłości.

— Tak, rok romantycznej miłości! Co za ironja...

— A więc ta idylla nie przetrwała nawet paru tygodni! — rzekł Chauvelin sarkastycznie.

— Nierozsądne idylle nie trwają nigdy długo, mój Chauvelin; spadają na nas jak odra i równie prędko się leczą.

Chauvelin wziął znowu w palce szczyptę tabaki. Widocznie tabaka była jego nałogiem, powszechnym

zresztą w tych czasach, a może pragnął tylko zamaskować bystre, przenikliwe spojrzenia, któremi odczytywał myśli ludzkie.

— Nic więc dziwnego — powtórzył z tą samą galanterją — że najlotniejszy umysł w Europie nudzi się w takich warunkach.

— Miałam nadzieję, że znajdziesz mi środek na tę chorobę.

— Jakże mogę dokonać czegoś, co nie udało się samemu sir Percy'emu?

— Zostawmy sir Percy'ego w spokoju, przyjacielu — przerwała sucho.

— Przepraszam najmocniej, droga pani, ale właśnie tego uczynić nie mogę — odparł Chauvelin, a chytre lisie jego oczy spoczęły znów przenikliwie na Małgorzacie. — Mam bardzo skuteczne lekarstwo na nudy najgorszego nawet rodzaju, które chętnie bym ci zapisał, ale...

— Ale co?

— Stoi na przeszkodzie sir Percy.

— Cóż on ma z tem wspólnego?

— Zdaje mi się, że bardzo dużo. Lekarstwo, które ci chcę zalecić, piękna pani, nosi bardzo plebejuszowską nazwę: p r a c a.

— Praca?

Chauvelin patrzył na Małgorzatę uporczywie. Zdawać się mogło, że te blade, świdrujące oczy czytają jej najskrytsze myśli. Byli sami i szepty ich ginęły w zgiełku, panującym w zajeździe, a pomimo to Francuz wślizgnął się na korytarz, rozejrzał się

badawczo dokoła, a przekonawszy się, że nikt nie słucha, powrócił do Małgorzaty.

— Czy chcesz oddać Francji małą przysługę? — zapytał.

Wygląd jego się zmienił, długa lisia twarz przybrała wyraz niezwykłej natarczywości.

— A to co? — zawołała swobodnie Małgorzata. — Skąd ta nagła powaga? Nie wiem, czy będę mogła oddać Francji małą przysługę. Jakiż jest rodzaj tej przysługi, której domaga się ode mnie ona lub ty?

— Czy słyszałaś kiedy o Szkarłatnym Kwiecie, obywatelko St. Just? — zapytał nagle Chauvelin.

— Czy słyszałam o Szkarłatnym Kwiecie? — zaśmiała się wesoło. — Przecież o niczem innym się nie mówi! Mamy kapelusze à la „Szkarłatny Kwiat“, konie nasze nazywają się „Szkarłatny Kwiat“, na obiedzie u księcia Walji onegdaj był suflet „à la Szkarłatny Kwiat“. Niedawno — dodała rozbawiona — zamówiłam nową niebieską suknię z zielonem obszyciem i dałabym głowę, że moja krawcowa nazywała ją „à la Szkarłatny Kwiat“.

Chauvelin ani nie drgnął podczas jej szczebiotania i nie próbował przerywać, gdy dziecinny, srebrzysty jej głos rozlegał się wśród wieczornej ciszy. Słuchał jej śmiechu w zamyśleniu, a gdy zamilkła, rzekł oschle i ostro, nie podnosząc głosu:

— W takim razie, obywatelko, jeżeli słyszałaś o tej tajemniczej osobistości, to wiesz, że człowiek, który ukrywa się pod tą szczególną nazwą, jest za-

ciętym nieprzyjacielem naszej republiki, Francji i ludzi takich, jak Armand St. Just.

— To prawda, ale Francja ma narazie tylu nieprzyjaciół...

— Ale ty, obywatelko, jesteś córą Francji i powinnaś jej dopomóc, gdy znajduje się w śmiertelnem niebezpieczeństwie.

— Mój brat Armand poświęca się dla ojczyzny — odparła dumnie. — Ja osobiście nie mogę nic zrobić, mieszkając w Anglii.

— Właśnie że możesz! — Głos jego stał się jeszcze natarczywszy, a lisa twarz przybrała wyraz udanej godności. — Tu, w Anglii, ty jedna możesz nam dopomóc. Słuchaj! Wysłano mnie tutaj jako przedstawiciela republiki. Jutro przedstawię swoje dokumenty Pittowi w Londynie. Mam polecenie zasięgnąć informacji o „Lidze Szkarłatnego Kwiatu“, która stała się nieustanną groźbą dla Francji od czasu, gdy dopomaga arystokratom — zdrajcom ojczyzny i wrogom ludu — do ucieczki przed zasłużoną karą. Wiesz równie dobrze jak i ja, obywatelko, że z chwilą przybycia tutaj ci francuscy emigranci czynią co mogą, aby podburzać umysły przeciw republice. Gotowi połączyć się z każdym nieprzyjacielem, aby ją zaatakować. W ubiegłych miesiącach całe zastępy tych emigrantów, podejrzanych lub już skazanych przez trybunał, przepłynęły kanał. Ich ucieczka była uplanowana, zorganizowana i wykonana przez związek młodych śmiałków angielskich, na czele którego stoi człowiek, o mózgu równie pomyslowym, jak tajemniczą jest jego osoba. Wszyst-

kie usiłowania ze strony moich szpiegów nie doprowadziły do odkrycia, kim jest ten zuchwalec, który pod tem dziwnem przewiskiem pracuje spokojnie na zgubę Francji. Chcę koniecznie zadać mu cios i dlatego potrzebuję twej pomocy. Przez niego mogę wysledzić resztę tej bandy, a wiem, że człowiek ten należy do angielskiego towarzystwa. Znajdź go dla Francji!

Małgorzata słuchała z zapartym oddechem namiętej mowy Chauvelina, nie wymówiwszy ani słowa. Powiedziała mu przed chwilą, że ten tajemniczy bohater z bajki był tematem rozmów towarzystwa, do którego należała. Już oddawna jej serce i wyobraźnia zajęte były myślą o tym szlachetnym człowieku, który nie dla sławy ratował setki istot od straszliwej, bezlitosnej śmierci. Nie żywiła zbyt-niej sympatji do tych dumnych francuskich arystokratów, zakrzepłych w rodowych uprzedzeniach, jak hrabina de Tournay, lecz potępiała metody, stosowane przez rząd, choć była z zasady wolnomyslną i republikanką.

Od szeregu miesięcy nie była w Paryżu, lecz wieści o okrucieństwach i krwiożerczości teroru, które doszły do punktu kulminacyjnego w rzeziach wrześniowych, dotarły do niej przez kanał. Nie znała Robespierre'a, Dantona i Marata jako krwawych niszczycieli i bezlitosnych dostawców gilotyny. Drżała ze zgrozy na myśl, żeby jej brat Armand, umiarkowany republikanin, nie stał się lada chwila jej ofiarą. Więc gdy dowiedziała się o istnieniu tej ligi młodych entuzjastów angielskich, którzy z najczystszej miłości

bliźniego wydzierali kobiety, dzieci, starców i młodzieńców z objęć śmierci, serce jej wezbrało dumą. I teraz, gdy Chauvelin przemawiał, cała jej dusza rwała się do szlachetnego bohatera i wodza nieustraszonej ligi, który codziennie narażał życie i ofiarowywał je z własnej woli, radośnie, dla dobra ludzkości. Gdy Chauvelin skończył, oczy jej były wilgotne. Koronka na jej piersiach falowała gwałtownie pod przyśpieszonym oddechem. Nie słyszała już zgiełku, dochodzącego z zajazdu, nie słyszała głosu męża i bezmyślnego jego śmiechu. Myśli jej uleciały daleko, w pogoni za wyśnionym bohaterem. Ach! byłaby go pokochała, gdyby się był znalazł na jej drodze! Jego postać, potęga, odwaga, ślepa wierność tych, którzy pod jego rozkazami służyli tej samej wzniosłej sprawie, a ponadto tajemniczość, zdobiąca go jakby koroną chwały, wszystko to czarowało romantyczną duszę Małgorzaty.

— Znajdź go dla Francji, obywatelko!

Głos Chauvelina obudził ją ze złotych snów. Bohater zniknął, a niedaleko od niej znajdował się człowiek, któremu poprzysięgła wierność i miłość..

— A wiesz, przyjacielu, że mnie zadziwiasz? — rzekła, przybierając na nowo zwykłą wesołość. — Na Boga, gdzież go mam szukać?

— Ty wszędzie bywasz, obywatelko — szepnął Chauvelin. — Mówiono mi, że lady Blakeney jest osią towarzystwa londyńskiego. Ty wiesz wszystko i słyszysz wszystko!

— Zapominasz, mój drogi — odparła Małgorzata, podnosząc dumnie głowę i patrząc zgóry na stojącą

przed nią małą figurkę — zapominasz widocznie, że sześć stóp sir Percy'ego Blakeney'a i długa tradycja nieskalanych przodków stoją na przeszkodzie między lady Blakeney a tem, co proponujesz?

— Dla dobra Francji, obywatelko...

— Wstydziłbyś się proponować takie nedorzecznosci! Gdybyś nawet wiedział, kim jest „Szkarłatny Kwiat“, byłbyś bezsilny. Wszak wiesz, że on jest Anglikiem.

— Już o tem pomyślałem — rzekł Chauvelin z suchym gorzkim uśmiechem. — W każdym razie moglibyśmy go posłać pod gilotynę, aby ostudzić jego zapał, a potem... gdyby przyszło do dyplomatycznego zawikłania, moglibyśmy przeprosić pokornie rząd brytyjski i w razie potrzeby zapłacić rodzinie odszkodowanie...

— To, co proponujesz, jest wprost potworne — rzekła, odsuwając się od niego, jak od wstrętnego płaza. — Kimkolwiek ten odważny i szlachetny człowiek jest, nigdy — słyszysz? — nie przyłożę ręki do podobnego bezeceństwa.

— Wolisz zatem być znieważana przez lada jakiego arystokratę, który przybywa do tego kraju?

Chauvelin dobrze trafił, puszczając tę ostrą strzałę.

Świeże policzki Małgorzaty zbladły, ale zagryzła wargi, aby nie dać mu poznać, że ją dotknął.

— To nie ma nic do rzeczy — rzekła obojętnie. — Mogę się bronić, ale nie podejmę się nigdy wykonania żadnego nikczemnego czynu dla ciebie lub Fran-

cji. Masz inne sposoby do dyspozycji, możesz ich użyć, przyjacielu.

I nie spojrzawszy już na Chauvelina, odwróciła się i weszła prosto do zajazdu.

— To nie ostatnie twoje słowo, obywatelko — mruknął Chauvelin, gdy snop światła objął jej wytworną postać. — Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze w Londynie.

— Być może, że spotkamy się w Londynie — odpowiedziała, nie odwróciwszy głowy — lecz fakt ten nie zmieni w niczem mego ostatecznego postanowienia.

Otworzyła drzwi kawiarni i zniknęła mu z oczu.

Pozostał na progu i zażył tabaki. Spotkała go odmowa i zniewaga, ale na jego lisiej twarzy nie znać było rozczarowania, ani zakłopotania, owszem dziwnie chytry ironiczny uśmiech zawitał na jego cienkich wargach.

ROZDZIAŁ IX.

Zamach.

Po całodziennym deszczu zapadła cudna noc gwiazdzista. Noc chłodna, jesienna, czysto angielska, pachnąca wilgotną ziemią i opadłymi liśćmi.

Powóz sir Percy'ego, zaprzężony w cztery przepyszne konie jego chowu, uważane za najpiękniejsze w Anglii, toczył się drogą, wiodącą do Londynu. Sir Percy Blakeney siedział na koźle, trzymając lejce w długich, kobiecych rękach, a obok niego lady Blakeney, otulona drogocennym futrem. Pięćdziesiąt mil jazdy w noc gwiazdzistą!... Małgorzata przywitała tę myśl z rozkoszą. Sir Percy był zapałym sportsmenem, a jego czwórka, wysłana kilka dni przedtem do Dovru, była dostatecznie wypoczęta i ochotnie przebywała drogę powrotną.

Małgorzata, korzystając z kilku godzin samotności, kołysana słodkim nocnym powiewem, pogrążyła się cała w myślach.

Wiedziała z doświadczenia, że sir Percy jak zwykle będzie mówił mało, albo zatonie w milczeniu. Jeździł z nią często nocami w tym wspaniałym powozie i czynił najwyżej jedną lub dwie uwagi o powietrzu lub stanie dróg. Ogromnie lubił powozić no-

cą, a i ona także znalazła urok w tym sporcie.. Gdy tak siedziała koło niego, zachwycając się sprawnością, z jaką powoził, zastanawiała się, nad czym ten milczący człowiek duma głęboko. Nigdy jej tego nie powiedział, a ona też go nigdy o to nie spytała.

W „Odpoczynku Rybaka“ Jellyband obchodził dom i gasił światła. Goście jego opuścili już bar, ale na górze w małych, przytulnych pokoikach, gospodarz miał kilku znakomitych gości: hrabinę de Tournay, Zuzannę i wicehrabiego. Poza tem były jeszcze zarezerwowane dwa gotowe pokoje dla sir Andrew Ffoulkesa i lorda Antony'ego, jeśli raczą zaszczyścić stary zajazd i pozostaną na noc. Do tej pory obaj młodzieńcy siedzieli jeszcze w kawiarni przed ogromnem ogniskiem, które mimo łagodnego powietrza płonęło wesoło.

— Powiedz mi, Jelly, czy wszyscy już wyszli? — zapytał lord Antony czcigodnego gospodarza, krzającego się koło stołów i zbierającego pozostałe dzbany i puhary.

— Wszyscy, jak widzisz, mylordzie.

— A czy wszystka służba udała się już na spoczynek?

— Z wyjątkiem chłopca, zajętego w barze, ale — dodał, śmiejąc się — i ten zbój zaśnie lada chwila!

— Wobec tego możemy tu spokojnie rozmawiać jeszcze z pół godziny, nieprawdaż?

— Bezwątpienia, mylordzie. Zostawię świece na kredensie, a pokoje są gotowe. Mieszkam na górze, ale jeżeli panowie głośno zawołają, to na pewno usłyszę.

— Dobrze, Jelly. Nie potrzebujesz zostawiać świecy, ognisko da nam aż nadto światła, a nie chcemy zwracać uwagi przechodniów.

— Do usług, mylordzie.

Jellyband zrobił jak mu kazano, skrzył wiszącą u sufitu staroświecką lampę i zagasił świece.

— Daj nam jeszcze butelkę wina, Jelly — rozkazał sir Andrew.

Jellyband wyszedł po wino. W pokoju było teraz ciemno, tylko kłody drzewa, palące się na ognisku, rzucały krąg migotliwego światła.

— Czy niczego więcej panom nie potrzeba? — zapytał Jellyband, powróciwszy z butelką wina i szklankami, które postawił na stole.

— Mamy wszystko i dziękujemy — odparł lord Antony.

— Dobranoc, mylordzie, dobranoc sir!

— Dobranoc, Jelly!

Obaj młodzieńcy poczekali, aż umilkły na schodach ciężkie kroki gospodarza. Zdawało się, że cały „Odpozynek Rybaka“ pogrążył się we śnie, prócz młodych ludzi, popijających wino przy ognisku.

Nie dochodził najmniejszy szelest prócz tykania staroświeckiego zegara i trzaskania palącego się drzewa.

— I tym razem wszystko dobrze poszło, Ffoulkes, czy nie? — zapytał wkońcu lord Antony.

Sir Andrew był widocznie zatopiony w myślach, gdyż patrzył w ogień, jakgdyby w nim widział ładną

twarzyczkę z dużymi czarnymi oczami i ciemne loki otaczające młodociane czoło.

— Tak, zupełnie dobrze — odparł z roztargnieniem.

— Nie było przeszkody?

— Żadnej.

Lord Antony nalał sobie szklanekę wina i zaśmiał się wesoło.

— Nie widzę potrzeby zadania ci pytań, czy tym razem podróż była dla ciebie przyjemna.

— Nie, przyjacielu, to byłoby zbyt cenne.

— W takim razie: na jej zdrowie! Ładna to panielka — dodał jowialnie lord Antony — choć... Francuzka. Niech ci się wiedzie, mój drogi!

Wychylił kieliszek do ostatniej kropli i przysiadł się do sir Andrew bliżej ogniska.

— Zdaje mi się, że na ciebie przypada następna podróż, Tony — rzekł sir Andrew, budząc się ze swoich myśli. — Tobie i Hastingsowi życzę również miłego zadania i tak rozkosznego towarzysza podróży. Nie możesz sobie wyobrazić, Tony...

— Nie, nie wyobrażam sobie — przerwał wesoło przyjaciel — ale wierzę ci na słowo. A teraz... — tu młoda jego twarz przybrała wyraz wielkiej powagi — jak stoi nasza sprawa?

Przybliżyli ku sobie krzesła i instynktownie, choć byli zupełnie sami, głosy ich zniżyły się do szeptu.

— Widziałem przedwczoraj „Szarłatny Kwiat“ przez kilka minut w Calais — rzekł sir Andrew. —

Wrócił do Anglii na dwa dni przed nami. Towarzy-
szył całej wyprawie od samego Paryża w przebra-
niu... — nigdy w to nie uwierzysz — starej przekupki,
wiozącej w krytym wozie hrabinę de Tournay, pannę
Zuzannę i wicehrabiego pod stosem kapusty i rzepy.
Oni naturalnie ani się domyślali, kto był woźnicą!
Przeprowadził ich przez cały oddział wojska i wy-
jający tłum, który krzyczał: „A bas les aristos!“ Ale
wóz przejechał i „Szkarłatny Kwiat“ w szalu, spód-
nicy i czepcu wołał jeszcze głośniej od innych:
„Śmierć arystokratom!“ Słowo daję — dodał mło-
dzieńców, a oczy jego błyszczały zachwytem dla
ukochanego wodza — to nadzwyczajny człowiek!
Jego odwaga jest wprost zdumiewająca; jej to za-
wdzięcza, że wszystko zawsze mu się udaje.

Lord Antony nie miał takiego daru wymowy jak
jego przyjaciel, wydał więc tylko parę wykrzykni-
ków podziwu dla swego wodza.

— Kazał wam powiedzieć — ciągnął dalej z więk-
szym spokojem — abyście, ty i Hastings, spotkali się
z nim w Calais drugiego dnia przyszłego miesiąca.
Którego dnia to będzie? Zdaje mi się, że w środę.

— Tak, w środę.

— Tym razem przychodzi kolej na hrabiego de
Tournay. Niebezpieczne to zadanie. Wiesz zapewne,
że nieszczęśliwy hrabia, uważany za podejrzanego
przez trybunał bezpieczeństwa publicznego, zdołał
uciec z pałacu przy pomocy genialnego „Szkarłatnego
Kwiatu“, który po mistrzowsku ten plan przeprowa-
dził, ale obecnie hrabia jest skazany na śmierć. Wy-

prowadzić go z Francji będzie ciężką robotą. Armand pojechał teraz, aby się z nim spotkać. Dotąd nikt nie podejrzewa St. Justa, ale potem? Jak wyjść z tej sytuacji obronną ręką? Zaręczam ci, to bardzo niebezpieczna igraszka i ciężka próba dla geniuszu naszego wodza. Mam zawsze jeszcze nadzieję, że i ja dostanę rozkaz towarzyszenia wam.

— Czy masz szczególne polecenia dla mnie?

— Tak, dużo ściślejsze niż zwykle. Podobno rząd republikański posłał do Anglii zaufanego agenta, człowieka zwanego Chauvelin, który ma być zacieklým wrogiem naszej ligi i który poprzysiągł sobie, że zdemaskuje naszego wodza i przyłapie go w chwili, gdy stanie na ziemi francuskiej. Ten Chauvelin sprowadził ze sobą całą zgraję szpiegów, a nasz wódz postanowił, abyśmy w sprawach ligi spotykali się jak najrzadziej, pod żadnym warunkiem nie rozmawiali ze sobą w publicznych miejscach, przynajmniej przez pewien czas. Gdy będzie chciał z nami się skomunikować, znajdzie już na to sposób.

Młodzieńcy pochyłili się nad ogniskiem, gdyż płomień już zgasł i tylko czerwony żar rozpalonych węgli rzucał słabe światło w bliskości. Reszta pokoju zatopiona była w mroku. Sir Andrew wyjął z kieszeni notes, rozwinął arkusz papieru i obaj zaczęli czytać przy słabem świetle gasnących węgli. Tak byli zatopieni w tej czynności, tak myślą ich zawładnęła całkowicie droga ich sercom sprawa, tak cenny był dokument, napisany własną ręką ubóstwia-

nego wodza, że nie słyszeli i nie widzieli nic dookoła siebie; ani szelestu wysuwających się węgli pod rusztem, ani monotonnego tykania zegara, ani nawet cichego szmeru, który się rozległ za nimi. Jakaś postać wysunęła się z pod jednej z ławek i jak wąż zbliżyła się do młodzieńców, czołgając w ciemnościach.

— Masz przeczytać to polecenie, zapamiętać dobrze i zniszczyć.

Już miał włożyć napowrót notes do kieszeni, gdy mały papierek wysunął się i upadł na ziemię.

Lord Antony schylił się i podniósł go.

— Co to jest? — zapytał.

— Nie wiem — odrzekł sir Andrew.

— Wypadł właśnie z twojej kieszeni i widocznie nie ma nic wspólnego z tamtymi papierami.

— Ciekawe! Jak się tam dostał?... Pochodzi od wodza — dodał, spojrzawszy na pismo.

Obydwaj nachylili się znowu, aby przeczytać co zawierało to nowe polecenie, skreślone naprędce, gdy wtem lekki szmer, dochodzący z korytarza, zwrócił ich uwagę.

— Co to jest? — zawołali równocześnie. Lord Antony przeszedł przez pokój i otworzył nagle drzwi. W tej samej chwili otrzymał pomiędzy oczy uderzenie pięścią tak silne, że odrzuciło go zpowrotem na salę. Równocześnie czołgająca postać powstała z ziemi i rzuciła się na sir Andrew, który oszołomiony tak niespodziewaną napaścią, upadł na podłogę.

To wszystko nie trwało dłużej niż trzy sekundy i nim sir Andrew lub lord Tony zdołali krzyknąć, już czterech ludzi zakneblowało im usta, skrępowali nogi i ręce i związali plecami do siebie.

Tymczasem jeden z napastników ostrożnie zamknął drzwi. Miał na sobie maskę i czekał spokojnie, aż jego towarzysze ukończą swą czynność.

— Już wszystko w porządku, obywatele — rzekł jeden z ludzi, obejrzawszy dokładnie więzy, krępujące młodzieńców.

— Dobrze — odrzekł człowiek przy drzwiach — teraz przeszukajcie wszystkie kieszenie i oddajcie mi znalezione papiery.

Rozkaz wykonano w okamgnieniu. Zamaskowany człowiek, wzięwszy w posiadanie dokumenty, posłuchał przez chwilę, czy cisza nie została zakłócona, a przekonawszy się, że jego nikczemny zamach nie zwrócił niczyjej uwagi, otworzył drzwi i wskazał korytarz rozkazującym ruchem.

Czterech ludzi podniosło z ziemi lorda Antony'ego i sir Andrew i śpiesznie, równie cicho, jak przyszli, wynieśli ich w głęboką noc ku drodze do Londynu.

W kawiarni zamaskowany wódz tego śmiałego napadu przejrzał pobieżnie skradzione papiery.

— Jak na pierwszy dzień, udało się nieźle — szepnął, zdejmując maskę, a blade lisie jego oczy błysnęły w czerwonym blasku ognia. — Nieźle, wcale nieźle...

Rozwinął kilka arkuszy, wyciągniętych z notesu sir Andrew, spostrzegł skrawek papieru, który mło-

dzi ludzie zdołali ledwo przeczytać, ale szczególnie jeden list, podpisany „Armand St. Just“, ucieszył go szczególnie.

— Armand St. Just — zdrajcą! — zasyczał — a teraz, piękna Małgorzato Blakeney — dodał przez zaciśnięte zęby — dopomożesz mi może do wyszukania „Szkarłatnego Kwiatu“.

ROZDZIAŁ X.

W łoży operowej.

Pamiętnego roku 1792 w teatrze „Covent Garden“ w Londynie odbywało się pierwsze jesienne galowe przedstawienie.

Teatr był przepelniony. Tłum zalał nietylko łoże i parter, ale galerje przeznaczone dla ludu. Orfeusz Glucka zainteresował przeważnie towarzystwo muzyczne, a eleganckie panie i modnisie zadowolić się musiały osobami, których ostatnia nowość importowana co dopiero z Niemiec zbytnio nie interesowała. Liczni wielbiciel Seliny Storace wywoływali ją kilkakrotnie po odśpiewaniu wielkiej arji, a Benjamin Incedon, faworyt pań, otrzymał z łoż królewskiej skinienie, pełne uznania. Właśnie kurtyna zapadła po wspaniałym finale drugiego aktu. Widzowie słuchali w takim skupieniu przepysznego głosu wielkiego mistrza, że odetchnęli z ulgą, mogąc przez chwilę wesoło i swobodnie porozmawiać. W eleganckich łożach tłum podziwiał znane osobistości. Był tam Pitt, obarczony troską o państwo, który przyszedł szukać odpoczynku w muzycznej wieczornej rozrywce, i księżę Walji, zawsze wesół, ale

trochę rubaszny, odwiedzający w łóżach najbliższych przyjaciół.

W łoży lorda Grenville'a pociągała wzrok ciekawa osobistość. Drobną małą figurką o chytrej sarkastycznej twarzy i głęboko osadzonych lisich oczach, słuchała z zajęciem muzyki, dowcipnie krytykując towarzystwo. Pan ten ubrany był czarno i miał ciemne niezapudrowane włosy. Lord Grenville, sekretarz spraw zagranicznych, obchodził się z nim z wyszukaną grzecznością, choć bardzo chłodno.

Tu i owdzie wśród typowo angielskich piękności zauważyć można było kilka obcych twarzy. Była to wyniosła szlachta francuska, prześladowana przez rząd rewolucyjny ich ojczyzny, która schroniła się na ziemię angielską. Nieszczęścia i zawody wyryły głębokie piętna na ich twarzach. Szczególnie kobiety mało zważały na muzykę i świetne towarzystwo, a myśli ich błąkały się daleko, szukając męża, brata, którzy byli w niebezpieczeństwie lub ulegli już okropnemu losowi.

Ogólną uwagę zwracała dopiero co przybyła z Francji hrabina de Tournay de Basserive. Ubrana w czarną jedwabną suknię, ozdobioną białym koronkowym szalem, aby nie dać pozorów żałoby, siedziała koło lady Portarles, która usiłowała żartami i wesołą rozmową wywołać uśmiech na jej ustach. Za niemi siedziała Zuzanna w towarzystwie wicehrabiego, oboje onieśmieleni obecnością tylu nieznajomych ludzi. Oczy Zuzanny były zamyślane. Gdy weszła do zapełnionego teatru, przebiegła wzrokiem wszyst-

kie twarze, wszystkie łoże i widocznie nie znalazłszy jedynej osoby, którą pragnęła zobaczyć, usiadła cichutko za matką i słuchała apatycznie muzyki, nie zwracając uwagi na towarzystwo.

— Ach, lordzie Grenville! — zawołała lady Portarles, gdy po dyskretnem zapukaniu, klasyczna i inteligentna głowa sekretarza stanu okazała się w drzwiach łoża — nie mogłeś zjawić się bardziej „à propos“. Oto hrabina de Tournay, która ginie z ciekawości, aby usłyszeć ostatnie wiadomości z Francji.

Elegancki dyplomata zbliżył się i przywitał panie.

— Niestety! Są jak najgorsze... — odrzekł ze smutkiem. — Rzeź trwa, Paryż literalnie ocieka krwią, a gilotyna domaga się coraz to nowych ofiar.

Hrabina oparta o fotel, blade i jakby skamieniała, słuchała krótkiego sprawozdania z wypadków rozgrywających się w jej nieszczęsnej ojczyźnie.

— Mój Boże! jak to boleśnie słuchać o tem wszystkim — panie — rzekła złą angielszczyzną — mój biedny mąż pozostał jeszcze w tym okropnym kraju! Co za męka... ja siedzę bezpiecznie w teatrze, gdy on otoczony jest takim niebezpieczeństwem!

— Ależ pani — rzekła zawsze szczerą i otwartą lady Portarles — nic ci nie pomoże ucieczka do klasztoru; tem nie wyratujesz życia męża! Musisz myśleć o twoich dzieciach, a one są za młode, aby wciąż smucić się i martwić.

Hrabina uśmiechnęła się przez łzy na tę szczerą radę przyjaciółki. Lady Portarles, której głos i maniery były stosowniejsze raczej dla dzokieja, miała

w gruncie rzeczy złote serce i pod tą trywjalną rubasznością, którą niektóre damy przybierały wówczas dla pozy, kryły się najdelikatniejsze uczucia.

— Poza tem pani — dodał lord Grenville — czy nie wspominałaś mi wczoraj, że liga „Szkarłatnego Kwiatu“ przysięgła ci, że przeprowadzi hrabiego przez kanał?

— Tak — odparła zagadnięta — i to jest moja jedyna nadzieja. Widziałam wczoraj lorda Hastings i znów dodał mi otuchy.

— W takim razie nie powinnaś niczego się lękać. Co liga przyrzekła, wykona z pewnością. Niestety! — westchnął stary dyplomata — czemuż nie jestem o parę lat młodszy!

— Ale jesteś jeszcze dostatecznie młody, aby pokazać plecy temu francuskiemu straszdyłu, które króluje w twojej loży — przerwała lady Portarles.

— Uczyniłbym to z pewnością, gdyby to było w mojej możności, ale musisz pamiętać, mylady, że służąc ojczyźnie, musimy odłożyć na bok uprzedzenia. Pan Chauvelin jest zaufanym przedstawicielem rządu...

— A to dobre! Nazywasz tych łotrów rządem?

— Dotąd Anglja nie uważała za stosowne zerwać dyplomatycznych stosunków z Francją — rzekł minister — i wobec tego jesteśmy zmuszeni przyjmować uprzejmie posła, którego mianowała.

— Niech djabli wezmą dyplomatyczne stosunki, mylordzie! zaręczam ci, że ten chytry lis jest niczem innem, tylko szpiegiem. Przekonasz się, że będzie zajmować się bardzo mało dyplomacją, a za

to szkodzić ukrytym tu monarchistom, heroicznemu „Szkarłatnemu Kwiatowi“ i jego zacnej lidze.

— Jestem pewna, — rzekła hrabina, przygryzając wargi, — że jeżeli ten Chauvelin zamierza zrobić nam krzywdę, to znajdzie wiernego sprzymierzeńca w osobie lady Blakeney.

— A to dopiero złośliwa kobieta! — wykrzyknęła lady Portarles.

— Lordzie Grenville, jesteś bardzo wymowny, proszę cię zatem, wytłumacz hrabinie, że mówi niedorzeczności. W twojem położeniu tu w Anglii, pani — ciągnęła zwróciwszy się do emigrantki z twarzą zaczerwienioną z oburzenia — nie możesz sobie pozwalać na te pańskie kaprysy, które tak lubią wasi francuscy arystokraci. Lady Blakeney może być w przyjaźni lub nie z tymi łotrami z rewolucji, mogła mieć coś wspólnego lub nie ze skazaniem St. Cyra, ale jest dziś osobą bardzo wysoko postawioną: sir Percy Blakeney ma większą fortunę, niż pół tuzina innych lordów wziętych razem i cieszy się ogromnem poważaniem u dworu, więc chcąc poniżyć lady Blakeney, nie zaszkodziś jej z pewnością w niczem, tylko siebie pani ośmieszysz. Czyż nie mam racji, mylordzie?

Lecz nikt nie dowiedział się nigdy, co o tem długim kazaniu lady Portarles pomyślał lord Grenville lub hrabina de Tournay, gdyż właśnie podniesiono kurtynę. Rozpoczął się trzeci akt Orfeusza i ze wszystkich stron zaczęły dochodzić niecierpliwe sykanie o ciszę.

Lord Grenville pożegnał spiesznie panie i wślizgnął się do swej łoży, gdzie Chauvelin przesiedział cały antrakt, sam z nieodstępną tabakierką w rękę. Blade oczy wlepił w łożę naprzeciw, gdzie z szelestem jedwabiu i wesołym śmiechem na ustach weszła właśnie w towarzystwie męża piękna lady Blakeney. Wyglądała wprost czarująco w lekko zapudrowanych złotawych puklach, przytrzymanych nisko w tyle głowy olbrzymią czarną wstążką. Ubrana zawsze według ostatniej mody, tym razem wzgardziła skrzyżowanym szalem, ogólnie wówczas noszonym. Miała suknię o krótkiej klasycznej talji, którą przyjęto niebawem w całej Europie, i w tym stroju była szczególnie piękna, gdyż podnosił wspaniałą linję jej postaci, a błyszcząca materia sukni lśniła bogactwem złotych haftów.

Gdy weszła, wychyliła się, aby przywitać znajomych; z łoży królewskiej posłano jej krótkie i serdeczne pozdrowienie.

Chauvelin śledził ją uporczywie z początkiem trzeciego aktu, gdy słuchała z zajęciem muzyki. Drobną jej rączką bawiła się wachlarzykiem, wysadzonym kosztownymi kamieniami. Głowę jej, szyję i ramiona okrywały wspaniałe diamenty złożone w darze przez ubóstwiającego ją męża.

Małgorzata ogromnie lubiła muzykę. Orfeusz ją zachwycał. Radość życia odbijała się na jej twarzy, w wesołych niebieskich oczach i drżała uśmiechem na ustach. Licząc dopiero 25 lat, w pełni rozkwitu swej młodości, była bóstwem uwielbianem przez najwykwintniejsze towarzystwo. Dwa dni

temu „Day Dream“ powrócił z Calais, przywożąc wiadomości o ukochanym bracie. Armand donosił, że odbył szczęśliwie podróż, że myśli o niej i że będzie ostrożny, o ile tylko na to możność pozwoli. I w tej chwili słuchając namiętnych akordów Glucka, zapomniała o rozczarowaniach, o przelotnych marzeniach, zapomniała nawet o dobrodusznej, ospalej miernocie męża, który obsypywał ją brylantami i splendorami wielkoświatowego życia. Sir Percy pozostał przy żonie tak długo, jak mu nakazywały formy grzeczności i odstąpił swe miejsce w łożu jego królewskiej wysokości i całemu zastępowi wielbicieli, którzy składali hołd królowej mody. Wyszedł na pogawędkę z przyjaciółmi, ale Małgorzata nie zapytała nawet, czemu ją opuszcza, ani gdzie idzie, tak mało ją to interesowało.

Choć otaczał ją świetny dwór złotej młodzieży londyńskiej, wyprawiła wszystkich z rozpoczęciem trzeciego aktu, pragnąc pozostać sama z Gluckem.

Dyskretne zapukanie do drzwi oderwało ją od muzyki.

— Proszę — rzekła z lekkim odcieniem zniecierpliwienia, nie patrząc na intruza.

Chauvelin, czekając na sposobną chwilę, zauważył, że była sama, i nie zważając na niecierpliwie „proszę“, cicho wsunął się do łoża i stanął za krzesłem Małgorzaty.

— Jedno słówko, citoyenne — szepnął.

Małgorzata obróciła się żywo.

— Przestraszyłeś mnie — rzekła z wymuszonym uśmiechem. — Twoja obecność nie jest dla mnie

wcale pożądana, gdyż chcę słuchać Glucka i nie jestem usposobiona do rozmowy.

— Ta chwila daje mi jedyną sposobność — odpowiedział spokojnie; i nie czekając na pozwolenie, przysunął krzesło tak blisko, że mógł szeptać jej do ucha, nie przeszkadzając słuchaczom i nie będąc widziany na ciemnym tle łoży. — Jest to moja jedyna sposobność — powtórzył, nie otrzymawszy odpowiedzi. — Lady Blakeney jest zawsze tak otoczona, tak poszukiwana przez swych wielbicieli, że zwykły stary przyjaciel nie może mieć żadnych specjalnych względów...

— W takim razie musisz poszukać innej sposobności — odparła z rozdrażnieniem. — Dziś idę po operze na bal do lorda Grenville'a, gdzie i ty z pewnością będziesz, więc przeznaczę ci 5 minut czasu na rozmowę.

— Trzy minuty w tej pustej łoży wystarczy mi zupełnie, a zdaje mi się, że postąpisz rozsądnie, jeżeli wysłuchasz mnie, citoyenne St. Just.

Małgorzata drgnęła. Chauvelin nie podniósł głosu, zażył spokojnie tabaki, a mimo to było coś w jego bladych oczach, co mroziło krew w żyłach, jakgdyby przecucie śmiertelnego niebezpieczeństwa.

— Czy to groźba, citoyen? — zapytała.

— Nie, piękna pani. To tylko strzała wymierzona w próżnię.

Umilkł na chwilę, gotowy do skoku jak kot na widok biegnącej myszy, gdy czeka z zadowoleniem na ból, który zada.

— Twój brat St. Just jest w niebezpieczeństwie — szepnął po chwili.

Ani jeden muskuł nie drgnął na pięknej twarzy Małgorzaty. Chauvelin mógł ją widzieć tylko z profilu, lecz będąc wybornym obserwatorem, zauważył nagle drgnienie powiek i bolesny skurcz ust.

— Znów jeden z twoich urojonych spisków — odrzekła z udaną wesołością. — Zrobiłbyś lepiej, gdybyś powrócił na twoje miejsce i nie przeszkadzał mi w słuchaniu muzyki.

Nerwowym ruchem zaczęła wachlarzem wybijać takt o poręcz łoża. Selina Storace śpiewała właśnie „Che fare“ i cały teatr z przejęciem słuchał cudnego głosu primadonny. Chauvelin nie ruszył się z miejsca i z niezmaconym spokojem patrzył na ruchy nerwowej rączki, która zdradzała, że strzała trafiła celnie.

— A więc? — rzekła nagle w tym samym niebdałym tonie.

— A więc obywatelko?

— Co grozi memu bratu?

— Mam dla ciebie wiadomości o nim i zdaje się, że cię zainteresują, ale najpierw pozwól mi wszystko wytłumaczyć. Czy mogę?

Zapytanie było zbyteczne. Wiedział dobrze, że choć Małgorzata była w dalszym ciągu odwrócona do niego, każdy nerw drgał w oczekiwaniu.

— Przed kilkoma dniami prosiłem cię o pomoc. Francja potrzebowała jej i myślałem, że będę mógł liczyć na ciebie. Tymczasem zawiodłem się. Od tego czasu moje liczne zajęcia i twoje światowe obowiąz-

ki rozdzieliły nas, chociaż zaszło dużo nieprzewidzianych faktów...

— Do rzeczy, do rzeczy — przerwała. — Muzyka jest czarująca i słuchacze zaczną się niecierpliwić twojem szeptaniem.

— Chwileczkę, citoyenne. Tegoż dnia, kiedy miałem honor spotkać cię w Dover, w godzinę po otrzymaniu twej ostatecznej odpowiedzi, wszedłem w posiadanie pewnych dokumentów, które mi wyjawiały nowy plan ucieczki całej bandy arystokratów, pomiędzy innymi i zdrajcy de Tournay. Plan ten zorganizowany został przez tego intryganta, zwanego „Szkarłatnym Kwiatem“. Niektóre nici tego tajemniczego spisku wpadły w moje ręce, ale nie wszystkie i potrzebuję ciebie... musisz mi dopomóc, aby zdobyć cały kłębek.

Małgorzata słuchała go ze wzrastającym niepokojem. Wzruszyła ramionami i rzekła lekceważąco:

— Czy ci nie powiedziałam już raz przyjacielu, że mnie nic nie obchodzi ani twoje plany, ani „Szkarłatny Kwiat?“ Gdybyś nie był wspomniał o moim bracie...

— Trochę cierpliwości, błagam cię, citoyenne — ciągnął dalej z flegmą. — Dwaj dżentelmeni lord Antony i sir Andrew byli tej samej nocy w „Odpoczynku Rybaka“.

— Wiem, widziałam ich tam.

— Wiedziałem już przez moich szpiegów, że należą do tej przeklętej ligi. Sir Andrew przewiózł hr. de Tournay i jej dzieci przez kanał. Gdy ci dwaj młodzi ludzie zostali sami w gospodzie, moi szpie-

gowie wtargnęli do kawiarni, zwiążali i ubezwładnili tych dwóch kawalerów, wydobyli papiery z ich kieszeni i oddali mi je.

W mgnieniu oka zgadła, gdzie leżało niebezpieczeństwo.

— Papiery? Czyżby Armand był nieostrożny? Sama myśl o tem przepełniała ją zgrozą, ale ciągle jeszcze nie chciała zdradzić, że się lęka, i nie przestała śmiać się wesoło.

— Twoja bezczelność przechodzi wszelkie granice! Rąbunek połączony z gwałtem! I to tu, w Anglii, w przepełnionym zajeździe? twoi ludzie mogli być schwyceni na gorącym uczynku!

— Więc cóż? oni są dziećmi Francji i w dodatku mają rutynę, którą nabyli u twego powolnego sługi. Gdyby ich schwytano, byłiby bez słowa protestu poszli do więzienia, do ciężkich robót, nie wydawszy nikogo. W każdym razie warto było zaryzykować. Niekiedy napełniony hotel jest bezpieczniejszy, niż ci się to zdawać może, a moi ludzie mają doświadczenie.

— Dobrze, a te papiery? — spytała niedbale.

— Choć dowiedziałem się z tych dokumentów o niektórych nazwiskach... i działaniach... które wystarczą mi, aby narazie przeszkodzić spiskowi, nie wywnioskowałem z nich niestety kim jest „Szkarłatny Kwiat“.

— W takim razie, przyjacielu, nie postąpiłeś ani o krok dalej, niż byłeś poprzednio, nieprawdaż? Możesz mi zatem pozwolić wysłuchać w spokoju ostatniej części arji? Ach! — dodała, udając, że

ziewa ze znudzenia. — Gdybyś nie był wspominał o moim bracie...

— Dochodzę właśnie do jego sprawy, citoyenne. Między znalezionymi papierami był też list do sir Andrew Ffoulkes'a, pisany przez twego brata St. Justa.

— No i cóż z tego?

— Ten list wskazuje, że twój brat nietylko sprzyja nieprzyjaciołom Francji, ale jest ich pomocnikiem, jeżeli nie członkiem ligi „Szkarłatnego Kwiatu“.

Ostatecznie cios został zadany. Małgorzata dawno go już oczekiwała.

Za nic nie chciała okazać lęku, przeciwnie, usiłowała zachować nadal ton lekceważący, żartobliwy i aby się opanować, skupiała wszystkie siły i zasoby swej inteligencji. Nawet teraz, gdy cios padł, nie straciła zimnej krwi. Wiedziała, że Chauvelin mówi prawdę. Był zanadto poważny i oddany ohydnej sprawie, zanadto dumny ze swych rodaków - wywrotowców, aby poniżyć się do podłych kłamstw bezcelowych.

Ten list Armanda, tego nieostrożnego szalonego Armanda, znajdował się w rękach Chauvelina! Małgorzata wierzyła w to niezachwianie, jakgdyby widziała go na własne oczy. Wiedziała, że Chauvelin zachowa go do swoich celów i że użyje go przeciwko Armandowi lub zniszczy stosownie do korzyści, jakie może osiągnąć. Wszystko to wiedziała, a śmiała się wciąż dalej wesołym, pustym śmiechem

— A więc mój drogi — rzekła zwracając się do niego przez ramię i patrząc mu prosto w oczy — czyż nie powiedziałam ci, że jest to z pewnością ja-

kiś urojony spisek? Armand w lidze z tym zagadkowym „Szkarłatnym Kwiatem“! Armand pomagający tym francuskim arystokratom, którymi pogardza! Winszuję ci! Ta bajka jest rzeczywiście znakomitą tworem twojej fantazji!

— Pozwól mi dodać, citoyenne — rzekł z naciśkiem — że St. Just jest skompromitowany bez najmniejszej nadziei ratunku.

W łóżu zapadło przez kilka sekund głębokie milczenie. Małgorzata siedziała wyprostowana bez ruchu, próbując zebrać myśli, zorientować się w położeniu, powziąć jakiegokolwiek postanowienie.

Na scenie Storace kończyła arję i w stylowej sukni wedle mody XVIII wieku kłaniała się klaskającej z zapalem publiczności.

— Chauvelin — rzekła wkońcu głosem bardzo spokojnym i pewnym — przyjacielu, musimy się wkońcu porozumieć. Zdaje mi się, że mój umysł zarzewiał w tym mglistym klimacie. Powiedz mi, czy pragniesz gorąco dowiedzieć się, kim jest „Szkarłatny Kwiat?“

— To najzacieklejszy wróg Francji, citoyenne, i tem niebezpieczniejszy, że pracuje w ukryciu.

— Tem szlachetniejszy, chcesz powiedzieć... dobrze. A teraz pragniesz zmusić mnie do szpiegostwa, wzamian za życie mego brata Armanda... czy tak?

— Fe! dwa brzydkie słowa, piękna pani — zaprotestował grzecznie Chauvelin — nie może być mowy o „zmuszaniu“, a przysługa, o którą cię pro-

szę w imieniu Francji, nie może być nigdy nazwana brzydkim mianem szpiegostwa!

— W każdym razie tak tę czynność tu nazywają — odparła oschle. — Więc to jest twojem dążeniem?

— Mojem dążeniem jest, abyś wyprosiła przebaczenie dla Armanda St. Just, oddając mi małą usługę.

— Jaką?

— Pro prostu, żebyś dziś wieczorem zwracała baczną uwagę na wszystko. Citoyenne St. Just, słuchaj: pomiędzy papierami, które znaleźliśmy przy sir Andrew Ffoulkes, była notatka. Patrz — dodał, wyciągnąwszy z kieszeni skrawek papieru i podał jej do przeczytania.

Był to ten sam skrawek papieru, który przed 4 dniami obaj młodzieńcy mieli w rękach, w chwili gdy napadli na nich szpiegowie Chauvelina. Małgorzata wzięła go machinalnie i nachyliła się, aby przeczytać. Dojrzała tylko dwie linje skreślone widocznie umyślnie zmienionem pismem.

Odczytała treść półgłosem.

— Pamiętajcie, że tylko w ważnych wypadkach możemy się spotkać. Macie wszystkie potrzebne wskazówki na drugiego. Jeżeli chcecie jeszcze ze mną pomówić, będę na balu G.

— Co to ma znaczyć?

— Przeczytaj jeszcze raz, to zrozumiesz.

— W rogu jest mały znak — czerwony kwiatek.

— Tak.

— „Szkarłatny Kwiat!“ — zawołała żywo — a G. oznacza bal Grenville'a... będzie dziś wieczorem na balu u lorda Grenville'a!

— I ja w ten sposób to rozumiem, citoyenne — potwierdził Chauvelin.

— Gdy moi szpiegowie związali i przeszukali sir Andrew Ffoulkesa i lorda Antony'ego Dewhursta, kazałem ich przenieść do pewnego opuszczonego domu, który wynająłem na drodze ku Londynowi. Przetrzymałem ich tam aż do dnia dzisiejszego, ale po znalezieniu tego oto papieru postarałem się, aby jak najprędzej stanęli w Londynie i zdążyli na bal lorda Grenville'a. Rozumiesz? Z pewnością będą mieli mnóstwo rzeczy do omówienia ze swym wodzem. Poszukają sposobności widzenia się z nim, jak to zresztą sam zaproponował. Dlatego też dziś rano dozorczy zniknęli i dwaj dżentelmeni znaleźli w swem więzieniu wszystkie zamki i bramy otwarte, a na podwórzu dwa dobre, osiodłane konie. Nie widziałem ich jeszcze, ale nie ulega wątpliwości, że przyjechali do Londynu co koń wyskoczy. Teraz widzisz, obywatelko, jakie to proste.

— Rzeczywiście, bardzo proste — rzekła z przekąsem w głosie. — Gdy chcesz zarżnąć kurczę, łapiesz je, skręcając mu szyję, z tą różnicą, że kurczę nie uważa, że to bardzo proste. Teraz kładziesz mi nóż na gardle i sądzisz, że niema nic prostszego, ale ja jestem zupełnie innego zdania.

— Nie, obywatelko, ofiarowuję ci jedynie sposób wyratowania brata, którego kochasz, ze skutków jego szaleństwa.

Twarz Małgorzaty złagodniała, oczy jej zasłyzały i szepnęła jakby do siebie:

— Jedyna istota na świecie, która mnie prawdziwie kochała — do końca. Ale co mam robić, Chauvelin? — rzekła z bezgraniczną rozpaczą w głosie. — W mojem obecnem położeniu jest to przecież niemożliwe.

— Nie, obywatelko — odrzekł oschle, nie zwracając uwagi na ten okrzyk dziecięcego bólu, który byłby w stanie wzruszyć kamienne serce. — Jako lady Blakeney nikt cię nie będzie podejrzewał, i z twoją pomocą dziś w nocy uda mi się może przejrzeć, kto jest „Szkarłatnym Kwiatem“. Idziesz na bal dzisiejszy, słuchaj więc i patrz pilnie dokoła. Daj mi znać, gdy dojdzie do ciebie jakiś szept lub słowo. Możesz zapamiętać każdego, z kim rozmawiał sir Andrew lub lord Antony. „Szkarłatny Kwiat“ będzie na balu lorda Grenville'a dziś wieczorem, powiedz mi, kim on jest, a ja ci dam słowo w imieniu Francji, że twemu bratu nic złego nie zagraża.

Chauvelin oparł jej ostrze noża na gardle. Małgorzata zrozumiała, że się wplątała w sieć, z której nie było wyzwolenia. Ofiarowano jej nagrodę bezcenną i wiedziała, że człowiek ten dotrzyma obietnicy.

Nie ulegało wątpliwości, że Armand już był uważany za podejrzanego przez trybunał bezpieczeństwa publicznego, że tenże trybunał nie pozwoli mu wyjechać z Francji i skaże go bez miłosierdzia, jeżeli ona, lady Blakeney, odmówi Chauvelinowi posłuszeństwa.

Chciała się zapewnić i wyciągnęła rękę do tego człowieka, którego lękała się teraz i nienawidziła.

— Jeżeli obiecami ci pomoc w tej sprawie, czy oddasz mi list brata? — zaryzykowała.

— Jeżeli dopomożesz mi skutecznie, dzisiaj w nocy, obywatelko — odparł z ironicznym uśmiechem — to oddam ci list... jutro.

— Czy mi nie ufasz?

— Ufam ci całkowicie, kochana lady, ale życie St. Justa jest w rękach jego ojczyzny i tylko od ciebie zależy jego okupienie.

— Może mi się przecie nie udać pomimo całej mojej dobrej woli — błagała.

— To byłoby naprawdę okropne — odpowiedział zimno. — Okropne dla ciebie i... St. Justa.

Małgorzata zadrżała. Zrozumiała, że nie mogła spodziewać się litości, że człowiek ten trzymał ukochane życie w swych rękach. Znała go zbyt dobrze, aby nie wiedzieć, że w razie nieudanej próby postąpi z całą bezwzględnością.

Mimo gorąca panującego w sali przeszył ją zimny dreszcz. Porywające tony muzyki dochodziły do niej jakby z wielkiej odległości. Otuliła ramiona koronkowym szalem i siedziała milcząca, zapatrzona w scenę i jakby pogrążona w śnie złowrogim.

Myśli jej odbiegły na chwilę od ukochanej istoty, będącej w niebezpieczeństwie, a zwróciły się do tego drugiego człowieka, który miał też prawo do jej zaufania i miłości. Była opuszczona, drżała o życie Armanda, pragnęła pomocy i rady od kogoś, kto wiedziałby, jak pomóc i pocieszyć. Sir Percy Blakeney kochał ją niegdyś, był jej mężem, czemuż więc miała cierpieć samotnie w tej ciężkiej rozterce?

Nie był wprawdzie inteligentny, ale miał tyle męskiej siły... Gdyby zaczęli działać wspólnie, mogliby obrócić wniwecz plany chytrego dyplomaty i wyrwać z jego rąk zakładnika, nie narażając życia szlachetnego wodza odważnej garstki bohaterów. Sir Percy znał St. Justa, miał dla niego dużo przyjaźni, i Małgorzata była pewna, że mąż zechce jej pomóc.

Chauvelin nie zwracał już na nią uwagi. Postawił jej bezwzględne ultimatum, a rozstrzygnięcie zależało od niej. Zdawało się, że uważnie słucha melodii Orfeusza, gdy w takt kołysał swą spiczastą głowę, podobną do głowy łasicy.

Ciche pukanie do drzwi wyrwało Małgorzatę z zadumy. Był to sir Percy Blakeney. Wszedł jak zawsze w doskonałym humorze, z uśmiechem napół nieśmiałym, napół głupkowskim i rzekł głosem powolnym, który bardziej niż kiedykolwiek rozdrażnił jego żonę:

— Twój powóz już czeka, kochanie. Zdaje mi się, że idziesz na ten nudny bal... Ach, przepraszam, monsieur Chauvelin... nie zauważyłem pańskiej obecności.

Wyciągnął dwa długie, białe palce ku Chauvelinowi, który powstał, gdy sir Percy wszedł do łóży.

— Czy wychodzisz, moja droga?

— Cicho! cicho! — odezwały się z różnych stron gniewne głosy.

— A to bezczelność! — zawyrokował sir Percy z dobrodusznym uśmiechem.

Małgorzata westchnęła. Jedyna jej nadzieja pierz-
chła bezpowrotnie. Otuliła się płaszczem i nie spoj-
rzawszy na męża, przyjęła jego ramię.

— Jestem gotowa — rzekła krótko.

Przy drzwiach łoży obróciła się i spojrzała prosto
w oczy Chauvelinowi, który trzymając swój kape-
lusz pod pachą, uśmiechał się osobliwie, zamierzając
towarzyszyć tej dziwnie dobranej parze.

— Dowidzenia, Chauvelin, spotkamy się za chwilę
na balu u lorda Grenville'a — rzuciła wesoło, a chy-
try Francuz wyczytał w jej oczach coś, co mu wi-
docznie wielką sprawiło radość, gdyż zażył tabaki;
strzepnął pył z koronkowego żabotu i zatarł kościste
ręce z widocznym zadowoleniem.

ROZDZIAŁ XI.

Bal u lorda Grenville'a.

Wspaniały bal wydany przez lorda Grenville'a, sekretarza spraw zagranicznych, należał do najświetniejszych przyjęć sezonu. Chociaż jesienne zabawy dopiero się rozpoczynały, wszyscy którzy należeli do najwytworniejszego towarzystwa, starali się na czas zjechać do Londynu, by wziąć udział w tej uroczystości i wystąpić jak najokazalej.

Jego królewska wysokość księżę Walji obiecał przybyć prosto z opery, a lord Grenville sam zjawił się na 2 akty Orfeusza, zanim wrócił do domu, by przyjmować gości. O 10-tej, co było na owe czasy bardzo późną godziną, wielkie apartamenty pałacu spraw zagranicznych, zdobne przepysznymi kwiatami i egzotycznymi palmami, zapełniły się gośćmi. Jedną salę przeznaczono na tańce. Delikatne tony menueta wtórowały śmiechom i wesołym rozmowom licznie zgromadzonego wykwiintnego towarzystwa.

W mniejszym salonie naprzeciw klatki schodowej dostoyny gospodarz oczekiwał zaproszonych gości. Wybitne osobistości, piękne panie, znani dygnitarze, ze wszystkich krajów Europy witali go wy-

szukanym ukłonem, jakiego wymagała przesadna moda XVIII wieku, a następnie rozchodzili się po salach tańca lub gry.

Wpobliżu lorda Grenville'a Chauvelin wsparty o kolumnę, w eleganckim czarnym stroju robił skrupulatny przegląd wchodzących gości. Zauważył, że sir Percy i lady Blakeney jeszcze nie zjawili się, i jego blade, przenikliwe oczy zwracały się żywo ku drzwiom, bacznie przyglądając się nadchodzącym nowym gościom.

Był nieco osamotniony. Jako poseł rewolucyjnego rządu francuskiego nie mógł liczyć na wielką popularność w Anglii, w chwili, gdy wieści o straszliwych rzeziach wrześnieowych i o panowaniu terroru i anarchji zaczęły obiegać kraj. Koledzy jego w sferach oficjalnych przyjęli go uprzejmie, Pitt uściskał mu dłoń, lord Grenville przyjął go kilkakrotnie na prywatnych audjencjach, ale towarzystwo londyńskie ignorowało go zupełnie. Kobiety obracały się plecami na jego widok, mężczyźni, którzy nie piastowali oficjalnych urzędów, nie witali się z nim nigdy.

Ale Chauvelin nie przejmował się bynajmniej takim stanem rzeczy, zaliczając owe publiczne zniewagi do kategorii zwykłych nieprzyjemności kariery dyplomatycznej. Ślepo i fanatycznie oddany sprawie rewolucji, pogardzał wszelkimi różnicami społecznymi i kochał namiętnie ojczyznę. Te trzy czynniki uczyniły go najzupełniej obojętnym na sposób, w jaki go przyjmowano w tej zamglonej lojalnej, zacofanej Anglii. Ponadto wszystko Chauvelin

miał przeświadczenie, że wszyscy bez wyjątku arystokraci francuscy byli zaciekłymi wrogami Francji i dlatego pragnął ich zagłady. Należał do ludzi, którzy pierwsi za panowania teroru wygłosili okrutne życzenie, „by arystokracja mogła posiadać jedną tylko głowę, by ją można było ściąć za jednym zamachem“. Uważał, że każdy szlachcic, który zdołał uciec z Francji, był zdobyczą niesłusznie wydartą gilotynie, ze szkoda ogółu. Nie wątpił, że po przekroczeniu granicy emigranci czynili co mogli, aby wywołać oburzenie cudzoziemców na ich własną ojczyznę. Niezliczone spiski knuto w Anglii, Belgii i Holandji, aby zmusić jakieś wielkie mocarstwo do wysłania wojsk przeciwko zbuntowanemu Paryżowi, uwolnić Ludwika XVI i powywieszać wszystkich krwawych przywódców tej potwornej republiki.

Nic więc dziwnego, że zagadkowa i romantyczna postać „Szkarłatnego Kwiatu“ była przedmiotem gorzkiej nienawiści Chauvelina. Jemu i kilku śmiałkom, stojącym pod jego rozkazami, udało się zapomocą pieniędzy i bezprzykładnego zuchwalstwa wyratować setki monarchistów francuskich.

Dziewięć dziesiątych emigrantów przyjmowanych na angielskim dworze zawdzięczało swe życie temu właśnie człowiekowi i jego lidze.

Chauvelin przysiągł towarzyszom z Paryża, iż wyśledzi tego Anglika, wciągnie go podstępnie w granice Francji, a wtedy!... wzdychał z lubością na samą myśl o egzekucji i widział już w marzeniu tę dumną głowę spadającą pod nożem gilotyny.

Nagle zamilkły rozmowy, a głos odzwierne go za-
wołał donośnie:

— Jego królewska wysokość książę Walji i jego
dwór, sir Percy Blakeney, lady Blakeney!

Lord Grenville zbliżył się śpiesznie do drzwi na
przyjęcie znakomitego gościa.

Książę Walji, ubrany we wspaniałe galowy strój,
z aksamitu „saumon“, bogato haftowany złotem,
wszedł na salę, prowadząc pod ramię Małgorzate
Blakeney. Po lewej stronie księcia szedł sir Percy
w kremowym mieniącym się atłasie, skrojonym we-
dług mody „incroyable“ z beczennymi koronkami
przy szyi i rękawach. Jego jasne, faliste włosy nie
były zapudrowane, a pod pachą niósł szapoklak.

Po zwykłym etykietalnym przywitaniu lord Gren-
ville zwrócił się do królewskiego gościa.

— Czy pozwoli wasza królewska wysokość, że
mu przedstawię pana Chauvelina, posła rządu fran-
cuskiego?

Gdy książę wszedł do salonu, Chauvelin prosił
o przedstawienie siebie. Skłonił się bardzo nisko,
a książę podziękował mu lekkim skinieniem głowy.

— Monsieur — rzekł jego królewska wysokość
bardzo chłodno — spróbujemy zapomnieć, jaki rząd
cię tu przysyła, uważając cię jedynie za naszego go-
ścia, zwykłego poddanego francuskiego, i jako ta-
kiego witam cię panie.

— Monseigneur — odrzekł Chauvelin z nowym
ukłonem.

— Madame — dodał, zwracając się do Małgo-
rzaty.

— Ach! mon petit Chauvelin! — zawołała wesoło, podając mu rękę. — Wasza królewska wysokość, pan Chauvelin i ja jesteśmy parą przyjaciół.

— W takim razie, panie Chauvelin — rzekł książę uprzejmie — jesteś tu tem lepiej widziany.

— Jeszcze jedna osoba pragnie dostąpić zaszczytu i zostać przedstawiona waszej królewskiej wysokości — przerwał lord Grenville.

— A któż to? — zapytał książę.

— Hrabina de Tournay de Basserive i jej rodzina, wszyscy przybyli z Francji dopiero przed kilkoma dniami.

— Ci mają szczęście — zauważył książę.

Lord Grenville poszedł po hrabinę. Siedziała w samym końcu salonu, ale gdy książę Walji ujrzał zdaleka nadchodzącą sztywną postać starej damy, szepnął do Małgorzaty.

— Aż bije od niej cnota i melancholja!

— Proszę waszej królewskiej wysokości — odparła piękna Francuzka — cnota jest jak cenne pachnidło, gdy się je rozetrze, wydaje woń tem silniejszą.

— Niestety, cnota — westchnął książę — nie dodaje uroku waszej płci czarującej.

— Hrabina de Tournay de Basserive — przedstawił lord Grenville.

— Poznanie pani jest dla mnie zaszczytem. Mój ojciec, król angielski, jest rad, że może przyjąć twoich rodaków, pani, na naszej ziemi.

— Wasza królewska wysokość jest pełen dobroci — odrzekła hrabina z wyszukaną godnością. — Moja córka Zuzanna — dodała, wskazując córkę, która nieśmiało stała obok matki.

— Urocza, urocza! — zawołał książę. — A teraz pozwól hrabino, że ci przedstawię lady Blakeney, zaszczycającą nas swą przyjaźnią. Zaręczam, że panie będą miały dużo tematów do rozmowy. Każdy rodak lady Blakeney jest tu podwójnie dobrze widziany. Przyjaciele jej są naszymi przyjaciółmi, a wrogowie wrogami Anglii!

Niebieskie oczy Małgorzaty zajaśniały radością pod wpływem uprzejmych słów królewskiego przyjaciela. Hrabina de Tournay, która przed kilkoma dniami znieważyla ją w tak okropny sposób, otrzymała publiczną nauczkę, co było dla Małgorzaty rodzajem zadośćuczynienia. Dla hrabiny zaś uległość wobec monarchji była rodzajem religji; znała aż nadto etykietę dworską, aby okazać choćby najłżejsze nieukontentowanie i obie panie oddały sobie wzajemnie żądany ukłon.

— Monseigneur jest zawsze uprzejmy — rzekła figlarnie Małgorzata, — ale zbyt czyste tu były jego pochlebne wyrazy. Zapamiętam na zawsze z wdzięcznością, jak miło przywitałaś mnie pani, gdy miałam szczęście spotkać cię po raz pierwszy.

— My biedni wygnańcy okazujemy naszą wdzięczność dla Anglii uległością względem waszej królewskiej wysokości — odrzekła hrabina.

— Madame — ukłoniła się znów Małgorzata.

— Madame — podziękowała jej z równą grzecznością hrabina.

Tymczasem ksiązę Walji zamienił kilka słów z młodym wicehrabią.

— Cieszę się, że miałem przyjemność poznać pana. Znałem dobrze twego ojca, gdy był ambasadorem w Londynie.

— Ach, monseigneur, byłem wówczas dzieckiem, a teraz zawdzięczam to spotkanie naszemu opiekunowi, któremu na imię „Szkarłatny Kwiat“.

— Cicho — szepnął żywo ksiązę, wskazując Chauvelina, który przez cały czas stał na uboczu, przypatrując się z ironicznym uśmiechem hrabinie i Małgorzacie.

— Nie, monseigneur — zaprzeczył dyplomata, jakby w odpowiedzi na znak księcia — nie wstrzymuj objawów wdzięczności tego młodzieńca! Nazwa owego zajmującego czerwonego kwiatu jest dobrze znana i mnie i całej Francji!

Książę spojrział na niego badawczo.

— Ha, mój panie, zdaje mi się, że wiesz więcej, niż my o naszym narodowym bohaterze. Może powiesz nam zatem, kim on jest? Spójrzyj — dodał, zwracając się do rozmawiającego towarzystwa — wszystkie panie z ciekawością spoglądają na ciebie. Staniesz się niesłychanie popularnym wśród nich, jeżeli zdradzisz tę wielką tajemnicę!

— Monseigneur — rzekł dobitnie Chauvelin — wszyscy twierdzą we Francji, że wasza wysokość mógłby, gdyby zechciał, dać nam najściślejsze informacje o tym zagadkowym, drobnym kwiatku...

Mówiąc te słowa, rzucił spojrzenie na Małgorzatę, która nie zdradziła najmniejszego wzruszenia i najspokojniej wytrzymała wzrok chytrego dyplomaty.

— Nic panu nie mogę odpowiedzieć — odparł książę. — Członkowie ligi zazdrośnie przechowują tajemnicę swego wodza, a piękne czcicielki nieznanego bohatera muszą się zadowalać uwielbieniem jego cienia. Tu w Anglii — dodał wyniośle i z imponującym urokiem — wystarcza nam wymienić imię „Szkarłatnego Kwiatu“, a już każda świeża twarzyczka oblewa się rumieńcem zapału. Nikt go nie zna, prócz wiernej garstki jego podwładnych. Nie wiemy, czy jest wysoki, czy drobnego wzrostu, czy ma jasne włosy, czy ciemne, czy jest piękny, lub źle zbudowany, ale wiemy, że jest najszlachetniejszym dżentelmenem na całym świecie. Jesteśmy dumni wszyscy, jak jeden mąż, że „Szkarłatny Kwiat“ jest Anglikiem!

— Panie Chauvelin — zawołała Małgorzata, patrząc podejrzliwie na spokojną twarz francuskiego Sfinksa. — Jego królewska wysokość nie dodał, że my, damy, czcimy go jak bohatera zamierzchłych wieków. Uwielbiamy go, nosimy jego barwy, drżymy o niego w chwilach niebezpieczeństwa, a radujemy się z nim, gdy zwycięża.

Chauvelin nie odrzekłszy słowa, skłonił się w milczeniu przed księciem i Małgorzatą. Wyczuwał u nich głęboką pogardę dla siebie, ale i on pogardzał tym księciem, rozmiłowanym w zabawach, a co do pięknej damy, która w złotych włosach nosiła ga-

łazkę szkarłatnych kwiatków z diamentów i rubinów, czyż nie miał jej całej w swych rękach? Mógł zatem pozwolić sobie na milczenie i czekać na rozwój dalszych wypadków.

Wesoły wybuch śmiechu przerwał dziwny nastrój, który zapanował wśród rozmawiających.

— A my, biedni mężowie — rzekł wspaniały sir Percy powolnym głosem — stoimy zupełnie na uboczu, gdy one... kochają się w cieniu...

Odpowiedział mu wybuch chóralnego śmiechu, a książę śmiał się najgłośniej. Żart ten rozchmurzył czoła i po chwili rozmawiano znów wesoło, rozchodząc się grupami po wszystkich salach.

ROZDZIAŁ XII.

Skrawek papieru.

Małgorzata przeżywała straszliwe męczarnie. Śmiała się, rozmawiała, otaczano ją, dogadzano jej bardziej niż innym kobietom, a mimo to miała wrażenie, że jak skazaniec czeka na ostatnią godzinę.

Bolesne napięcie nerwów spotęgowało się jeszcze podczas kilku chwil, spędzonych w towarzystwie męża po powrocie z opery. Słaby promień nadziei, że znajdzie w dobrodusznym, leniwym mężu światłego doradcę i przyjaciela, zgasł równie prędko, jak rozbłysł.

Miała dla tego człowieka uczucie życzliwego lekceważenia, jakby dla oddanego sługi, lub wiernego zwierzęcia. I dlatego właśnie odwróciła się z pobłażliwym uśmiechem od męża, który powinien był stać się w ciężkiej rozterce jej moralną podporą, gdy jej honor kobiety ważył się między miłością do zagrożonego brata a obrzydzeniem dla nikczemnej przysługi, mającej okupić życie Armanda.

Ach! ta moralna podpora, ten światły doradca! W gronie młokosów o płaskim mózgu powtarzał z uciechą biegnącą z ust do ust bezmyślną stroikę, którą właśnie im zadeklamował. Ze wszystkich

stron dochodził do niej ten bezdennie głupi wiersz. Nawet sam książę zapytał ze śmiechem, czy oceniła ostatni utwór poetycki męża.

— Ułożyłem go podczas zawiązywania krawatu — oświadczył swym wielbicielom sir Percy.

„Szukam go tu, szukam go tam,
Francuz mówi — już go mam...
Niema go w niebie, w piekle go szukam,
„Szkarłatny Kwiat“ znów umknął nam!“

To „bon mot“ sir Percy'ego obiegło wszystkie salony. Uradowany książę oświadczył, że życie bez Blakeneya byłoby beznadziejną pustynią. Po pewnym czasie, ująwszy go pod ramię, zaprowadził do sali gry i zasiadł z nim przy jednym stole.

Sir Percy, który podczas zebrań towarzyskich stale przesiadywał przy stolikach z kartami, pozwalał żonie flirtować, tańczyć, bawić się lub nudzić dowolnie. I tego wieczoru zdobywszy się na ten dowcipny wierszyk, pozostawił Małgorzatę, otoczoną tłumem wielbicieli, którzy dokładali wszelkich starań, aby zapomniała jak najprędzej o mężu, dość naiwnym, aby ludzić się niegdyś, że „najmędrsza kobieta w Europie“ zadowoli się zimną formą angielskiego małżeństwa. Podniecenie nerwów i niepokój dodawały jej jeszcze uroku. Otoczona zbitą masą mężczyzn różnych narodowości, budziła ogólny zachwyt i podziw. Nie chciała już myśleć o niczem. Jej wychowanie, trochę poniekąd cygańskie, uczyniło ją fatalistką. Tłumaczyła sobie, że wypadki muszą pójść

swoją koleją, a kierunek ich nie zależał od niej. Wiedziała, że od Chauvelina nie mogła spodziewać się litości. Naznaczył cenę za głowę Armanda i pozostawił jej rozstrzygnięcie.

Późnym wieczorem zauważyła przybycie sir Andrew Ffoulkesa i lorda Antony'ego Dewhursta. Sir Andrew zwrócił się natychmiast do Zuzanny de Tournay i oboje stanawszy we framudze okna, rozpoczęli długą i zajmującą rozmowę.

Obaj młodzieńcy wyglądali na nieco zakłopotanych i niespokojnych; poza tem ani z ich stroju, ani zachowania nie można było odgadnąć strasznej przygody, jaką przeżyli i która zagrażała bezpieczeństwu ich wodza.

Małgorzata wywnioskowała ze słów Zuzanny, że liga „Szkarłatnego Kwiatu“ nie miała zamiaru zamieścić uwolnienia i porwania hrabiego de Tournay. Młoda Francuzka i jej matka wierzyły niezachwianie, że ojciec przyjedzie do Anglii za kilka dni.

Rozglądając się po wytwornem towarzystwie, zgromadzonem w rzęsiście oświetlonych salonach, Małgorzata zapytywała się w duchu, który z tych dumnych panów był zagadkowym „Szkarłatnym Kwiatem“, trzymającym w silnych dłoniach nici tak zawitych spisków i los tylu drogich istot?

Ogarnęła ją paląca ciekawość, aby koniecznie poznać go dzisiaj. Pragnęła wiedzieć, kim on jest, zupełnie bezinteresownie, nie z powodu Armanda i nie dla Chauvelina, ale dla swojej własnej satysfakcji, dla zaspokojenia namiętnej czci, jaką odczuwała dla niego za jego waleczność, zręczność i odwagę.

Był na pewno na balu, skoro lord Antony i sir Andrew znajdowali się tu także, czekając na spotkanie się z wodzem, aby odebrać nowy rozkaz.

Małgorzata śledziła każdego mężczyznę, spoglądała na arystokratyczne normandzkie twarze, na jasnowłosych barczystych Sasów, na delikatniejszych i wesołych Celtów, i pragnęła wyczytać z ich rysów, który z nich zdradzał siłę, potęgę, energię i zręczność dostateczną, aby wybić się na stanowisko wodza tych wysoko urodzonych angielskich dżentelmenów, do których należał, jak twierdzono, jego królewska wysokość.

Może sir Andrew Ffoulkes? — zapytywała, wątpiac, gdyż jego niebieskie oczy były zanadto łagodne, gdy odprowadzały czułem wejrzeniem uroczą Zuzannę, odwołaną przez surową matkę ze słodkiego „tête à tête“.

Z drugiego końca salonu Małgorzata widziała, jak westchnąwszy ciężko, stał przez chwilę samotny i bezradny, patrząc jak zgrabna postać znikła w tłumie przechadzających się gości. Potem skierował się ku drzwiom, prowadzącym do małego bocznego saloniku, i oparł się o nie plecami, spoglądając dokoła niespokojnie.

Małgorzata wymknąwszy się zgrabnie towarzyszącemu jej kawalerowi i precyzyjnie się przez tańczące pary, przystanąła przy drzwiach, o które oparł się sir Andrew. Czemu zapragnęła zbliżyć się do niego?

Nie byłaby z pewnością odpowiedziała na to pytanie.

Może kierowało nią wszechwładne fatum, które tak często zdaje się rządzić losami ludzkiemi?

Nagle zatrzymała się. Serce jej bić przestało w piersiach. Pałającemi oczyma błysnęła w stronę drzwi i natychmiast zwróciła wzrok w inną stronę. Sir Andrew stał ciągle nieruchomo, ale Małgorzata dojrzała wyraźnie, jak lord Hastings, młody elegant, przyjaciel jej męża i księcia Walji, wsunął mu coś skrycie do ręki, przechodząc koło niego.

W mgnieniu oka opanowała się. Z doskonale udaną obojętnością przeszła się parę razy po sali, a potem zwróciła się nagle ku drzwiom saloniku, w których zniknął młodzieniec. Wszystko to trwało najdłużej minutę i oto w tej chwili przestała istnieć lady Blakeney. Została tylko Małgorzata St. Just, która dzieciństwo i wczesną młodość spędziła pod opiekuńczemi skrzydłami brata Armanda. Zapomniała o wszystkim innem, o swem stanowisku, godności, o uwielbieniu dla męstwa... wszystko poszło w niepamięć, prócz jednej myśli, że Armand jest w niebezpieczeństwie, a tam o dwadzieścia kroków od niej, w małym pustym gabinecie w rękach sir Andrew Ffoulkesa znajdował się może talizman, mogący uratować brata...

Nie zwlekając weszła do saloniku. Sir Andrew, obrócony plecami, stał blisko stołu, na którym lśnił światłem ciężki srebrny świecznik. Trzymał w ręku skrawek papieru i czytał go z uwagą. Małgorzata, wstrzymując oddech, zbliżała się cicho. Jej miękka suknia nie zaszeleściła nawet na ciężkim dywanie i... gdy lady Blakeney była już blisko, sir Andrew od-

wrócił się nagle i zobaczył ją. Wydała słaby okrzyk, podobny do jęku, podniosła rękę do czoła i szepnęła cicho:

— To gorące powietrze w salonach jest nie do zniesienia... czuję się tak źle...

Zachwiała się, jakby miała upaść. Sir Andrew, ochłonawszy ze zdumienia, zgniół w ręce przeczytany bilecik i rzucił się na jej ratunek.

— Jesteś chora, lady Blakeney? — zapytał z niepokojem.

— Nie, nie — przerwała szybko. — Krzesło! podaj mi pan krzesło!

Upadła na krzesło blisko stołu i wsparłszy głowę o poręcz, zamknęła oczy.

— Już omdlenie przechodzi — szepnęła bardzo słabo. — Nie troszcz się pan o mnie, zapewniam cię, że czuję się o wiele lepiej.

W takich chwilach, jak zapewniają nas psychologowie, działa szósty zmysł, nie mający nic wspólnego z pięcioma innymi. Nie widzimy, nie słyszymy, nie dotykamy, a jednak odnosimy wrażenie, że czynimy to wszystko jednocześnie. Małgorzata siedziała z przymkniętymi oczami, sir Andrew tuż za nią, a po prawej ręce stał pięcioramienny świecznik.

W owym półśnie widziała tylko twarz Armanda, tego Armanda, którego życie było tak bardzo zagrożone. Zdawało się, że patrzył na nią z kipiącego tłumu Paryża, z tła nagich ścian trybunału bezpieczeństwa publicznego; a sędzia Fouquier Tinville w imię ludu francuskiego domagał się jego głowy...

Posępna gilotyna o zakrwawionym nożu czekała na nową ofiarę... Armand!!...

W saloniku zapadło głębokie śmiertelne milczenie. Ze wspaniałej sali balowej dochodziły słodkie dźwięki gawoty, szelest bogatych sukien, rozmowy i śmiechy gości wesołych, jak dziwny kontrast dramatu, który się tu rozgrywał. Andrew milczał. I nagle ów szósty zmysł objawił się u Małgorzaty. Nie mogła widzieć, gdy oczy miała zamknięte, nie mogła słyszeć, gdy hałas sali balowej zagłuszał szelest papieru, a mimo to wiedziała, jakby widziała i słyszała, że sir Andrew podniósł bilecik do płomienia świecznika.

W chwili, gdy zaczął płonąć, Małgorzata otworzyła oczy, wyciągnęła rękę i delikatnymi palcami wyrwała papier z rąk młodzieńca. Zdmuchnąwszy płomień, spokojnie przyłożyła go do nozdrzy.

— Jakże ci jestem wdzięczna, sir Andrew! — rzekła wesoło. — Na pewno babka twoja zdradziła ci sekret, że woń palącego się papieru jest znakomitą środkiem przeciw omdleniu...

Westchnęła z ulgą, trzymając mocno w swych palcach, okrytych bogactwem pierścieni, ów cenny talizman.

Sir Andrew patrzył na nią z osłupieniem, nie pojmując zupełnie, co się właściwie stało. Nie wiedział, że od tego skrawka papieru, który trzymała w swych delikatnych dłoniach, zależało może życie jednego z jego towarzyszy.

Małgorzata parsknęła wesołym śmiechem.

— Czemu tak patrzysz na mnie? — zapytała rozbawiona. — Zareczam ci, że czuję się zupełnie dobrze. Twój środek jest niezrównany. Taki miły chłód panuje w tym pokoju — dodała z równym spokojem — a dźwięki gawoty, dochodzące z balowej sali, działają na mnie kojąco.

Szczebiotała wesoło, gdy tymczasem sir Andrew w paroksyzmie strachu łamał sobie głowę, w jaki sposób wyrwać dokument z rąk tej kobiety.

Bezladne myśli rozsadzały mu czaszkę. Zbyt dobrze pamiętał, że Małgorzata jest Francuzką, i dręczyła go myśl o okropnej historii margrabiego St. Cyra, w którą w Anglii nie chciano wierzyć ze względu na sir Percy'ego i na jego żonę.

— A więc? Czemu mi się tak przyglądasz? — zapytała, uśmiechając się wesoło. — Jesteś bardzo niegrzeczny i widzę, że moja obecność bardziej cię przeraża, niż cieszy. Przychodzi mi na myśl, że chciałeś spalić ten papier nie z powodu mego zdrowia. Głowę daję, że to bezlitosny bilecik od pani twego serca, który usiłowałeś zniszczyć. Przyznaj się — dodała figlarnie, podnosząc wysoko dokument. — Czy zawiera on ostateczne zerwanie, czy błagalną prośbę o zgodę?

— Czemkolwiek jest, lady Blakeney — rzekł sir Andrew, wracając powoli do panowania nad sobą — bilecik ten bezsprzecznie należy do mnie i... — nie zastanawiając się, czy jego postępowanie nie będzie grubiaństwem wobec kobiety, sięgnął odważnie po papier; ale ruchy pięknej Francuzki pod wpływem podniecenia okazały się zwinniejsze i pewniejsze. Była

wysoka i silna, cofnęła się nagle wtył, trącając mały stolik marmurowy, przeciążony masywnym, srebrnym świecznikiem, który runął z hałasem na podszkłę.

Krzyknęła ze strachu.

— Świece! Sir Andrew, prędko!

Nie stało się nic wielkiego. Jednak dwie świece zgasły, padając na podłogę, i może nieco splamiły woskiem cenny dywan, a jedna zapaliła papierowy abażur świecznika. Sir Andrew zgasił zgrabnie płomień i postawił napowrót kandelabr na stole, ale czynność ta pochłonęła kilka sekund. Małgorzata skorzystała z nich, aby rzucić wzrokiem na papier i zapamiętać kilka słów, nakreślonych znaną jej ręką, zamiast podpisu zakończonych tym samym czerwonym kwiatkiem w formie gwiazdki.

Gdy sir Andrew spojrzał na Małgorzatę, nie wyczytał z jej twarzy nic innego, jak zmieszanie z powodu wypadku, a tak dla niego cenny papier leżał spokojnie na dywanie.

Młody człowiek podniósł go śpiesznie i rysy jego wypogodziły się nagle.

— Wstydz się, panie — rzekła żartobliwie, potrząsając głową. — Robisz spustoszenia w sercu pewnej romantycznej księżnej w chwili, gdy zdobywasz miłość uroczej Zuzanny. Ręczę, że sam Kupido był twym sprzymierzeńcem i zagroził pożarem całemu ministerstwu spraw zagranicznych, aby wydrzeć z mej ręki ten list miłosny, nim spoczną na nim niedyskretne oczy! Jeszcze chwileczka, a była-

bym się dowiedziała o tajemnicy tej nieznaney księżnej.

— Pozwolisz, lady Blakeney — rzekł spokojnie sir Andrew — abym dokończył zajęcia, które mi przerwałaś.

— Ależ naturalnie, jakże mogłabym ponownie sprzeciwiać się bóstwu miłości, które może zesłałoby na mnie straszliwą karę za moją ciekawość. Spal twój bilecik, proszę cię!

Sir Andrew zwinął papier i przyłożył go do jedynej palącej się jeszcze świecy.

Tak był zajęty swem dziełem zniszczenia, że nie zauważył na twarzy Małgorzaty dziwnego uśmiechu. Może wyraz ulgi byłby znikł z jego rysów, gdyby podniósł oczy. Fatalny skrawek papieru kurczył się i skręcał w ogniu. Ostatni strzęp upadł na posadzkę i sir Andrew przydeptał obcasem dymiący popiół.

— A teraz, sir Andrew — rzekła Małgorzata z właściwą sobie prostotą i czarującym uśmiechem — czy odważysz się na wywołanie zazdrości u swej pięknej przyjaciółki, zapraszając mnie do tańca? Oto rozpoczynają menueta...

ROZDZIAŁ XIII.

Ten albo tamten.

Kilka słów, które Małgorzata zdążyła przeczytać na półspalonym papierze, były istotnie słowami przeznaczenia: „Jutro wyjadę sam“, przeczytała wyraźnie. Wielka plama, spowodowana dymem świecy, zatarła następne litery, ale na samym brzegu kartki skreślono inne zdanie, które rysowało się przed jej oczami tak wyraźnie, jakgdyby napisane było ognistemi zgłoskami: „Jeżeli chcesz ze mną pomówić jeszcze raz, będę w sali jadalnej punktualnie o 1-szej“, i zamiast podpisu w rogu kartki płonął jak zwykle naprędce narysowany mały czerwony kwiatek.

Punkt o pierwszej! a teraz była blisko jedenasta. Tańczono ostatniego menueta i sir Andrew z piękną lady Blakeney prowadzili pary w kunsztownym wirze ślicznych i stylowych figur.

Z jaką zawrotną szybkością posuwają się wskazówki na pięknym zegarze Ludwika XV, umieszczonym na konsoli ze złożonego brązu... Za dwie godziny rozstrzygną się losy Małgorzaty i Armanda. Za dwie godziny musi ona zdecydować się, czy zachować dla siebie tajemnicę tak podstępnie wykradzioną i zostawić brata swojemu losowi, czy też do-

browolnie z całą świadomością zdradzić człowieka heroicznego, poświęcającego życie dla bliźnich, człowieka, który nie przeczuwał zdrady? Był to czyn haniebny, ale przecież wchodziło tu w grę życie Armanda! Armand także był odważny i szlachetny, także nie spodziewał się zdrady... Armand kochał ją i byłby z całym zaufaniem powierzył jej swoje życie, i oto w chwili, gdy mogła go ratować, wahała się... Jakże potworne było to wahanie! Oczywiście Armanda, dobre i czułe, tak pełne miłości dla niej, zdawały się patrzeć z wyrzutem. „Mogłaś mnie ratować, Margaret! — mówiły do niej — a wybrałaś obcego człowieka, którego nie znasz, którego nigdy nie widziałaś, by mnie wysłać pod gilotynę!”

Te sprzeczne myśli dręczyły biedną Małgorzatę, gdy z uśmiechem na ustach składała wdzięczne ukłony w zawiłych figurach menueta. Zauważyła ze zwykłą bystrością, że potrafiła uspokoić wszystkie obawy sir Andrew. Jej panowanie nad sobą było zdumiewające. Lepiej grała swą rolę dzisiaj, tańcząc menueta, niż dawniej na deskach Komedji Francuskiej, ale wówczas życie brata nie zależało od jej aktorskich zdolności.

Była zbyt sprytna, by zepsuć rolę przesada, i dlatego nie robiła już najmniejszej wzmianki o miłosnym bileciku, który sprawił sir Andrew tyle przykrości. Pod wpływem srebrzystego śmiechu Małgorzaty niepokój jej tancerza ustępował powoli. Nie wiedział, w jakim stanie zdenerwowania znajdowała się i ile ją kosztował ten pozorny lekki ton i banalna

rozmowa. Gdy ucichły dźwięki menueta, lady Blakeney poprosiła sir Andrew, aby ją zaprowadził do sąsiedniego salonu.

— Obiecałam jego królewskiej wysokości, że pójdę z nim na kolację. Ale zanim rozstaniemy się, powiedz mi, czy mi przebaczyłeś?

— Czy przebaczyłem?

— Tak. Przyznaj się, że przestraszyłam cię przed chwilą, ale zapominasz, że nie jestem Angielką i nie uważam za zbrodnię wymiany miłosnych bilecików. Obiecuję, że nie zdradzę cię przed Zuzanną. A teraz, czy mogę liczyć, że przybędziesz na majówkę, którą urządzam w środę?

— Nie mogę się zobowiązać, lady Blakeney — odrzekł wymijająco. — Będę może zmuszony opuścić jutro Londyn.

— Nie zrobiłabym tego, gdybym była na twoim miejscu — rzekła poważnie, ale widząc nowy przestach w jego oczach dodała wesoło: — Nikt nie umie lepiej od ciebie rzucać piłki i bardzo byłoby nam brak ciebie podczas zabawy.

Zaprowadził ją do drugiego salonu, gdzie jego królewska wysokość czekał już na piękną lady Blakeney.

— Madame, nasza kolacja już gotowa — rzekł książę, podając Małgorzacie ramię. — Jestem pełen otuchy: bogini Fortuna obeszła się ze mną tak srogo podczas gry, że z ufnością stawiam czoło boskim uśmiechom piękności.

— Wasza królewska wysokość nie miał szczęścia przy kartach? — zapytała, przyjmując ramię księcia.

— Ach, tak, wcale mi się nie wiodło. Nie wystarczy temu Blakeney'owi fakt, że jest najbogatszym poddanym mego ojca, ale jeszcze ma wprost czarodziejskie szczęście i co za niezrównany umysł... Zapewniam cię, pani, że życie byłoby posępną pustynią bez twoich uśmiechów i jego dowcipu.

ROZDZIAŁ XIV.

Punkt pierwsza.

Przy kolacji panowała nadzwyczajna wesołość. Wszyscy oświadczyli zgodnie, że nigdy lady Blakeney nie była piękniejsza, a ten idjota sir Percy zabawniejszy.

Jego królewska wysokość śmiał się do łez z głupich, ale niemniej pociesznych dowcipów Blakeney'a. Śpiewano jego czterowiersz „Szukam go tu, szukam go tam“, na melodję „Ho! Merry Britons“ przy akompaniamencie brzęku szklanek. Dodać trzeba, że lord Grenville miał pierwszorzędnego kucharza. Ogólnie twierdzono, że był to potomek starej szlacheckiej rodziny francuskiej, który straciwszy majątek, chciał się znów dorobić w kuchniach ministerstwa spraw zagranicznych.

Małgorzata Blakeney była jakby w najlepszym humorze i oczywiście nikt nie domyślał się nawet, jak straszna walka wrzała w jej duszy.

Wskazówki zegara posuwały się wciąż ze straszliwą bezwzględnością. Już było dawno po dwunastej i książę Walji wstał od stołu.

Za pół godziny miało wypełnić się przeznaczenie dwóch szlachetnych ludzi — ukochanego brata i nieznanego bohatera

Lady Blakeney unikała spotkania ze Chauvelinem. Była pewna, że gdy spojrzy na nią lisiemi oczyma, przechyli odrazu szalę na stronę Armanda. Nie widząc go, miała zawsze jeszcze nadzieję, że stanie się coś wielkiego, wstrząsającego, co zrzuci z jej ramion to straszne brzemie odpowiedzialności.

Ale minuty mijały szybko z ową bezlitosną monotonością, która w chwilach ciężkich prób szarpie jeszcze bezwzględniej naszymi zbolełymi nerwami.

Po kolacji zaczęto znów tańczyć. Książę Walji opuścił już bal, a starsi goście zaczęli się też rozchodzić za jego przykładem. Niemordowana młodzież tańczyła nowego gawota, ale Małgorzata nie czuła się już na siłach, by znów wmieszać się w tłum balowy i z coraz większą trudnością panowała nad ogarniającą ją trwogą. W towarzystwie ministra gabinetu udała się znów do owego zacisznego saloniku, domyślając, że Chauvelin szuka sposobności, aby się z nim spotkać.

Podczas menueta, poprzedzającego kolację, wyczytała w chytrych oczach dyplomaty, iż zgadł, że dzieło jego jest spełnione.

Widocznie taka była wola przeznaczenia... Małgorzata szarpana najstraszniejszą rozterką, jaką kiedykolwiek przeżyło serce kobiety, poddała się wkońcu jego wyrokowi. Wszak Armanda musi wyratować za wszelką cenę, bo był jej bratem, matką i przyjacielem od czasu, gdy jako małe dziecko straciła rodziców. Nie mogła dopuścić, aby Armand zginął jak zdrajca pod gilotyną. Nigdy, nigdy stać się to nie może... a jaki będzie los nieznanego bo-

hatera — niech przeznaczenie rozstrzygnie. Małgorzata musi wydrzeć Armanda ze szponów wroga, nie troszcząc się o dalsze koleje nieustraszonego wodza. Wierzyła wreszcie w głębi duszy, że ten śmiały spiskowiec, który przez tyle już miesięcy stawiał czoło całym zastępom szpiegów i tym razem potrafi wymknąć się Chauvelinowi.

Zagłębiała w myślach, siedziała obok ministra gabinetu, który był przekonany, że piękna dama słucha z uwagą jego mądrych uwag, gdy wtem za korytarz drzwi saloniku ukazała się długa twarz Chauvelina.

— Lordzie Fancourt — rzekła do ministra, — czy mogę prosić o małą przysługę?

— Jestem na twoje rozkazy, mylady — odparł z kurtuazją.

— Czy zechciałbyś zajrzeć do sali gry? Chciałabym wiedzieć, czy mój mąż jest tam jeszcze. Jeżeli tak, proszę cię mylordzie, powiedz mu, że czuję się bardzo zmęczona i pragnęłabym wrócić już do domu.

Prośby pięknych kobiet są zawsze rozkazami, nawet dla ministrów gabinetu. Lord Fancourt wstał natychmiast.

— Nie chciałbym zostawić cię samej, mylady.

— Nie obawiaj się, mylordzie, nic mi się nie stanie i nikt nie będzie mi przeszkadzał. Jestem naprawdę bardzo zmęczona. Jak wiesz, jedziemy powozem aż do Richmond. To bardzo daleka droga i jeżeli się nie pospieszymy, to przed świtem nie zajedziemy do domu.

Po odejściu lorda Fancourta Chauvelin wsunął się do pokoju.

— Czy masz jakie wiadomości dla mnie, obywatelko? — zapytał.

Lodowaty dreszcz wstrząsnął całym ciałem Małgorzaty, choć twarz jej pałała ogniem. — Ach Armandzie, czy ocenisz kiedykolwiek, jak wielką ofiarę z dumy i godności kobiecej twoja siostra poniosła dla ciebie? — pomyślała z bolesnem drżeniem.

— Nic ważnego — odrzekła, patrząc przed siebie tępym wzrokiem, — ale zdaje się, że mogę naprowadzić cię na ślad. Podpatrzyłam — mniejsza o to jakim sposobem — sir Andrew palącego przy świecy pewien skrawek papieru w tym oto pokoju. Udało mi się wydrzeć z jego rąk ów bilecik i rzucić nań pobieżnie wzrokiem.

— Czy miałaś dość czasu, by go przeczytać?

Kiwnęła potakująco głową i ciągnęła dalej bezdźwięcznym głosem:

— W rogu papieru był zwykły znak — mały czerwony kwiatek. — Nad tym znakiem przeczytałam dwa wiersze, bo reszta była zniszczona przez płomień.

— Jak brzmiały te dwa wiersze?

Głos jej odmówił posłuszeństwa i czuła, że nie jest w stanie wypowiedzieć słów, które wysła na śmierć wielkiego bohatera.

— Co za szczęście dla ciebie, że cały papier nie spłonął — odezwał się oschle Chauvelin — inaczej byłoby źle z Armandem St. Just... — Proszę o treść tych dwóch wierszy — powtórzył.

— Treść?... „Wyjadę jutro sam“. Drugi wiersz brzmiał następująco: „Jeżeli chcesz jeszcze raz ze mną pomówić, będę w sali jadalnej punkt o pierwszej“.

Chauvelin spojrział na zegar nad kominkiem.

— W takim razie mam dość czasu — rzekł z flegmą.

— Co chcesz zrobić? — spytała gwałtownie.

Była trupio blada. Ręce miała lodowate, a serce jej biło gwałtownie w okropnem naprężeniu nerwów.

— Jakie to straszne... jakie straszne... czem sobie zasłużyłam na taką ciężką karę? Uczyniła już wybór i nie wiedziała, czy postąpiła szlachetnie, czy nikczemnie? Tylko anioł, zapisujący złotemi zgłoskami czyny ludzkie, mógł jej na to odpowiedzieć.

— Co chcesz zrobić? — powtórzyła bezdźwięcznie.

— Ach, narazie nic, a potem... to zależy.

— Od czego?

— Od tego, kogo zobaczę w sali jadalnej punktualnie o pierwszej.

— Zobaczysz, że tam będzie „Szkarłatny Kwiat“, ale nie znasz go i...

— Nie znam go, ale poznam niebawem.

— Sir Andrew przestrzegł go bezwątpienia.

— Zdaje mi się, że nie. Gdy rozstaliście się po menuecie, stał i patrzył na ciebie przez chwilę tak dziwnym wzrokiem iż domyśliłem się, że zaszło coś między wami. Staralem się odgadnąć to „coś“ i rozpocząłem ożywioną rozmowę z twoim uprzejmym tancerzem. Mówiliśmy o Glucku, o jego powodze-

niu w Anglii, póki pewna lady nie przyszła prosić go o ramię do kolacji.

— A potem?

— Nie spuszczałem go z oka podczas kolacji. Gdy wróciliśmy do salonu, lady Portales zaczęła go wypytywać o Zuzannę de Tournay. Wiedziałem, że nie będzie mógł odejść, póki ta dama nie wyczerpie tematu, co potrwa przynajmniej kwadrans, a teraz jest 5 minut przed pierwszą.

Chauvelin zwrócił się ku drzwiom i gdy odsunął na bok kotarę, wskazał Małgorzacie postać sir Andrew w ożywionej rozmowie z lady Portarles.

— Zdaje mi się, piękna pani — rzekł z triumfu-
jącym uśmiechem — że mogę bezpiecznie czekać w sali jadalnej na osobę, o którą mi chodzi.

— A jeżeli tam jest więcej osób?

— Oczywiście, ale każdy kto będzie się znajdować punktualnie o pierwszej w sali jadalnej, pozostanie w ścisłej obserwacji. Jeden z nich albo dwóch, może nawet trzech wyjadą jutro do Francji. Pomiędzy nimi będzie i „Szkarłatny Kwiat“.

— Tak. A co potem?

— Ja też wyjadę za nimi jutro do Francji. Papiery, znalezione w Dover przy osobie sir Andrew Fioulkes, wspominają o pewnej miejscowości, leżącej niedaleko Calais o zajeździe dobrze mi znanym „Pod Buryim Kotem“ i o „Chacie ojca Blancharda“, którą muszę odnaleźć. Wszystkie te miejscowości są oznaczone przez Anglika jako punkty zborne dla zdrajcy de Tournay i innych, gdzie spotkać się mają z członkami ligi. Ale widocznie ów „Czerwony

Kwiat“ rozmyślił się i nie pośle pomocników, tylko pojedzie jutro sam. Jedna z osób, którą zobaczą za chwilę w sali jadalnej, pojedzie do Calais; będę ją śledził krok za krokiem, aż ją przytrzymam w tem miejscu, gdzie czekają na niego ukryci arystokraci. Ta osoba zaś — piękna pani — będzie człowiekiem, którego szukam od roku, którego energia przewyższyła moją, którego pomysliwość wszędzie mi urągała, a zuchwalstwo wprawiało mnie w zdumienie. Tym człowiekiem wreszcie będzie ów tajemniczy nieuchwytny „Szkarłatny Kwiat“.

— A Armand? — zapytała z prośbą w głosie.

— Czy nie dotrzymałem kiedykolwiek słowa? Obiecałem ci, że z chwilą gdy „Szkarłatny Kwiat“ i ja wyjedziemy do Francji, przyślę ci przez umyślnego posłańca list nieostrożnego Armanda. I co więcej przysięgam ci w imię Francji, że gdy schwyce tego angielskiego intryganta, St. Just znajdzie się w Anglii w objęciach uroczej siostry.

I spojrzawszy znów na zegar, Chauvelin opuścił pokój, złożywшы poprzednio głęboki, ceremonjalny ukłon. Zdawało się Małgorzacie, że wśród zgiełku muzyki, tańców i śmiechów odróżnia jego kocie kroki, prześlizgujące się przez salony, i słyszy, jak Chauvelin schodzi z szerokich schodów i otwiera drzwi do sali jadalnej.

Tak chciało przeznaczenie. Musiała przemówić, musiała zdobyć się na czyn haniebny dla ukochanego brata. Siedziała w fotelu bez ruchu, obojętna na wszystko, mając wciąż przed oczami twarz zaciętego wroga.

Chauvelin wszedł do jadalni w tej chwili zupełnie puste. Tchnęła opuszczeniem, przypominającym balową suknię nazajutrz po zabawie. Na stołach stały do połowy napełnione szklanki, bieleły porozrzucane serwety, a tu i tam porozstawiane w nieładzie krzesła, potęgowały jeszcze wrażenie upiornej pustki. Para krzesel postawiona blisko siebie, świadczyła o dopiero co wyszeptanych flirtach wśród zimnych przekąsek i lodowatego szampana. Cokolwiek dalej rząd ustawionych stołków był jakby krytyką towarzystwa, przez kwaśne sztywne matrony, a inne krzesła przewrócone na dywanie opowiadały całe tomy o znakomitych piwnicach lorda Grenville'a. Była to jakby parodia świetnego towarzystwa, bawiącego obecnie na górnym piętrze, jakby obraz nakreślony białą kredą na szarym kartonie, obraz ni-kiły i bezbarwny, od czasu, gdy jasne jedwabne suknie i wspaniałe haftowane ubrania nie urozmaicały pierwszego planu, a dogasający płomień świec chwiał się w ciężkich kandelabrach.

Chauvelin uśmiechnął się i zatarł cienkie ręce. Rozejrzał się po opustoszałej sali, pogrążonej w milczeniu i w półmroku; zdawał się dochodziły przytłumione dźwięki gawota, odgłos dalekich rozmów i śmiechów i turkot przejeżdżających ulicą powozów.

Sala tchnęła takim niezmaconym spokojem, że wydawało się wprost nieprawdopodobieństwem, iż właśnie tu czyha pułapka na najbardziej przebiegłego i zuchwałego spiskowca, jakiego kiedykolwiek widziały owe niespokojne czasy. Chauvelin starał się odgadnąć co nastąpi i kim będzie ten człowiek,

którego zgubę poprzysiął. Wszystko co otaczało owego spiskowca, osłonięte było tajemnicą; jego tak zręcznie ukryte nazwisko, władza którą sprawował nad 19 angielskimi dżentelmenami, wykonywającymi jego rozkazy ze ślepym entuzjazmem, namiętna miłość i uległość, którą wzbudzał w swej lidze, a przede wszystkim ta nadzwyczajna odwaga, niepojęta śmiałość, dzięki której w murach Paryża drwił z nieprzyjaciół. Łatwy do zrozumienia był fakt, że imię tego Anglika wywoływało wśród ludu francuskiego zabobonny strach. Sam Chauvelin, spoglądając na pustą salę, w której lada chwila miał się ukazać ów bohater, odczuwał dziwny lęk. Ale plany jego były dobrze obmyślane. Miał pewność, że „Szkarłatny Kwiat“ nie został ostrzeżony i że Małgorzata mówiła prawdę. A jeżeli ośmieliła się oszukać Chauvelina... Okrutny błysk, który byłby dreszczem przejął Małgorzatę, zapłonął w jego bladych oczach. Jeżeli go oszukała, Armand St. Just odpokutuje śmiercią...

Na szczęście sala jadalna była pusta. Okoliczność ta miała ułatwić zadanie Chauvelina w momencie zjawienia się zagadkowego spiskowca.

Nagle chytry poseł rządu francuskiego usłyszał spokojne chrapanie jednego z gości lorda Grenville'a, zażywającego po dobrej kolacji błogiego snu, zdala od hałasu i tańców.

Chauvelin raz jeszcze spojrział dookoła i ujrzał w rogu kanapy w ciemnym kącie pokoju uśpionego męża najmądrzejszej kobiety w Europie.

Chauvelin przez chwilę patrzył na lorda Blakeney'a. Ten spał, oddychając spokojnie, jak czło-

wiek w zgodzie z całym światem i samym sobą, drzemiący po wybornej kolacji, uśmiech politowania złagodził rysy Chauvelina i złośliwy błysk jego oczu.

Nie wątpił, że ten niewinny śpioch głęboko pogrążony w słodkich marzeniach nie przeszkodzi mu w wykonaniu jego planu.

I znów zatarł ręce i za przykładem sir Percy'ego wyciągnął się w rogu drugiej kanapy, zamknął oczy, otworzył usta, wydał ciche chrapanie i — czekał.

ROZDZIAŁ XV.

Niepewność.

Małgorzata Blakeney ścigała wzrokiem małą, czarną postać Chauvelina w chwili, gdy przeciskał się przez salę balową. Potem nastąpiło długie oczekiwanie, szarpiące wszystkimi jej nerwami.

Siedziała samotnie w pustym saloniku, patrząc przez odchyloną kotarę na tańczące pary. Patrzyła, ale nie widziała nic; nie słyszała nawet muzyki, po-
grążona w udręczeniu tego straszego oczekiwania.

W mózgu jej wirowały bezładnie obrazy: prawie pusta sala, Chauvelin na straży, wejście „Szkarłatnego Kwiatu“, tego tajemniczego wodza, który był dotąd dla Małgorzaty czemś nieuchwytnem i jakby bezcielesnem. Czemuż nie poszła do sali jadalnej w tym rozstrzygającym momencie? Intuicją kobietą wiedziona wyczytałaby z twarzy nieznanomego tę potężną indywidualność, znamionującą bohaterskich wodzów, owego orła wspaniałego o śmiałym locie, którego skrzydła zostaną spętane sidłami na wróble. Myślała o nim z głębokim smutkiem. Ironja losu wydawała się tak potworna. Musiała dopuścić, by lew zginął od ukąszeń szczura. Ach, czemuż wchodzi w grę życie Armanda!...

— Prawdopodobnie uważasz mnie, mylady, za człowieka, na którego liczyć nie można — zabrzmiał głos lorda Fancourta. — Trudno mi było spełnić twoje polecenie, gdyż nigdzie nie mogłem znaleźć Blakeneya.

Małgorzata zapomniała zupełnie o mężu i o poleceniu, jakie dała lordowi. Myśli jej przeniosły się w owe czasy, gdy mieszkała na ul. Richelieu z Armandem, który otaczał ją opieką i bronił w potrzebie.

— Wreszcie, odnalazłem go, — ciągnął dalej lord Fancourt — i powtórzyłem mu twe słowa mylady. Zapewnił mnie, że wyda natychmiast rozkazy, aby konie zajechały jak najprędzej.

— Ach tak, — rzekła nieprzytomnie — więc odnalazłeś go, mylordzie?

— Znalazłem go w sali jadalnej, pogrążonego we śnie. Spał tak twardo, że nie mogłem go obudzić.

— Dziękuję ci bardzo, mylordzie — odparła, usiłując zebrać myśli.

— Czy mogę prosić cię mylady o kontredansa, zanim twój powóz nadjedzie?

— Nie, dziękuję ci, mylordzie. Mam nadzieję, że za złe nie weźmiesz tej odmowy, ale jestem naprawdę zmęczona i w sali balowej jest duszno.

— W oranżerii panuje miły chłód, może więc tam przejdziemy? Czy nie napiłabyś się czegoś orzeźwiającego? Wyglądasz pani, jakbyś była chora?

— Jestem tylko bardzo zmęczona, — powtórzyła smutno, idąc do oranżerii, gdzie płonęły przyćmione światła i zielona roślinność zasyczała powietrze

chłodną świeżością. Lord Fancourt przysunął jej krzesło. Była tak śmiertelnie znużona długim oczekiwaniem... czemu Chauvelin nie przychodzi, by opowiedzieć o wyniku szpiegostwa? — pomyślała z udręczeniem.

Lord Fancourt starał się ją rozbawić rozmową, ale nie słuchała nawet słów jego. Nagle zwróciła się żywo w jego stronę.

— Lordzie Fancourt, — czy zauważyłeś, kto był w sali jadalnej prócz sir Percy'ego Blakeney'a?

— Tylko agent rządu francuskiego Chauvelin, który także spał w drugim kącie pokoju. A czemu o to pytasz, mylady?

— Doprawdy nie wiem... czy pamiętasz, która była godzina?

— Musiało być 5 lub 10 minut po pierwszej. Zastanawiam się, o czym myślisz mylady? — dodał, widząc wyraźne roztargnienie pięknej towarzyszkii.

Ale myśli jej nie były daleko: o jedno piętro niżej, w tym samym domu, w sali jadalnej, gdzie Chauvelin siedział cicho na czatach. Czy mu się nie powiodło? Przez chwilę serce Małgorzaty napełniło się nadzieją. Nadzieją, że „Szkarłatny Kwiat“ został ostrzeżony przez sir Andrew i że rajski ptak nie dał się zmotać w sidła; ale błyskawicznie nadzieja ta zamieniła się w śmiertelną trwożę. Jeżeli Chauvelinowi nie powiodło się, co stanie się z Armandem?

Lord Fancourt przestał rozmawiać od chwili, gdy spostrzegł, że Małgorzata go nie słucha. Czekał tylko na sposobność, aby się wymknąć, gdyż towarzystwo damy choćby najpiękniejszej, która nie

zwraca najmniejszej uwagi na to, co się do niej mówi, nie należy do przyjemności, nawet dla ministra gabinetu.

— Pójdę zobaczyć, czy twój powóz stoi — rzekł po chwili.

— Ach! jeżeli jesteś tak uprzejmy mylordzie; nie czuję się dziś w nastroju rozmowy i może lepiej będzie, jeżeli zostanę sama.

Istotnie, pragnęła pozbyć się lorda Fancourta w nadziei, że Chauvelin czyha w pobliżu jak lis, aby rozmówić się z nią w cztery oczy.

Jednakże gdy lord Fancourt odszedł, Chauvelin nie nadchodził. Co się mogło stać? Czuła, że los Armanda jest zagrożony, ogarnęła ją śmiertelna trwoga na myśl, że Chauvelin nie dopiął swego celu. a „Szkarłatny Kwiat“ jeszcze raz zwyciężył. Jeżeli tak się stało, wiedziała, że nie było dla niej ani litości, ani ratunku. Chauvelin postawił nieubłagany warunek „ten, albo tamten“ i nic nie mogło zachwiać jego postanowienia. Był bardzo zawzięty, gdyby zaś nie pojmał orła, mściwe jego serce zadowoliliby się mniej cenną zdobyczą, czyli Armandem. Odegra nikczemną komedję iż Małgorzata umyślnie go w błąd wprowadziła, mimo że uczyniła wszystko co mogła. Nie była w stanie czekać spokojnie, pragnąc usłyszeć wyrok, lecz Chauvelin nie nadchodził, choćby po to tylko, by wylać złość i pastwić się nad nią...

Nagle lord Grenville oznajmił jej, że powóz zająchał, a sir Percy czeka z lejcami w ręku. Małgorzata chciała pożegnać ministra, ale uprzejmy gospodarz odprowadził ją aż na schody. Mijając sa-

lony, zamieniała z tłumem znajomych ostatnie uśmiechy i uprzejme słówka. Czekał na nią cały zastęp eleganckich dżentelmenów, pragnących pożegnać królowę piękności i mody.

Pod masywnym portykiem wspaniałe kasztany sir Percy'ego niecierpliwie parskały i biły kopytami. W chwili gdy Małgorzata żegnała lorda Grenville'a, zobaczyła nagle na schodach Chauvelina. Szedł na górę wolno, lekko, zacierając ręce, a wyrazista jego twarz miała wyraz szczególny, nieco rozbawiony i trochę zdziwiony. Gdy przenikliwe jego oczy spostrzegły Małgorzatę, uśmiechnął się ironicznie.

— Monsieur Chauvelin — odrzekła, gdy stanął przed nią kłaniając się głęboko. — Mój powóz czeka na mnie. Czy mogę prosić o twoje ramię?

Uprzejmy jak zawsze sprowadził ją ze schodów.

— Chauvelin — rzekła z rozpaczą — muszę wiedzieć co się stało.

— Co się stało, — kochana lady? — spytał z udanym zdziwieniem. — Gdzie, kiedy?

— Dręczysz mnie, panie. Pomogłam ci dzisiaj nocy i mam prawo wiedzieć. Co się stało w sali jadalnej o pierwszej? — Mówiła zupełnie cicho, aby w ogólnym zgiełku tylko dyplomata mógł usłyszeć jej słowa.

— Spokój i cisza panowały w sali, piękna pani. O pierwszej godzinie spałem głęboko w jednym rogu sofy, a sir Percy w drugim.

— Czy nikt nie wszedł do sali?

— Nikt.

— W takim razie nie udało się nam — nieprawdaż?

— Tak, nie udało się... może.

— Ale... Armand...?

— Losy Armanda zawisły na włosku. Proś Boga, by ten włos nie zerwał się.

— Chauvelin, pamiętaj, że pracowałam dla ciebie szczerze i życzliwie...

— Pamiętam o swojej obietnicy — odrzekł: — w dniu w którym Szkarłatny Kwiat i ja spotykamy się na ziemi francuskiej, St. Just będzie w objęciach uroczej siostry.

— To znaczy, że krew szlachetnego człowieka musi splamić moje ręce — odparła ze wstrętem.

— Jego krew, albo krew twego brata. Na pewno pragniesz razem ze mną, aby „Szkarłatny Kwiat“ wyjechał dzisiaj do Calais.

— Pragnę tylko jednej rzeczy, obywatelu.

— A tą rzeczą jest?

— Żeby twój mistrz szatan zawezwał ciebie gdzie indziej, nim słońce wzejdzie.

— Pochlebiasz mi, obywatelko.

Zatrzymała go na stopniach, usiłując wyczytać uczucia, ukryte pod nieprzeniknioną lisią maską, ale twarz Chauvelina miała wciąż wyraz tajemniczy i ironiczny. Ani jeden muskuł nie zdrzął i nie zdradził nieszczęśliwej, przerażonej kobiecie, czy powinna tylko obawiać się, czy też może ośmielić się ufać.

Na dole otoczył ją tłum gwarny. Lady Blakeney opuszczała zawsze liczniejsze zebrania eskortowana chmarą ludzkich motyli, wirujących dookoła oślepia-

jącego blasku jej piękności. Nim rozstała się z dyplomata, wyciągnęła do niego drobną rączkę wdzięcznym ruchem dziecięcej prośby.

— Daj mi promyk nadziei, mój mały Chauvelin — prosiła.

Z wyszukaną galanterją pochylił się nad tą małą rączką, która jaśniała białością w przeźroczystej koronkowej rękawicze i całując końce jej różowych palców, powtórzył z zagadkowym uśmiechem:

— Proś Boga, aby włos się nie zerwał.

Odszedł, ustępując miejsca wirującym motyłom, aby mogły zbliżyć się do płomienia. Wytworny tłum złotej młodzieży zasłonił przed oczami lady Blakeney długą lisią twarz Francuza.

ROZDZIAŁ XVI.

Richmond.

W kilka minut później siedziała koło sir Percy'ego Blakeney'a na koźle pięknego powozu, otulona miękkim futrem, a cztery wspaniałe kasztany grzmiały kopytami po uśpionych ulicach Londynu.

Noc była ciepła, mimo lekkiego powiewu, który chłodził rozpalone policzki Małgorzaty. Wkrótce domy londyńskie pozostały w tyle, zadudnił stary most Hammersmith i sir Percy skierował rozpędzone rumaki w kierunku Richmond.

Rzeka wiła się w delikatnych skrętach, podobna do srebrnego węża w promieniach księżyca, a gałęzie starych drzew rzucały na drogę długie, smukłe cienie. Konie pędziły jak wiatr, kierowane silną i wprawną ręką.

Te nocne przejażdżki po balach i kolacjach były źródłem rozkoszy dla Małgorzaty; ceniła wysoko fantazję męża, który wolał co noc odwozić ją do wspaniałej rezydencji nad rzeką, niż mieszkać w dusznym pałacu londyńskim. Lubił powozić mądremi końmi przy świetle księżyca po opustoszałych drogach, a te nocne romantyczne wycieczki były jego najmilszym sportem. Małgorzata zaś upajała

się całą duszą szybką jazdą na łagodnem powietrzu późnego angielskiego lata i z rozkoszą poddawała się nocnemu powiewowi, który odświeżał płonąca twarz po dusznej atmosferze balu lub kolacji. Jazda nie trwała długo, najwyżej godzinę, a czasem i mniej, gdy kasztany były wypoczęte, a sir Percy puszczał im wodze.

Tej nocy powóz leciał jak na skrzydłach wzdłuż drogi nad rzeką. Blakeney nie odzywał się do żony jak zwykle, a wzrok miał utkwiony przed siebie, trzymając luźno cugle w długich białych rękach. Małgorzata spoglądała na niego kilkakrotnie. Mogła widzieć jego rasowy klasyczny profil, napół otwarte oko z prostym łukiem brwi i spuszczoną powieką.

W świetle księżyca twarz jego wydawała się dziwnie poważna i przypomniała zbolełemu sercu Małgorzaty owe szczęśliwe czasy, gdy starał się o jej rękę, gdy był taki inny, zanim zamienił się w ową malowaną lalę, w tego znudzonego salonowca, który życie spędzał jedynie przy kartach i kolacjach.

Ale mimo blasku księżyca nie mogła uchwycić wyrazu jego niebieskich sennych oczu. Widziała tylko silny rysunek szczęki i ust i linię szlachetnego potężnego czoła. Natura hojnie obdarzyła barona Blakeneya. Jego wady można było usprawiedliwić chorobą biednej nieprzytomnej matki i apatią zbolełego ojca. Rodzice nie byli w stanie poświęcić się rozwojowi tego młodego charakteru, który wskutek zaniedbania zmarnował się. Małgorzata uczuła nagle głęboką sympatję dla męża. Moralny przełom,

który przed chwilą przeżyła, uczynił ją pobłażliwą dla błędów i wad bliźnich. Poznała brutalną przemoc ślepego przeznaczenia. Gdyby przed tygodniem ktoś był jej przepowiedział, że stanie się szpiegiem wśród własnych przyjaciół i wyda szlachetnego bezbronnego człowieka, w ręce zaciętego wroga, byłaby roześmiała się z pogardą. Oto popełniła tę podłość. Wkrótce śmierć tego człowieka zaciąży na jej sumieniu, jak dwa lata temu śmierć margrabiego de St. Cyra, który zginął wskutek jej słów nierozważnych. Ale w tym wypadku była moralnie niewinną. Nie miała zamiaru nikogo zgubić, a samo przeznaczenie pokierowało wypadkami. Teraz zaś popełniła czyn nikczemny z całą świadomością, z pobudek, których moralisci nie mogliby nawet usprawiedliwić.

Czując u boku silne ramię męża, pomyślała, o ile straszliwszą byłaby jeszcze jego pogarda dla niej, gdyby wiedział o jej ostatnim czynie. Iluż to ludzi pogardza sobą wzajemnie na podstawie powierzchownych sądów. I ona potępiała męża za jego lekkomyślność, płytkość; czyż sir Percy nie potępiałby jej stokroć surowiej za brak siły i hartu, aby nie zbończyć z prawej drogi i poświęcić brata nakazowi sumienia?

Małgorzata tak była pogrążoną w myślach, że przejażdżka wśród nocnego chłodu wydawała się jej znacznie krótsza niż zwykle. Doznała uczucia prawdziwego zawodu, gdy kasztany skrzyły w masywną bramę angielskiej wspaniałej rezydencji.

Pałac sir Percy'ego nad Tamizą ma wartość historyczną. Wzniesiony za czasów Tudorów stoi

wśród cudnie położonych ogrodów, z malowniczym tarasem i frontem zwróconym ku rzece. Stare czerwone cegły muru wyglądają wprost romantycznie na tle otaczającej je zieleni, a antyczny zegar słoneczny na wzorowo utrzymanym gazonie dodaje całości harmonijną nutę. Wiekowe drzewa rzucają na trawniki cień chłodny, a tej cieplej nocy jesiennej, gdy rdzawe i złote liście srebrzyły się w świetle księżycy, stary ogród tchnął dziwną poezją i spokojem.

Przed samym frontem stylowego hallu z czasów Elżbiety sir Percy osadził czwórkę kasztanów. Mimo późnej godziny na turkot powozu cała armia służby i groomów wyrosła jakby z pod ziemi; stanęli z uszanowaniem gotowi do usług. Sir Percy wyskoczył zgrabnie, aby pomóc Małgorzacie przy wysiadaniu. Wydał służbie kilka krótkich rozkazów, a tymczasem młoda lady obszedłszy dom, udała się ku ogrodowi, wpatrzona w srebrny krajobraz. Cała natura pogrążona była w niezamąconej niczem ciszy, co tworzyło ostry kontrast ze stanem duszy Małgorzaty, tak głęboko wzburzonej przeżytemi walkami. W bolesnem zamyśleniu nie słyszała ani szumu rzeki, ani lekkiego szmeru spadających tu i ówdzie suchych liści z drzew. Dookoła panowało milczenie. Ucichł tupot koni odprowadzonych do odległych stajen, zmieszany z przyspieszonymi krokami licznej służby, udającej się na spoczynek; pałac pogrążył się we śnie. W dwóch oddzielnych apartamentach nad wspianiami salami przyjęć płonęły światła. Były to pokoje sir Percy'ego i lady Blakeney, oddzielone całą długością domu, tak od-

dalone od siebie, jak oddalone było ich życie. Małgorzata mimowoli westchnęła, sama nie wiedząc dlaczego. Cierpiała niewymownie i czuła się samotną i opuszczoną. Tak bardzo potrzebowała współczucia, otuchy i podniesienia na duchu... Z nowem westchnieniem zwróciła się ku domowi, zadając sobie pytanie, czy po takiej burzliwej nocy będzie mogła zasnąć i odpocząć. Nagle nim doszła do tarasu, usłyszała na żwirze czyjeś kroki: w mroku zarysowała się postać męża. Okrążył dom i przechadzał się wzdłuż trawników, kierując się ku rzece. Miał jeszcze na sobie ciężki płaszcz podróżny z licznymi wyłogami i pelerynami, które wprowadził w modę.

Chodził, wsunawszy wedle zwyczaju ręce w głębokie kieszenie atlasowych spodni, a bogate białe ubranie i bezcenny żabot koronkowy nadawały mu w ciemności wygląd ducha.

Nie zauważył widocznie żony, gdyż zatrzymawszy się chwilę, zwrócił się w stronę tarasu ku domowi.

— Sir Percy... — rozległo się ciche wołanie.

Miał już jedną nogę na stopniach tarasu, ale na jej głos przystanął, szukając wzrokiem wśród mroku jej sylwetki.

Zbliżyła się ku niemu szybko, skąpiana w blasku księżyca, a gdy ją zobaczył, rzekł z wyszukaną galanterją, z którą zawsze do niej przemawiał: — Jestem do twych usług, madame.

Lecz trzymał wciąż nogę na stopniu i całe jego zachowanie wskazywało jasno, że pragnął odejść i nie miał ochoty do nocnej pogawędki.

— Powietrze jest tak miłe — rzekła — światło księżycy mnie czaruje, a ogród neć. Czy chcesz ze mną pozostać przez krótką chwilę? Wszak nie jest jeszcze tak późno, czy moje towarzystwo sprawia ci tyle przykrości, że pragniesz jak najprędzej uwolnić się od niego?

— Zapewniam cię, madame, że jest przeciwnie — odparł spokojnie. — jednak jestem pewien, że czar nocy wyda ci się bardziej poetyczny bez mego towarzystwa, od którego uwolnię cię, mylady.

I znów zwrócił się ku pałacowi, aby odejść.

— Mylisz się, sir Percy — zaprzeczyła żywo, zbliżając się do niego. — Nieporozumienie, które niestety powstało między nami, nie było wynikiem mojej winy, przypomnij sobie...

— W takim razie musisz mi przebaczyć, madame, — odparł zimno. — Miałem zawsze bardzo krótką pamięć.

Spojrzał jej prosto w oczy z tym sennym wyrazem, który trwał już stale w jego wzroku.

Przetrzywała to spojrzenie i oczy jej złagodniały. Stała tuż przy mężu u stóp tarasu.

— Tak krótka jest twoja pamięć, sir Percy? w takim razie zaszła w niej olbrzymia zmiana! Przed trzema lub czterema laty widziałeś mnie w Paryżu przez godzinę w drodze na Wschód. Gdy powróciłeś dwa lata później, nie zapomniałeś mnie.

Była bosko piękna w świetle księżycy, otulona futrzanym płaszczem spadającym z jej ramion. Złoty haft sukni lśnił tysiącem blasków, a dziecinne niebieskie oczy patrzyły wymownie w twarz męża.

Stał milczący, niewzruszony, tylko ręka jego oparta o kamienną balustradę terasy drżała lekko.

— Pragnęłaś mojej obecności, madame, — ciągnęła dalej po chwili — nie poto zapewne, aby budzić czułe wspomnienia.

Głos jego był surowy i nieprzejednany. Postawa sztywna i nieugięta. Kobięca taktyka dyktowała Małgorzacie za obojętność odplacić obojętnością i przejść koło męża bez słowa, lub skinać głową, ale zatrzymał ją ten subtelny instynkt pięknej kobiety, świadomej swej potęgi, która pragnie za wszelką cenę widzieć u swych stóp jedyne go człowieka odmawiającego jej żądanych hołdów. Wyciągnęła ku niemu rękę.

— Choćby i tak, sir Percy? Teraźniejszość nie jest tak powabna, abym nie chciała myślał powracać do przeszłości.

Pochylił się i ujawnszy końce palców żony, złożył na nich ceremonialny pocałunek.

— W takim razie, madame — odparł — wybacz, jeżeli mój ograniczony umysł nie będzie mógł ci towarzyszyć.

Jeszcze raz usiłował odejść i znów słodki, dziecinny, niemal kochający głos go odwołał.

— Sir Percy!

— Jestem na twoje rozkazy, madame.

— Czyż możliwą jest rzeczą, aby miłość zgasła? — zawołała namiętnie. — Myślałam, że miłość, którą żywiłeś dla mnie przez pewien czas, trwać będzie całe życie. Czyż nic już nie zostało z tego przy-

wiązania... czyż nie mógłbyś zapomnieć o smutnem nieporozumieniu, które powstało między nami?

Gdy mówiła, potężna jego postać zdawała się prężyć i sztywnieć. Zaciśnął usta i wyraz nieugiętego uporu błysnął w jego niebieskich, zwykle tak ładnych oczach.

— A to w jakim celu, madame? — zapytał zimno.

— Nie rozumiem ciebie.

— A jednak to bardzo proste — rzekł z nagłą goryczą, która rosła stopniowo, mimo widocznych wysiłków, aby ją stłumić.

— Pokornie pytam o to, gdyż tępy mój mózg nie jest w stanie zrozumieć tak prędko nagłej zmiany twego usposobienia, mylady. Masz może ochotę rozpocząć na nowo sport szatański, który uprawiałaś z takim powodzeniem w ubiegłym roku? Czy chciałabyś może widzieć mnie znowu u twych stóp w roli rozmiłowanego kochanka, aby kopnąć mnie potem nogą jak natarczywego psa?

Więc jednak wyprowadziła go z równowagi... znów spojrzała mu prosto w oczy, gdyż takim pamiętała go przed rokiem.

— Percy, błagam cię — szepnęła — czy nie możemy pogrzebać przeszłości?

— Przepraszam cię najmocniej, madame, ale zrozumiałem, że właśnie chcesz do niej powrócić.

— Nie! nie o tej przeszłości wspomniałam! — zawołała, a gdy głos jej stawał się coraz miękniejszy. — Myślałam o czasie, gdy mnie jeszcze kochałeś... a ja... byłam lekkomyślna i próżna, twoje zaś stanowisko i majątek pociągały mnie. Zostałam twoją

żoną w nadziei, że twoje wielkie przywiązanie roz-
pali miłość we mnie, ale niestety!

Księżyc skrył się za chmurami. Na wschodzie szary brzask zaczął rozpraszać ciężką zaslonę nocy. Blakeney mógł tylko rozróżnić wdzięczną sylwetkę Małgorzaty, jej małą królewską główkę, okoloną bogatymi złotawymi puklami i lśniąca kamienie drobnych czerwonych kwiatków w formie gwiazdki, któremi zdobiła włosy.

— W 24 godziny po naszym ślubie, madame, margrabia de St. Cyr i cała jego rodzina zginęli pod gilotyną. Ogólnie twierdzono, że dopomogła do tej zbrodni żona sir Percy'ego Blakeney'a.

— Opowiedziałam ci sama, ile było prawdy w tej wstrętnej plotce...

— Ale przedtem dowiedziałem się od obcych o wszystkich okropnych szczegółach...

— I uwierzyłeś im! — rzekła z goryczą — bez dowodów, bez zapytania uwierzyłeś, że ja, której przysięgłeś miłość bezgraniczną, którą uwielbiałeś, że ja mogłam poniżyć się do podobnego czynu! Myślałeś, że chcę cię okłamywać, że obowiązkiem moim było przemówić, nim złączył nas ślub! Ach, gdybyś mnie był wysłuchał, byłabym ci powiedziała, że aż do stracenia margrabiego de St. Cyr wyteżyłam wszystkie siły, używałam wszystkich wpływów, aby go wyratować. Ale zamknęła mi usta duma, gdy miłość twoja zamarła jakby pod nożem tej samej gilotyny. A jednak mogłam ci wytłumaczyć, jak bardzo mnie oszukano! Mnie, którą nazywają

„największą inteligencją we Francji!“ Potrafili wyzyskać moją miłość do jedyne go brata i moje pragnienie zemsty, wiedzieli jak się do tego zabrać... Czyż wszystko to nie jest dość jasne?

Głos jej zadrżał łkaniem. Umilkła, aby się uspokoić. Oczy jej zwracały się błagalnie ku mężowi i patrzyły jakby na nieprzejednanego sędziego. Pozwolił jej mówić do końca, nie przerywał tego namiętnego wyznania, ale nie obdarzył ani jednym słowem pociechy lub pojednania. Gdy umilkła, usiłując stłumić łzy gorące, napływające wciąż do oczu, czekał ze spokojem niewzruszonym. Szary blask świtu wyolbrzymiał jego wyniosłą postać i nadawał mu wyraz dziwnie surowy. Ta twarz zazwyczaj taka do brodu szna jakby senna, była dziwnie przeobrażona. Małgorzata zauważyła mimo wewnętrzne go wzburzenia, że oczy błyszczały niezwykle m ogniem z pod przymkniętych powiek, a kurczowo zaciśnięte usta jakby powstrzymywały wzbierającą namiętność. Małgorzata Blakeney była przede wszystkim kobietą. Zrozumiała w jednej chwili, że przez pięć ostatnich miesięcy została wprowadzona w błąd i że ten człowiek pozornie zimny jak posąg kochał ją tak jak przed rokiem i że ta miłość ukryta czy uszpi ona, stawała się równie silną, potężną i porywającą na dźwięk jej melodyjnego głosu, jak wówczas, gdy po raz pierwszy usta ich połączyły się w długim upajającym pocałunku. Duma trzymała go zdala od niej. Małgorzata zapragnęła gorąco zdobyć na nowo to serce, które do niej należało. Nagle

odczuła, że jedynem szczęściem, które życie dać jej jeszcze mogło, był uścisk tego człowieka.

— Wysłuchaj mnie, sir Percy, do końca... — rzekła głosem słodkim, drżącym z miłości — Armand był dla mnie wszystkiem. Nie mieliśmy rodziców i wychowaliśmy się wzajemnie. On był moim ojcem, a ja jego mateczką. Kochaliśmy się tak bardzo! Pewnego dnia... — czy słuchasz mnie jeszcze Percy? — Margrabia de St. Cyr kazał obić mego brata przez swoich lokai. Obić Armanda, którego kochałam ponad wszystko! A czem zawinił? Oto on, plebejusz, śmiał kochać córkę arystokraty i za to schwymano go podstępnie i zbito, zbito jak psa, prawie na śmierć. Przeżyłam tortury upokorzenia; a gdy nadarzyła się sposobność, zemściłam się... ale chciałam tylko upokorzyć dumnego margrabiego. Spiskował z Austrią przeciw własnej ojczyźnie, o czem dowiedziałam się przypadkiem i powtórzyłam usłyszane wieści. Nie wiedziałam... bo jakże wiedzieć mogłam, co stanie się później... oszukano mnie, a gdy zrozumiałam, było już za późno...

— Trudno jest, madame, cofnąć się w tak daleką przestrzeń — rzekł sir Percy po chwili milczenia. — Mówiłem ci niejednokrotnie, że pamięć moja jest bardzo krótka, ale o ile się nie mylę, przypominam sobie, że prosiłem cię o wyjaśnienie tych bezecnych plotek. Jeżeli ta sama pamięć mnie znów nie uwodzi, to zdaje mi się, że odmówiłaś mi wszelkiego wyjaśnienia, żądając od mej miłości upokarzającej uległości, której nie miałem żadnego zamiaru ci okazać.

— Chciałam wystawić na próbę twoją miłość, ale ona próby nie wytrzymała. Zapewniałeś mnie zawsze, że żyłeś tylko dla mnie z miłości ku mnie.

— I aby wypróbować tę miłość, żądałaś ode mnie, bym wyrzekł się własnego honoru — odparł, tracąc coraz bardziej panowanie nad sobą. — Chciałaś, abym pochwalił bez szemrania, bez zapytania, jak niemy i najposłuszniejszy z niewolników każdy czyn mej wszechwładnej pani? Całem sercem, zupełnionem przywiązaniem, prosiłem cię o wyjaśnienie; czekałem, nie zwątpilem o tobie, lecz ufałem... Gdybyś była choć słówko powiedziała, przyjąłbym każde wytłumaczenie, bo pragnąłem uwierzyć. Ale pozostawiłaś mnie bez słowa wyjaśnienia, prócz suchego wyznania wstrętnego faktu. Powróciłaś dumnie do domu brata swego i pozostawiłaś mnie samego... całemi tygodniami, gdy ja sam nie wiedziałem, komu wierzyć, odkąd jedyna świętość, zawierająca wszystkie moje złudzenia, rozprysła się u stóp moich.

Nie mogła się już skarżyć, że był zimny i obojętny. Głos jego drżał ze wzruszenia, a opanowywał się nadludzkim wysiłkiem.

— Ach, дума moja, та дума szalona! — westchnęła smutno. — Ledwie wyjechałam, już żałowałam swego postępowania. Ale gdy wróciłam, byłeś tak zmieniony! Nosileś na twarzy tę maskę sennej obojętności, której już nigdy nie zdjęłeś... i dopiero teraz widzę... — Stała tak blisko męża, że miękkie jej włosy muskały twarz jego. Oczy błyszczące od łez, zwrócone ku niemu, doprowadzały go do sza-

leństwa, melodja tego głosu krew rozpalala mu ogniem. Ale nie chciał poddać się magicznemu urokowi tej kobiety, tak gorąco niegdyś kochanej, kobiety, dla której tyle wycierpiał. Zamknął oczy, aby odsunąć czarującą wizję jej twarzyczki, śnieżno białej szyi i uroczej postaci, którą lekkie światło jutrzeńki zaczynało otaczać różową aureolą.

— Nie, madame, to nie maska — rzekł lodowato. — Przysiągłem ci niegdyś, że moje życie do ciebie należy, a ponieważ przez szereg miesięcy było twoją igraszką, wypełniło już swoje zadanie.

W tej chwili Małgorzata zdawała sobie jasno sprawę, że ta zewnętrzna obojętność była tylko maską. Już bez goryczy przypominała sobie troski i niepokoje, przeżyte podczas ubiegłej nocy, gdyż miała wrażenie, że człowiek, który ją kochał, pomoże w dźwiganiu jej ciężaru.

— Sir Percy! — rzekła z uniesieniem. — Bóg jeden wie, jak utrudniasz mi zadanie, które wzięłam na siebie. Przed chwilą wspomniałeś o swem zmiennem usposobieniu. Jeżeli chcesz, możemy je tak nazwać. Ale pragnę pomówić z tobą, bo... jestem w wielkiej rozterce i szukałam u ciebie pociechy...

— Jestem na twoje rozkazy, madame.

— Ach, jakiś ty zimny — westchnęła — naprawdę, trudno mi uwierzyć, że przed kilkoma miesiącami jedna łza w mojem oku byłaby cię przyprawiła o szaleństwo! a teraz przychodzę do ciebie ze sercem złamanem i...

— Proszę cię, madame — przerwał, a głos jego drżał niemniej jak słowa Małgorzaty — w czym mogę ci służyć?

— Percy! Armand jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. List... nierozważny i porywczy, jak wszystkie jego czyny, napisany przez niego do sir Andrew Ffoulkesa, wpadł w ręce fanatyka. Armand jest beznadziejnie skompromitowany. Jutro może go zaaresztują... a potem gilotyna, jeżeli... jeżeli... ach, to okropne! — krzyknęła z nagłą rozpaczą, gdy wszystkie wypadki tej nocy stały przed jej oczami. — Okropne! a ty mnie nie rozumiesz, nie możesz mnie zrozumieć... a przecież nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić po ratunek, nawet po współczucie...

W oczach jej załśniły łzy. Złamały ją wszystkie te walki i niepokoje i okropna niepewność o losie Armanda. Zachwiała się i oparłszy się o kamienną balustradę, wybuchnęła gorzkim płaczem.

Gdy sir Percy usłyszał imię Armanda i dowiedział się o niebezpieczeństwie, które mu groziło, twarz jego pobladła lekko, a wyraz niezłomnego uporu i żelaznej woli błysnął jeszcze posępniej w jego wzroku. Nie wyrzekł ani słowa, tylko patrzył na delikatną postać żony, wstrząsaną łkaniem. Powoli twarz jego łagodniała i coś jakby łza za-błysła w jego oczach.

— A więc tak... — rzekł wreszcie z gorzką ironją — krwiożerczy pies rewolucji zwraca się przeciwko rękóm, które go karmiły... Proszę cię, ma-

dame — dodał z wielką dobrocią, gdy Małgorzata nie przestawała szlochać spazmatycznie — osusz łzy swoje. Nigdy nie znosiłem widoku płaczącej kobiety.

Instynktownie na widok jej bezradności i rozpacz, uniesiony nieprzewyciężonym szalem, wyciągnął do niej ręce i byłby porwał ją w swe ramiona, przytulił do siebie i bronił ode złego za cenę życia i krwi serdecznej... ale duma i tym razem zwyciężyła w walce z miłością. Pohamował się ze zdumiewającą siłą woli i zapytał zimno, choć łagodnie:

— Czy nie chcesz zwrócić się do mnie, madame, i powiedzieć mi, w jaki sposób mogę mieć zaszczyt okazania ci pomocy?

Usiłowała opanować się, zwróciwszy ku niemu twarz oblaną łzami, wyciągnęła jeszcze raz rękę, którą ucałował z tą samą galanterją. Ale tym razem palce Małgorzaty pozostały w ręce sir Percy'ego dłużej, niż wymagał konwenans. Odczuła, że ręka męża drżała lekko i płonęła jak ogień, gdy usta były chłodniejsze od marmuru.

— Czy możesz uczynić coś dla Armanda? — zapytała z wielką słodyczą. — Masz u dworu tak wielkie wpływy i tylu przyjaciół...

— Czy nie lepiej byłoby, byś się zwróciła w tej kwestji do swego przyjaciela, tego Francuza Chauvelina? Jego wpływy, jeżeli pamięć moja mnie nie zawodzi, sięgają aż do rządu republikańskiego Francji?

— Nie mogę go o to prosić, Percy... ach, gdybym śmiała ci powiedzieć! ale on nałożył cenę na głowę mego brata... cenę, którą...

Byłaby dała największe skarby świata, aby mieć odwagę wyznać mu wszystko, co zrobiła tej nocy, ile wycierpiała i pod jakim przymusem działała, ale nie śmiała ulec tej pokusie, w chwili gdy zaczynała wierzyć, że Percy ją jeszcze kocha, w chwili gdy miała nadzieję zdobyć go na nowo. Nie śmiała wyznać swego czynu, wiedząc, że nie zrozumiałby, jak silną była pokusa, jak ciężka jej walka. Drzemiąca wciąż jeszcze miłość zamarłaby z pewnością snem śmierci.

Może Blakeney odgadł, co działo się w jej duszy? Cała jego postawa ujawniała pragnienie, a nawet prośbę o wyznanie, które powstrzymywała nierozsądna miłość własna. Gdy wciąż milczała, westchnął i rzekł z wyrachowaną oschłością:

— Mój Boże, madame, jeżeli ci to sprawia tyle przykrości, nie mówmy już o tem. Proszę cię, bądź spokojna o Armanda. Daję ci słowo, że nic mu się złego nie stanie. A teraz, czy pozwolisz mi odejść, jest już bardzo późno i...

— Czy zechcesz przyjąć wyrazy mojej wdzięczności? — zapytała ze słodyczą, zbliżając się do niego.

Już miał objąć ją ramionami i ucałować jej oczy, wciąż jeszcze zalane łzami, ale powstrzymał się. Już raz zwiódł ją w ten sam sposób, a potem odrzucił od siebie jak zużytą rękawiczkę. Pomyślał, że

może paść ofiarą chwilowego kaprysu, a był zbyt dumny, aby narażać się na ponowne upokorzenie.

— Za wcześnie, madame — odparł spokojnie — wszak nic dotąd jeszcze nie zrobiłem. Musisz być bardzo zmęczona, panny służebne czekają na ciebie.

Usunął się na bok, aby dać jej przejście. Wstchnęła głęboko, boleśnie dotknięta. Duma i piękność stanęły do walki ze sobą i duma zwyciężyła. Zresztą, może pomyliła się. Może błysk, który brała za ogień miłości w jego oczach, był tylko nieokiełznaną pychą, lub nienawiścią a nie miłością? Spojrzała na niego badawczo. Stał niewzruszony, zimny jak posąg. Najwidoczniej nie dbał już o nią. Szary świt ustępował stopniowo przed różnym blaskiem wschodzącego słońca. Ptaki zaczęły świergotać, natura budziła się, uśmiechem witając ciepły i radosny poranek październikowy. Tylko między temi dwoma sercami leżała nieprzebyta zaporą, wzniesiona przez dumę, a żadne z nich nie chciało pierwsze jej usunąć.

Z nowem wstchnieniem zaczęła wstępować na stopnie tarasu. Sir Percy skłonił się przed nią nisko i ceremonjalnie. Szła, opierając się o kamienną balustradę, długi tren złotem haftowanej sukni zmiatał po drodze z cichym dźwięcznym szmerem zwiedłe liście. Różowa jutrenka złociła jej włosy i zapalała ogniem rubiny na czole i rękach.

Doszła do wielkich szklanych drzwi, prowadzących do pokoju. Zanim przestąpiła próg, przystanąła, by jeszcze raz spojrzeć na męża, łudząc się

szaloną nadzieją, że zobaczy jego ramiona wyciągnięte do uścisku i usłyszy głos przywołujący ją. Lecz on stał bez ruchu. Jego wysmukła postać była uosobieniem nieugiętego uporu.

Do ocz Małgorzaty napłynęły znów łzy gorące. Chcąc je ukryć, odwróciła się spiesźnie i wbiegła do swych apartamentów.

Gdyby była raz jeszcze spojrzała w zaróżowiony jutrzenką ogród, spłynęłoby na nią radosne ukojenie. Byłaby zobaczyła człowieka złamanego rozpaczą miłości, która zwyciężyła dumę, upór i żelazną wolę. Ujrzałaby człowieka szalenie, ślepo i namiętnie kochającego.

Gdy lekkie kroki Małgorzaty ucichły w korytarzach, sir Percy ukląkł na stopniach tarasu i w szale swej miłości ucałował ślady drobnych nóżek i kamienną balustradę, na której wsparła się jej maleńka rączka.

ROZDZIAŁ XVII.

Pożegnanie.

Gdy Małgorzata weszła do pokoju, zastała pannę służebną ogromnie zaniepokojoną.

— Będziesz, mylady, bardzo zmęczona — rzekła Luiza, której oczy walczyły ze snem. — Już piąta wybiła.

— Ach tak, Luizo, jestem pewna, że będę bardzo zmęczona — rzekła uprzejmie — ale widzę, że i ty jesteś zupełnie wyczerpana. Idź do siebie i połóż się. Rozbiore się sama.

— Ależ mylady...

— Nie sprzeczasz się ze mną, tylko idź do łóżka. Podaj mi szlafrok i zostaw mię samą.

Usczęśliwiona Luiza postanowiła skorzystać z pozwolenia. Zdjęła z pani bogatą suknię balową i owinęła ją miękkim szlafrocikiem.

— Czy potrzebujesz jeszcze czegoś, mylady? — zapytała.

— Nie, Luizo. Zgaś światła odchodząc.

— Dobrze, zatem dobranoc mylady.

Gdy służąca odeszła, Małgorzata odsunęła firanki i otworzyła szeroko okna. Ogród i rzeka jaśniały różowym światłem zorzy. W oddali promienie wscho-

dzącego słońca zamieniały różane barwy nieba w roztopione złoto. Małgorzata spojrzała z góry na pusty taras, gdzie przed chwilą usiłowała obudzić miłość mężczyzny, tę miłość, która niedawno jeszcze była niepodzielną jej własnością. Mimo ciężkich przejść i niepokoju o Armanda odczuwała obecnie tylko głęboką tęsknotę za tym człowiekiem, który nią wzgardził, pozostał głuchy na jej prośby i oparł się namiętym porywom. Jakże to wszystko było dziwne! Widocznie Małgorzata kochała go zawsze. Gdy wróciła myślą ku minionym miesiącom, tak samotnym i obfitym w nieporozumienia, przyszła do przekonania, że zawsze kochała męża i że ani na chwilę nie przestała go kochać. W najskrytszych tajnikach jej serca powstało już dawno podejrzenie, że jego bezmyślne dowcipy, głupowaty śmiech i senne lenistwo były tylko maską, ukrywającą prawdziwego, silnego, namiętnego, o żelaznej woli człowieka, którego kochała i którego niezwykła indywidualność przyciągała ją i podbiła. Czuła, że za tą pozą i maską znajdowało się „coś“, co pragnął zataić przed światem, a szczególnie przed nią. Widziała na pewno, że pragnie zdobyć to oporne serce napowrót, że je zdobędzie, by już go nigdy nie utracić, by zachować jego miłość, na którą sobie zasłużył, i czuła, że nie było już dla niej szczęścia poza miłością tego człowieka...

Najsprzeczniejsze myśli krzyżowały się w zawrotnym pędzie w jej mózgu. Nie zdawała sobie sprawy, że czas mijał i że wyczerpana długim czuwaniem zamknęła oczy i zapadła w męczący i nie-

spokojny półsen, który był jakby odbiciem jej dręczących myśli. Teraz przebudził ją odgłos kroków na korytarzu.

Zerwała się z pośłania i słuchała. Dom zaległa cisza, w której dosłyszała wyraźnie oddalające się kroki. Przez otwarte okno radosne promienie ранego słońca zalewały światłem pokój. Małgorzata spojrzała na zegarek. Było pół do siódmej. Zapytała się z niepokojem, czyje kroki zbudziły ją ze snu. Cichutko, na palcach przeszła przez pokój i otworzyła drzwi, nie słyszała jednak nic w ciszy wczesnego poranka. Nagle spostrzegła u swych stóp na progu drzwi coś białego, zapewne list. Podniosła go trwogą; zdziwiona i oszołomiona zobaczyła na kopercie swój adres, skreślony dużym spiesznym pismem męża.

Rozdarła kopertę i przeczytała:

Nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie do natychmiastowego wyjazdu na północ. Proszę cię mylady o przebaczenie, że nie przychodzę pożegnać się z tobą. Moje sprawy zatrzymają mnie niemal przez tydzień i niestety, nie będę miał zaszczytu uczestniczyć w majówce, którą naznaczyłaś na środę. Pozostaję mylady, twoim pokornym i powolnym sługą

Percy Blakeney.

Widocznie Małgorzata została nagle dotknięta jak -jej mąż jakimś chwilowem zaćmieniem umysłu, gdyż musiała czytać i odczytywać kilkakrotnie te proste słowa, zanim je zrozumiała.

Stała bezmyślnie w drzwiach, obracając w palcach krótki i zagadkowy list, dręczona dziwnym niepokojem i złowrogiem przeczuciem.

Sir Percy rzeczywiście posiadał w Anglii północnej rozległe dobra, do których często jeździł na tydzień lub dłużej, ale dzisiaj wydawało jej się rzeczą nieprawdopodobną, aby pomiędzy piątą a szóstą godziną rano nadeszła wiadomość, powołująca go z takim pośpiechem. Daremnie starała się opanować niepokój. Drżała na całym ciele. Ogarnęło ją niepoohamowane pragnienie, aby zobaczyć się jeszcze raz z mężem, o ile nie wyjechał.

Nie zważając już na zbyt lekki strój i rozpuszczone na ramionach włosy zbiegła spiesźnie ze schodów ku drzwiom wchodowym.

Były zamknięte na klucze i zasówki o tak wczesnej godzinie, ale usłyszała odgłos rozmów i tupot koni na brukowym dziedzińcu pałacowym. Drżącymi palcami zaczęła przekręcać ciężkie klucze i odsuwać żelazne sztaby, kalecząc sobie ręce i łamiąc paznogie, smagana trwogą, iż mogła przyjść za późno, że Percy mógł wyjechać, zanim go zobaczy, zanim zawoła: szczęśliwej drogi! Nareszcie przekręciła ostatni klucz i szarpnęła drzwiami. Nie pomyliła się. O kilka kroków od niej stał chłopak stajenny, trzymając za cugle dwa konie, z których jeden „Sułtan“ ulubiony wierzchowiec sir Percy'ego był osiodłany i gotowy do drogi.

Po chwili ukazał się sir Percy i zbliżył się spiesźnie do koni. Nie miał już na sobie bogatego balowego

stroju, ale jak zwykle był ubrany wytwornie i bez zarzutu w piękny płaszcz z żabotem i mankietami z koronek i w skórzane spodnie wsunięte w wysokie buty „à la Condé“.

Małgorzata zbliżyła się. Podniósł oczy i ujrzał ją, lekko zmarszczył brwi.

— Wyjeżdżasz? — zapytała szybko i niespokojnie. — Dokąd wyjeżdżasz, Percy?

— Miałem już zaszczyt wytłumaczyć ci listownie, mylady, że nieprzewidziane i ważne sprawy powołują mnie na północ dziś rano — odrzekł powoli i zimno.

— Ale przecież — twoi goście — jutro...

— Prosiłem cię, mylady, abyś przeprosiła za mnie jego królewską wysokość. Jesteś tak znakomitą panią domu, że goście nie odczują nawet mej nieobecności.

— Jestem pewna, że mógłbyś odłożyć swój wyjazd na później... po naszej majówce — mówiła wciąż nerwowo. — Ręczę, że sprawa nie jest tak pilna... przecież nie mówiłeś mi nic do tej chwili.

— Moje sprawy, jak miałem zaszczyt zaznaczyć przed chwilą, są równie ważne jak nieprzewidziane... wobec tego czy mogę cię prosić o pozwolenie odjazdu? Zatrzymam się w powrotnej drodze w Londynie, czy masz jakie sprawunki, polecenia?

— Nie, nie, dziękuję... czy prędko wrócisz?

— Bardzo prędko.

— Przed końcem tygodnia?

— Tego powiedzieć nie mogę.

Widocznie spieszył się, a ona wyteęzała wszystkie siły, aby go zatrzymać jak najdłużej.

— Percy! — zawołała. — Czemu nie chcesz mi powiedzieć, dokąd jedziesz? Jestem twoją żoną i mam prawo wiedzieć. Jestem pewna, że nikt nie wzywał cię na północ. Nie było żadnych listów, ani posłańców, gdy wyjeżdżaliśmy wieczorem do opery i na bal, i nikt na ciebie nie czekał, gdy wróciliśmy do domu. Nie jedziesz na północ... tu jest jakaś tajemnica.

— Niema żadnej tajemnicy, madame — przerwał żywo z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. — Mój wyjazd ma na celu sprawę Armanda — oto wszystko. A teraz czy pozwalasz mi jechać?

— W sprawie Armanda! Ale nie będziesz się narażał?

— Ja narażać się! Nie mylady. Ale twoja troskliwość wzrusza mnie. Jak to sama powiedziałaś, mam dużo stosunków i pragnę je wyzyskać, nim będzie za późno.

— Czy pozwolisz bym ci nareszcie podziękowała?

— Nie, madame — odpowiedział oschle — niema powodu do podziękowań. Moje życie jest na twoje usługi i jestem aż nadto wynagrodzony.

— A moje życie będzie również na twoje usługi, jeżeli tylko je przyjmiesz wzamian za to, co czynisz dla Armanda — zawołała z uniesieniem, wyciągając ku niemu obie ręce. — A teraz już nie za-

trzymuję cię, myśli moje ci towarzyszą — szczęśliwej drogi.

Tak ślicznie wyglądała w porannem słońcu z rozpuszczonemi ognistemi włosami, które spływały jej na ramiona! Skłonił się jej nisko i ucałował rękę. Odczuła, jak gorący był pocałunek, i serce jej zadrzało radością i nadzieją.

— Powrócisz? — szepnęła słodko.

— Bardzo niedługo — odrzekł, obejmując ją przeciągłym, głębokim spojrzeniem.

— I — nie zapomnisz? — zapytała, a oczy jej w odpowiedzi na jego wejrzenie zalśniły miłosną obietnicą.

— Nie zapomnę nigdy, madame, że zaszczyciłaś mnie prośbą o usługę. — Słowa były zimne i ceremonialne, ale tym razem jej nie dotknęły. Kobiece serce wyczuło, co działo się w duszy męża pod maską, z której duma nie chciała zrezygnować. Skłonił się ponownie i pożegnał ją. Usunęła się na bok, aby mógł dosiąść konia, a gdy „Sultana“ w galopie wyjeżdżał przez bramę, skinęła ręką na pożegnanie.

Na zakręcie drogi znikł jej z oczu. Zaufany groom miał wielkie trudności, aby dotrzymać mu kroku, gdyż „Sultana“ pędził jak wicher, dzielając podniecenie swego pana.

Małgorzata westchnęła z ulgą i powróciła do apartamentów, czując się zmęczoną i śpiącą jak małe dziecko. W jej sercu nagle zapanował spokój i choć

nieokreślona tęsknota dręczyła ją jeszcze, promienna nadzieja niby balsam koła jej duszę.

Nie bała się już o Armanda. Ufała niezachwianie w energję i moc człowieka, który wyjechał, aby go ratować. Nie mogła pojąć, jak mogła kiedykolwiek uważać go za głupca. Oczywiście nosił maskę, służącą do ukrycia bolesnej rany, zadanej jego miłości i dumie. Jego uwielbienie dla niej było tak potężne, że nie chciał dać poznać po sobie, jak bardzo była mu droga i jak głęboko cierpiał.

Ale teraz wszystko będzie dobrze. Małgorzata skruszy swoją własną dumę, upokorzy się przed mężem, wyzna i zwierzy mu się z wszystkiego i powrócą dni szczęśliwe, gdy przechadzali się razem po lasach Fontainebleau — on jak zwykle mało-mówny, a ona tak szczęśliwa, że przy jego mężnem sercu znajdzie zawsze spokój i ukojenie. Im głębiej zastanawiała się nad wypadkami nocy ubiegłej, tem mniej lękała się Chauvelina i jego planów. Była pewna, że nie udało mu się wysledzić identyczności „Szkarłatnego Kwiatu“. Lord Fancourt i Chauvelin zapewnili, że sala jadalna punkt o pierwszej była pusta i prócz Francuza i Percy'ego, nikt więcej nie przestąpił jej progu. Jaka szkoda, że zapomniała zapytać Percy'ego, czy nie widział w sali nikogo prócz Francuza... W każdym razie niebezpieczeństwo minęło dla nieznanego szlachetnego bohatera, który nie wpadł w sidła Chauvelina. Jego śmierć nie będzie ciężać na jej sumieniu.

Wprawdzie nad Armandem wisiało jeszcze niebezpieczeństwo, ale Percy dał słowo, że nic złego

mu się nie stanie, i gdy ujrzała odjeżdżającego męża, nie wątpiła ani przez chwilę o skuteczności jego przedsięwzięcia. Gdy Armand stanie bezpiecznie na ziemi angielskiej, Małgorzata nie pozwoli mu już powrócić do Francji...

Czuła się prawie szczęśliwa i zasunawszy ścielnie firanki, przed promieniami słońca, położyła się, wsparła głowę o poduszki i jak zmęczone dziecko zapadła w spokojny, cichy sen.

ROZDZIAŁ XVIII.

Tajemnicze godło.

Słońce stało już wysoko, gdy Małgorzata obudziła się odświeżona długim snem. Luiza przyniosła jej świeże mleko i koszyczek owoców, i młoda lady z ochotą spożyła ten lekki posiłek.

Myśli jej wciąż ścigały lotem ptaka wysoką postać męża, wyjeżdżającego przez bramę przed pięciu godzinami.

W odpowiedzi na jej niespokojne zapytania Luiza zawiadomiła panią, że groom już powrócił ze „Sul-tanem“, pozostawiwszy sir Percy'ego w Londynie. Groom przypuszczał, że jego pan wsiądzie na pokład swego yachtu, który stał na kotwicy niedaleko London Bridge. Sir Percy udał się tam konno, spotkał się z Briggs'em kapitanem Day Drea'mu i odesłał grooma z Sul-tanem do Richmond.

Te wiadomości wprawiły Małgorzatę w zdumienie. Dokąd mógł mąż udać się teraz na Day Dream? Powiedział, że jedzie na pomoc Armandowi, a istotnie sir Percy miał wpływowych przyjaciół. Może więc jechał do Greenwich? Małgorzata zaprzestała snucia dalszych pomysłów w nadziei, że wszystko wyjaśni się niebawem. Wszak przyrzekł jej, że powróci i że będzie o niej pamiętał.

Miała jeszcze przed sobą długie godziny oczekiwania na przyjaciółkę Zuzię de Tournay. Jak psotne dziecko poprosiła zeszłej nocy hrabinę de Tournay w obecności księcia Walji o przysłanie jej Zuzanny. Jego królewska wysokość przyklasnął głośno temu projektowi, oświadczając, że pozwoli sobie na przyjemność odwiedzenia młodych dam w ciągu dnia, a hrabina nie mając odwagi odmówić, była zmuszona ulec. Zuzanna miała zatem w perspektywie długie i wesołe popołudnie w Richmond, a Małgorzata oczekiwała jej z niecierpliwością.

Pragnęła z nią pomówić o przeżytych latach szkolnych i doprawdy wołała dziś towarzystwo Zuzanny, niż wszelkie inne wizyty. Ale Zuzanna jeszcze nie przyjechała i Małgorzata już ubrana gotowała się, aby zejść nadół. Wyglądała jak młoda pаниenka w skromnej, muślinowej sukni, z szeroką, niebieską szarfą, obejmującą jej smukłą kibić, z wytwornym szalem skrzyżowanym na piersiach i pękiem późnych róż czerwonych, przypiętych do stanika.

Minęła przedpokój, wiodący do jej apartamentów, i stanęła na pięknych dębowych schodach, prowadzących na dół. Po lewej stronie znajdowały się pokoje jej męża: cały szereg sal, do których nie wchodziła nigdy.

Składały się z sypialni, gotowalni i salonu, a na samym końcu korytarza znajdował się gabinet, zawsze na klucz zamknięty, gdy sir Percy w nim nie pracował. Jedyne jego osobisty kamerdyner, zaufany Frank, miał dostęp do tego pokoju. Nikomu

nie wolno było tam wejść. Mylady nie dopominała się nigdy o ten przywilej, a służba oczywiście nie śmiała przekroczyć surowego zakazu.

Małgorzata często ze zwykłym lekceważeniem męża sprzeciwiała się mu, szydząc z tajemnicy, którą otaczał swój prywatny gabinet. Twierdziła z uśmiechem, że odsuwał tak starannie wszystkie ciekawe oczy od swego sanctuarium z obawy, aby się nie przekonano, jak mało tam pracował. Z pewnością wygodny fotel, służący do drzemki, stanowił całe umeblowanie tego pokoju!

Małgorzata przypominała sobie te drwiny, gdy teraz w ten jasny październikowy dzień rozglądała się po korytarzu. Frank zajęty był z pewnością w apartamentach jej męża, gdyż wszystkie drzwi były otwarte, nawet te od gabinetu.

Ogarnęła ją dziecinna paląca ciekawość, by rzucić okiem na tę pracownię. Zakaz oczywiście nie stosował się do niej i Frank nie ośmieliłby wzbronić jej wstępu. Miała wreszcie nadzieję, że kamerdyner zajęty w innych pokojach poprostu nie zauważy jej obecności i nie ściągnie na siebie gniewu męża.

Cichutko na palcach przeszła przez korytarz i jak żona Sinobrodego, drżąc z ciekawości i strachu, stanęła na progu gabinetu, dziwnie zmieszana. Drzwi były przymknięte, Małgorzata nie mogła nic zobaczyć. Pchnęła je nieśmiało i nie słysząc żadnego szmeru, weszła bez wahania. Gabinet był pusty.

Uderzył ją surowy wygląd pokoju. Ciemne i ciężkie kotary, masywne dębowe meble, dwie mapy na ścianach nie ujawniły w niczem upodobań

owego amatora wyścigów, modnego salonowca i próżniaka, słowem człowieka takiego, jakim był w oczach świata baron Percy Blakeney.

Nic tu nie świadczyło o pospiesznym wyjeździe. Wszystkie przedmioty były na swoim miejscu, na posadzce nie leżał ani jeden kawałek papieru, ani jedna szuflada lub szafa nie była otwarta. Przez odsunięte firanki wchodziło ranne świeże powietrze.

Pod oknem stało ciężkie, masywne biurko, które widocznie często i wiele było używane. Po lewej stronie biurka, sięgając niemal od podłogi do sufitu, wisiał na ścianie wspaniały portret kobiety, wielkości naturalnej, oprawny w bogate ramy i podpisany nazwiskiem Bouchera. Była to matka sir Percy'ego Blakeney'a.

Małgorzata wiedziała o niej bardzo mało. Słyszała tylko, że umarła na kontynencie, chora na ciele i umyśle, gdy Percy był jeszcze chłopięciem. Musiała być cudownie piękna, gdy Boucher ją malował, i kiedy Małgorzata wpatrzyła się uważnie w portret, uderzyło ją nadzwyczajne podobieństwo między matką a synem. To samo niskie czoło, okolone gęstym jasnym włosom, miękkim jak jedwab, te same głębokie niebieskie oczy, pod ciemnymi prostymi brwiami, a w oczach mimo pozornej senności ta sama siła, ten sam ognisty temperament, który pałał w spojrzeniu syna w dawno minionych dniach... Zeszłej nocy o świcie znów spostrzegła ów wyraz, gdy zbliżyła się do niego i gdy serdeczniejsza nuta zabrzmiała w jej głosie...

Małgorzata wpatrywała się w portret z ogromnem zainteresowaniem, a później wzrok jej opadł na ciężkie biurko, zarzucone stosem papierów związanych, poukładanych jak urzędowe akta, co nadawało im wygląd faktur i rachunków, ułożonych we wzorowym porządku. Małgorzata nie zastanawiała się nigdy — niestety, nie przyszło jej to dotąd na myśl — jakim sposobem sir Percy, któremu cały świat odmawiał inteligencji, zarządzał olbrzymią fortuną, pozostawioną mu przez ojca.

Od chwili przekroczenia progu tego pokoju, tak systematycznie uporządkowanego, tyle miała przeróżnych niespodzianek, że oczywisty dowód niezwykłych zdolności administracyjnych jej męża nie zdziwił jej, tylko potwierdził w przekonaniu, że poza na zewnętrzną płytkość, bezsensowne dowcipy i płaskie rozmowy była maską nietylko jego uczuć. Całe jego zachowanie zewnętrzne kryło bardzo umiejętnie głębsze powody wyuczonej komedji. Małgorzata zastanowiła się, dlaczego mąż jej postępował w ten właśnie sposób; naco robił to wszystko, dlaczego on, który był najwidoczniej niezwykle poważnym i rozumnym człowiekiem, chciał uchodzić w oczach rodaków za bezmyślnego głupca? Czy dla ukrycia miłości dla kobiety, która go lekceważyła? Przecież mógł znaleźć inny sposób bez tylu ofiar i wysiłków, jakie pociągała za sobą nieustająca komedja, nie licująca w niczem z jego usposobieniem.

Spojrzała dokoła, szukając odpowiedzi. Niewytłumaczony lęk ogarnął ją przed tą niezbadaną ta-

jennicą, wstrząsnął nią dreszcz, poczuła się nie-swoją w tym surowym, zimnym pokoju. Spostrzegła, że na ścianach nie było żadnego obrazu prócz portretu Bouchera, a tylko wisiały mapy Francji, jedna przedstawiająca północne wybrzeża, a druga okolice Paryża. Naco były mu potrzebne te mapy?

Poczuła gwałtowny ból głowy i postanowiła opuścić ten dziwny pokój Sinobrodego, nie rozwiązawszy jego zagadki. Obawiała się wreszcie, by Frank jej tu nie zastał i rzuciwszy ostatnie spojrzenie, podeszła ku drzwiom; ale w tej właśnie chwili potrafiła stopą o mały przedmiot, leżący na dywanie tuż koło biurka, który potoczył się na środek pokoju. Schyliła się, aby go podnieść. Był to gruby, złoty pierścień, o płaskim kamieniu, na którym lśniło wyryte godło.

Małgorzata uważnie przypatrzyła się rysunkowi, który przedstawiał mały, czerwony kwiatek w kształcie gwiazdki. Widziała go już dokładnie dwa razy: w operze i na balu u lorda Grenville'a.

ROZDZIAŁ XIX.

„Szkarłatny Kwiat.“

Małgorzata nie była w stanie określić, kiedy właściwie zaczęła odgadywać prawdę. Z mocno zaciśniętym w palcach pierścieniem wybiegła do ogrodu, aby w samotności móc przyjrzeć się uważniej sygnetowi i jego godłu.

Siedziała bez ruchu w cieniu zwieszających się gałęzi klonu, z oczyma utkwionemi bezmyślnie w płaski kamień i w kwiatek na nim wyryty. Przesuwały się błyskawicznie przez jej mózg niedorzeczne przypuszczenia i szalone podejrzenia. Widziała wszędzie jakieś tajemnicze znaki, jakieś dziwaczne symbole w najprostszych zdarzeniach. Czyż w Londynie nie używali wszyscy i nie nosili owego godła zagadkowego bohatera? Czyż ona sama nie kazała wyhaftować go na swych sukniach i nie stroiła włosów rubinami, naśladującemi jego kształt? czyż jest w tem coś dziwnego, że sir Percy wybrał czerwony kwiatek na pieczętkę? Wszystko to można było przecie tak łatwo wytłumaczyć... tak bardzo łatwo, i wreszcie cóż mógł mieć wspólnego wytworny salonowiec, strojny wygodniś ze śmiałym

spiskowcem, który ratował ofiary w oczach krwiożerczej rewolucji?

Myśli jej płatały się chaotycznie i nie wiedziała, gdzie się znajduje, ani co się dokoła niej dzieje. Ocknęła się dopiero na dźwięk młodego głosu, który wołał ją po imieniu.

— Małgorzato, gdzie jesteś?

Zuzanna, świeża jak pączek róży, z oczyma roześmianymi i rozwianymi od rannego powiewu ciemnymi lokami, ukazała się na zakręcie alei.

— Powiedziano mi, że jesteś w ogrodzie — szczebiotała wesoło, rzucając się jak dziecko w ramiona koleżanki.

— Pobiegłam sama po ciebie, aby zrobić ci niespodziankę; nie spodziewałaś się mnie tak wcześnie, droga moja Margot, nieprawdaż?

Małgorzata ukryła śpiesznie pierścień w fałdach szala i starała się odpowiedzieć młodej dziewczynie z równą wesołością i swobodą.

— Tak, kochanie moje — odrzekła z uśmiechem — jakże się cieszę, że spędzimy razem dzień dzisiejszy! Będę cię miała wyłącznie dla siebie i mam nadzieję, że nie znudzisz się ze mną.

— Nudzić się! ach, Margot, jak możesz być tak niedobra. Wszak jeszcze w naszym drogim starym klasztorze czułyśmy się zawsze najszcześliwsze, gdy nam pozwolono z sobą rozmawiać sam na sam.

— I mówić sobie tajemnice.

Dwie młode kobiety, ująwszy się za ręce, zaczęły przechadzać się po ogrodzie i wspaniałym zwierzyńcu.

— Ach, jak cudny jest ten twój dom, Margot ukochana — zawołał Zuzanna z zachwytem — i jak nieszczęśliwa w nim być szczęśliwa!

— O, tak... powinnabym czuć się szczęśliwa — odparła Małgorzata ze smutnem westchnieniem.

— Czemu to mówisz z takim smutkiem? Ale przypuszczam, że teraz jako mężatka nie będziesz chciała mi się zwierzać jak dawniej... czy pamiętasz, jak dużo miałyśmy wspólnych tajemnic? Niektórych nie chciałyśmy zdradzić siostrze Teresie od św. Aniołów, choć była taka dobra.

— A czy teraz masz także ważną tajemnicę? — zapytała wesoło Małgorzata. — Mam nadzieję, że opowiesz mi wszystko i że nie będziesz się wstydziała, kochanie — dodała, widząc, że twarzyczka Zuzanny powlokła się ciemnym rumieńcem. — Naprawdę, niema się czego wstydzić. Jest to szlachetny i prawy człowiek, z którego może być dumna narzeczona i żona.

— Nie wstydzę się — odparła cicho Zuzanna — i jestem bardzo szczęśliwa, że tak pochlebnie się o nim wyrażasz. Mam nadzieję, że mama pozwoli — dodała w zamyśleniu — i byłabym tak szczęśliwa! Ale naturalnie nie mogę marzyć o małżeństwie, póki papa znajduje się w niebezpieczeństwie.

Małgorzata drgnęła. Ojciec Zuzanny, hrabia de Tournay, jeden z tych, których życie będzie w najwyższym stopniu zagrożone, jeżeli Chauvelin dowie się, kim jest Szkarłatny Kwiat! Zrozumiała z kilku słów hrabiny i członków ligi, że tajemniczy wódz przyrzekł uroczyście uratowanie hrabiego de Tour-

nay. I kiedy Zuzanna, nieświadoma świeżych wypadków, a zajęta jedynie własnym sekretem, szczeniotała w dalszym ciągu, myśli Małgorzaty wróciły do wydarzeń zeszłej nocy: niebezpieczeństwo, w jakim znajdował się Armand, groźby Chauvelina i jego okrutne ultimatum „ten, albo tamten“, które przyjęła.

A potem jej własny współdział w tej sprawie i ów moment w sali jadalnej lorda Grenville'a, gdy agent rządu francuskiego miał odkryć, kim jest ten śmiałek, urągający tak długo całym zastępom szpiegów i zuchwale ratujący nieprzyjaciół Francji...

Od tej chwili nie słyszała już nic o Chauvelinie, z czego wniosowała, że mu się jego akcja nie powiedła; nie obawiała się jednak o Armanda: czyż Percy nie obiecał jej, że nic złego mu się nie stanie? I oto nagle wśród wesołego opowiadania Zuzanny odczuła straszny lęk, jakie będą skutki jej uczynku. Wprawdzie Chauvelin nic jej nie powiedział, ale przypomniła sobie ironiczny, diabelski wyraz jego twarzy, gdy żegnała się z nim po balu. Czy domyślał się czegoś? Czy miał jakiś konkretny plan pojmania zuchwałego spiskowca i wysłania go na szafot bez najmniejszych skrpułów i zwłoki? Serce jej zamarło z trwogi i ręką kurczowo ścisnęła pierścień, ukryty w fałdach sukni.

— Nie słuchasz mnie, droga Małgorzato! — rzekła z wyrzutem Zuzanna, przerywając zwierzenia.

— Ależ tak, kochanie, zareczam ci, że słucham — zaprzeczyła, siłąc się na uśmiech. — Lubię słuchać twych opowiadań i szczęście twoje sprawia mi tak

wielką radość... nie lękaj się, postaramy się o pozwolenie twej mamy. Sir Andrew Ffoulkes jest angielskim gentelmenem, ma majątek i wysokie stanowisko, więc hrabina nie odmówi pozwolenia. Ale teraz powiedz, jakie są najświeższe wiadomości o twoim ojcu?

— Najlepsze, jakie być mogą — odparła Zuzanna z uniesieniem — lord Hastings przyszedł do mamy dziś rano bardzo wcześnie; doniósł nam, że sprawa ojca rozwija się pomyślnie i że możemy oczekiwać go tu w Anglii za cztery dni.

— Naprawdę? — zapytała Małgorzata, której błyszczące oczy były utkwione w Zuzannę.

— Nie obawiamy się już teraz niczego — ciągnęła dalej wesolo Zuzanna. — Czy wiesz, że sam Szkarłatny Kwiat pojechał, aby papę ratować? On naprawdę pojechał — dodała z uniesieniem. — Dziś rano był w Londynie, a w Calais zjawi się może jutro — i tam ma się spotkać z papą, a potem...

Cios był zadany. Czekala nań już długo, choć przez ostatnie pół godziny oszukiwała sama siebie, starając się stłumić zwiększający się wciąż lęk. Pojechał do Calais, był w Londynie dziś rano... on... „Szkarłatny Kwiat“... Percy Blakeney... jej mąż, którego wydała zeszłej nocy jak Judasz w ręce Chauvelina... Percy, Percy, jej mąż. Ach, jak mogła być tak ślepa! Zrozumiała teraz wszystko: rolę, jaką grał... maskę, którą nosił, aby zmylić czujność wszystkich...

I czynił to wszystko widocznie dla sportu, z jakiegoś junackiego upodobania do niebezpieczeństwa, ratował od śmierci mężczyzn, kobiety i dzieci, jak

inni ludzie zabijają z rozkoszą zwierzęta na polowaniu. Ten bogaty, wyniosły magnat chciał mieć cel w życiu, tchnął go w serce młodych zapaleńców, których skupiał pod swym sztandarem, by od szeregu miesięcy narażać własne życie na wybawianie bliźnich z rąk katów!...

A może sir Percy miał początkowo zamiar wtajemniczyć w swe czyny żonę, ale gdy doszły go wieści o śmierci margrabiego St. Cyra, odsunął się od niej, obawiając się, że pewnego dnia zdradzi go wraz z jego towarzyszami, którzy przysięgli mu wierność w dobrej i złej doli. I dlatego to grał przed nią i przed światem tę wzniosłą komedję, gdy setki ludzi zawdzięczały mu życie i szczęście rodzinne.

Maska była przepyszna, komedja znakomicie odegrana. Nic dziwnego, że szpiegom Chauvelina nie przyszło na myśl szukać w tym lekkomyślnym półgłówku śmiałego męża, który genialną pomysłowością wprowadzał w błąd najbieglejszych szpiegów na ziemi francuskiej i angielskiej. Nawet zeszłej nocy, gdy Chauvelin wszedł do sali jadalnej lorda Grenville'a, w poszukiwaniu „Szkarłatnego Kwiatu“, zastał tylko ograniczonego sir Percy'ego Blakeney'a, pogrążonego w głębokim śnie w rogu kanapy.

Czy chytry jego umysł odgadł tajemnicę? W tem leżała cała okropna, przerażająca zagadka. Zdradzając nieznanego, bezimiennego człowieka, celem wyratowania brata, Małgorzata Blakeney wysłała na śmierć własnego męża.

— Nie, nie, po tysiąc razy nie! — starała się uspokoić wewnętrzną mękę. Czyż przeznaczenie mo-

gło być tak okrutne? Sama natura zaprotestowała-by przeciw takiej nikczemności i ta ręka, trzymająca zeszelej nocy ów skrawek papieru, przyczynę złego, byłaby raczej uszła, niż dopuściła do takiej zbrodni!

— Co ci jest, droga? — zapytała Zuzanna z niepokojem, zauważywszy śmiertelną bladość przyjaciółki. — Czy jesteś chora?

— Nic, nic, dziecko — szepnęła jakby w półśnie. — Czekaj... niech się zastanowię. Mówiłaś, że Szkarłatny Kwiat wyjechał dzisiaj?

— Małgorzato najmilejsza, przestraszasz mnie!

— Mówię ci, że nic mi nie jest, tylko muszę pozostać przez chwilę sama i będę zmuszona skrócić dzisiejszą pogawędkę. Muszę wyjechać. Niebawem zrozumiesz wszystko...

— Czuję, że coś się stało, że pragniesz być sama i nie chcę ci przeszkadzać. Moja panna służąca odwiezie mnie do domu, więc nie troszcz się o mnie, droga Margot.

Zarzuciła ramiona na szyję koleżanki, odczuwając głęboki ból przyjaciółki; ale nie śmiała zadawać żadnych pytań, zrozumiałszy z wrodzoną sobie delikatnością, że lepiej będzie zostawić ją samą.

Zuzanna pożegnała serdecznie Małgorzatę i oddaliła się z głębokim smutkiem. Lady Blakeney pozostała na miejscu bez ruchu, rozmyślając nad tem, co dalej czynić należy.

W chwili gdy Zuzanna wstępowała na schody tarasu, spostrzegła biegnącego ku swej pani grooma, który niósł list zapieczętowany. Zuzanna instynk-

townie wróciła, obawiając się nowych niepomyślnych wiadomości dla przyjaciółki. Jej biedna Margot była już tak przybita, że nie zniosłaby z pewnością nowego ciosu!

Groom stanął z uszanowaniem przed swoją panią i wręczył jej zapieczętowaną kopertę.

— Co to jest? — zapytała Małgorzata.

— Posłaniec przyniósł w tej chwili ten list, mylady.

Małgorzata wzięła list drżącą ręką i zapytała:

— Kto przysłał posłańca?

— Tego nie mówił, mylady — odrzekł groom — powiedział mi tylko, że miał rozkaz oddania listu i że domyślisz się już sama, mylady, kto go przysłała.

Małgorzata rozdarła kopertę. Zgóry przeczuła jej zawartość. Był to list Armanda St. Justa do sir Andrew Fioulkes'a, ów dokument skradziony przez szpiegów Chauvelina w „Odpoczynku Rybaka“, który, w rękach agenta francuskiego służył za bicz, zmuszający ją do posłuszeństwa.

Chauvelin dotrzymał słowa i odsyłał kompromitujący list Armanda, gdyż był na śladach „Szkarłatego Kwiatu“.

W oczach Małgorzaty pociemniało, zachwiała się i byłaby upadła, ale podtrzymała ją troskliwa Zuzanna. Z nadludzkim wysiłkiem opanowała się, wiedząc, że ma przed sobą ważne zadanie.

— Przyprowadź mi tu posłańca — rzekła spokojnie do służącego. — Wszak jeszcze nie odszedł?

— Nie, mylady.

Groom oddalił się, a Małgorzata zwróciła się do Zuzanny.

— A ty, dziecko, idź do domu i powiedz swej służącej, aby była gotowa do drogi. Obawiam się, że będę zmuszona cię odesłać. Każ mojej służebnej przygotować dla mnie suknię podróżną i płaszcz.

Zuzanna nic nie odpowiedziała. Ucałowała serdecznie Małgorzatę i oddaliła się bez słowa, głęboko przygnębiona straszem, bezbrzeżnym cierpieniem, wyrytem na twarzy przyjaciółki.

Po chwili groom powrócił z posłańcem.

— Kto wręczył ci ten list? — zapytała Małgorzata.

— Pewien gentelmen, mylady — odrzekł posłaniec — w zajeździe „Róża i Oset“, naprzeciw Charing Cross. Mówił mi, że będziesz już wiedziała o co chodzi.

— W zajeździe „Róża i Oset“? Co tam robił?

— Czeka mylady na powóz, który zamówił.

— Na powóz?

— Tak, mylady, zamówił powóz specjalnie dla siebie. Jego służący powiedział mi, że jedzie prosto do Dover.

— Dobrze. Możesz odejść.

Zwróciła się do grooma.

— Niech zajedzie w tej chwili mój powóz, zaprzężony w cztery najszybsze konie, jakie są w stajni.

Groom i posłaniec oddalili się pośpiesznie, aby wypełnić rozkazy.

Małgorzata pozostała w ogrodzie sama, nieruchoma, jakby skamieniała. Patrzyła przed siebie z rę-

kami kurczowo zaciśniętymi na piersiach, a usta jej poruszały się wciąż w tragicznym, bezradnym szepcie:

— Co mam zrobić? Co mam zrobić? Gdzie go szukać?... O Boże, oświeć mnie!...

Ale nie było czasu na wyrzuty sumienia i rozpacz. Popełniła bezwiednie czyn okropny, największą zbrodnię, jakiej kobieta kiedykolwiek się dopuściła. Wiedziała o tem dobrze, a sam fakt, że nie domyśliła się tajemnicy męża, był grzechem nie do przebaczenia. Powinna była wiedzieć.

Jak mogła przypuszczać, aby człowiek, który potrafił kochać tak jak Percy Blakeney ją niegdyś kochał, stał się owym lekkomyślnym głupcem, za którego chciał uchodzić. Powinna była odczuć, że nosił maskę, a przekonawszy się o tem, zmusić go do szczerości. Ale jej miłość dla męża tłumiała pycha i lekceważenie, i oba te uczucia nie pozwoliły jej zrozumieć wielkości sir Persy'ego. Lecz pocóż w tej tragicznej chwili powracać do przeszłości? Zawiniła przez własne zaślepienie i musiała za nie odpokutować nie próżnemi skargami, lecz energicznym pożytecznym czynem.

Blakeney wyjechał do Calais, nie domyślając się, że najzacieklejszy wróg go ściga. Wsiadł wczesnym rankiem na okręt w London Bridge, a jeżeli miał wiatr pomyślny, to mógł bezwątpienia dobić do brzegów Francji w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Sądziła, że Chauvelin siądzie na pocztę, jadącą do Dover, najmie statek i prawdopodobnie przybędzie do Calais równocześnie z Percym. Tutaj

Percy spotka się ze zbiegami z Francji, którzy z niecierpliwością czekali na dzielnego i szlachetnego zbawcę.

Oczy Chauvelina śledzić będą każdy jego ruch, i oto Percy narazi nietylko własne życie, ale i życie ojca Zuzanny i innych uchodźców, pokładających w nim całą nadzieję. W grę wchodziło także życie Armanda, który bez najmniejszej obawy pojechał na spotkanie hrabiego de Tournay, wiedząc że „Szkarłatny Kwiat“ nad nim czuwa. W rękach Małgorzaty spoczywało życie jej męża i wszystkich tych ludzi, więc musiała ich ratować za wszelką cenę, jeżeli jej odwaga i pomysłowość okażą się na wysokości zadania.

Czuła jednak, że sama nie mogła wykonać tego planu. Dojechawszy do Calais, nie wiedziałaaby gdzie szukać męża, gdy tymczasem Chauvelin z pomocą skradzionych papierów w Dover trzymał w ręku wszystkie nici akcji. Przedewszystkiem należało przestrzec Percy'ego.

Wiedziała, że nie opuści on nigdy tych, którzy mu zaufali, że nie odstraszy go żadne niebezpieczeństwo i że nie wyda hrabiego de Tournay w ręce krwawych katów. Ale trzeba go przestrzec, aby miał czas stworzyć nowy plan i uzbroić się w ostrożność i przezorność. Nie spodziewając się niczego złego, wpadłby w zręcznie zastawione sidła, lecz gdyby go ostrzeżono, mógłby jeszcze dopiąć celu.

A jeżeli nie powiedzie mu się, jeżeli przeznaczenie i Chauvelin ze środkami, jakimi rozporządzał, oka-

żą się silniejsze od śmiałego spiskowca, wtedy przynajmniej stanie przy jego boku, aby go pokrzepić na duchu, kochać i też osłodzić ostatnie chwile. Zgina razem, świadomi, że miłość rodzi miłość i że jej potęga zwalcza wszystko.

Powzięła wielkie, niezłomne postanowienie, wyprostowała się i skupiła w sobie. Wiedziała teraz, co czynić należało, jeżeli Bóg doda jej sił i pomocy. Oczy jej straciły błędny wyraz i pały wewnętrznym ogniem, w nadziei rychłego spotkania wśród śmiertelnych niebezpieczeństw. Błyszczały radością na myśl dzielenia z nim tych niebezpieczeństw, niesienia mu pomocy i pozostania przy nim aż do końca, jeżeli śmierć okaże się koniecznością.

Dziesięć twarzyczka Małgorzaty spoważniała. Zacięła usta na kurczowo zaciśniętych zębach; głęboka zmarszczka na czole świadcząca o niezłomnej woli i niezachwianem postanowieniu, pojawiła się między łukami prostych brwi — już miała plan gotowy.

Postanowiła udać się do sir Andrew Ffoulkes'a, który był najlepszym przyjacielem jej męża. Małgorzata przypomniała sobie z rozrzewnieniem, z jakim ślepym entuzjazmem młody człowiek wyrażał się zawsze o swym tajemniczym wodzu. Była pewna jego pomocy. Ujrzała nadjeżdżający powóz.

Nie śpiesząc się zbyt, ale bez cienia wahania, weszła spokojnie do domu, by przebrać się, uściśkać Zuzannę i wyjechać.

ROZDZIAŁ XX.

Przyjaciel.

W pół godziny później Małgorzata, zatopiona w myślach, siedziała w powozie, dążącym do Londynu.

Pożegnała Zuzannę i odesłała ją ze służącą do miasta swemi własnymi końmi. Wysłała jednego posłańca z listem pełnym uszanowania do jego królewskiej wysokości, prosząc księcia Walji, aby odłożył na inny dzień łaskawą wizytę, gdyż nie mogła go przyjąć z powodu nieprzewidzianych wypadków. Drugi lokaj udał się na jej rozkaz do Faversham, celem przygotowania przeprzęgu.

Następnie zmieniła muślinową suknię na ciemny strój podróżny i płaszcz, zaopatrzyła się w pieniądze, któremi mąż hojnie ją zawsze obdarzał, i udała się w podróż.

Nie łudziła się próżnemi nadziejami. Życie Armanda zależało od możliwości schwytania „Szkarłatnego Kwiatu“ i wobec faktu Chauvelin odesłał jej kompromitujący list brata; nie miała najmniejszej wątpliwości, iż odgadł kim jest sir Percy. Ta straszna rzeczywistość nie pozwoliła na żadne złudzenia, Percy, jej mąż, którego dziś tak kochała, uwielbiała

za jego męstwo i bohaterstwo, znajdował się z powodu niej w śmiertelnem niebezpieczeństwie. Wydała go w ręce nieprzyjaciół prawie bezwiednie, ale jeżeli szczęście będzie sprzyjać Chauvelinowi, na jej sumieniu zaciąży śmierć męża. Jego śmierć! Czują się gotowa oddać w jego obronie ostatnią kroplę krwi!..

Kazała się zawieźć do zajazdu „Pod Koroną“. Stanąwszy na miejscu, poleciła woźnicy nakarmić konie, a sama zamówiwszy lektykę, udała się do Pall Mall, gdzie mieszkał sir Andrew Ffoulkes.

Wśród przyjaciół, których Percy zgromadził pod swoim sztandarem, miała największe zaufanie do sir Andrew. Uważała go zawsze za swego przyjaciela, a miłość młodego Anglika do Zuzanny zbliżała ją bardziej jeszcze do niego. W razie jego nieobecności lub wyjazdu byłaby się może zwróciła do lorda Hastingsa albo lorda Tony, gdyż bez pomocy jednego z nich nie mogła żadną miarą uratować męża.

Sir Andrew był w domu. Służący wprowadził ją do pięknego kawalerskiego mieszkania i pozostawił w komfortowej sali jadalnej. Małgorzata czekała na sir Andrew zaledwie dwie, trzy minuty. Jej niespodziewana obecność mocno zadziwiła młodzieńca. Patrzył na Małgorzatę z niepokojem i pewnem niedowierzaniem, składając przed nią wykwintny ukłon, jakiego wymagała surowa etykieta ówczesna.

Małgorzata nie ujawniła najmniejszego zdenerwowania. Była zupełnie spokojna i odkłoniwszy się równie ceremonjalnie, rzekła:

— Sir Andrew! nie mam zamiaru tracić czasu na długie tłumaczenia. Musisz mi uwierzyć, że wasz wódz i towarzysz „Szkarłatny Kwiat“ a mój mąż Percy Blakeney, jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wszelkie wątpliwości które jeszcze mogłam mieć co do prawdziwości domysłów, rozwiały się w tej właśnie chwili.

Sir Andrew zaskoczony tą nieoczekiwaną wieścią, zbladł śmiertelnie i nie był w stanie znaleźć żadnej odpowiedzi.

— Nie chodzi o to, skąd się o wszystkim dowiedziałam — ciągnęła dalej — może Bóg pozwoli, że uda się nam jeszcze uratować Percy'ego, jednak nie mogę tego sama dokonać i przyszedłam po ratunek do ciebie.

— Lady Blakeney — wyszeptał młody człowiek, usiłując zebrać myśli — ja...

— Czy chcesz mnie wysłuchać? — przerwała. — Oto moje wyjaśnienia: gdy agent rządu francuskiego zrabował wasze papiery w Dover, znalazł pomiędzy nimi pewne plany uratowania życia hrabiemu de Tournay. Szkarłatny Kwiat — Percy, mój mąż, wyjechał dziś rano, aby ten plan wykonać. Chauvelin wie, że Szkarłatny Kwiat i Percy Blakeney są tą samą osobą. Pojedzie za nim do Calais i tam go schwyci. Wiesz równie dobrze, jaki los mu zgotuje rząd rewolucyjny we Francji. Nie pomoże żadne wstawiennictwo Anglii, ani nawet króla Jerzego. Robespierre i jego pomocnicy postarają się już o to, aby wstawiennictwo przyszło za późno.

Ale nie dość na tem: wódz któremu wszyscy zaufali, zdradzi nieświadomie kryjówkę hrabiego de Tournay i jego towarzyszy niedoli.

Mówiła spokojnie, ale w głosie jej drgało niezłomne postanowienie. Pragnęła za wszelką cenę przekonać młodzieńca o prawdziwości tych słów, aby zdobyć jego pomoc, gdyż bez niego nic uczynić nie mogła

— Nie rozumiem — powtarzał, starając się zyskać na czasie, gdyż nie wiedział co mu czynić należało.

— Zdaje mi się, przeciwnie, że rozumiesz. Przecież musi pan odczuwać, że mówię prawdę. Rozważ spokojnie okoliczności, które ci przedstawiam: Percy wyjechał do Calais, aby dotrzeć stamtąd do pewnej odległej miejscowości nad brzegiem morza, a Chauvelin go ściga. Wyjechał już pocztą do Dover i prawdopodobnie przepłynie kanał dziś w nocy. Jak sądzisz, co się stanie?

Młodzieniec milczał.

— Percy dojdzie do umówionego miejsca, nie wiedząc o tem, że go ścigają. Połączy się z Tournay'em i innymi zbiegami, między którymi znajduje się mój brat Armand, a tymczasem przenikliwe oczy szpiegów śledzić będą wszystkie jego ruchy. Zdradziwszy w ten sposób zupełnie bezwiednie tych nieszczęśliwych, będzie usiłował przedostać się z nimi do Anglii. Ale wtedy drzwi pułapki zamkną się za nimi i „Szkarłatny Kwiat“ zakończy bohaterские życie na gilotynie.

Sir Andrew wciąż milczał.

— Nie wierzysz mi! — zawołała z rozpaczą. — Mój Boże, czyż nie słyszysz dźwięku szczerego w mych słowach? Przyjacielu! — dodała, chwytając za ramiona młodzieńca i zmuszając go, aby spojrział jej prosto w oczy. — Powiedz! czy wyglądam na najwstrętniejszego potwara na świecie, na kobietę która chce zdradzić własnego męża?

— Broń Boże, lady Blakeney, abym przypisywał tobie tak niskie zamiary, ale...

— Ale co? Powiedz mi człowieku, każda chwila jest bezcenna!

— Czy zechcesz mi wyjaśnić — rzekł poważnie, patrząc badawczo w jej niebieskie oczy — czyja ręka pomogła Chauvelinowi do zdobycia tych wiadomości?

— Moja! — odrzekła śmiało. — Przyznaję się do tego i nie chcę kłamać przed tobą, abyś ślepo mi wierzył. Ale przecież nie wiedziałam o niczem. Jakżeż mogłam przeczuć, kim jest „Szkarłatny Kwiat“. Miałam okupić tem wyznaniem życie brata...

— Pomagając Chauvelinowi w odkryciu „Szkarłatnego Kwiatu“?

Skinęła głową potwierdzająco.

— Uważam za zbyteczne opowiadać, w jaki sposób Chauvelin mnie do tego zmusił. Armand jest więcej niż bratem dla mnie, i czyż mogłam odgadnąć? Ale tracimy czas! każda sekunda stracona może zaważyć na szali. Na miłość Boską, mój mąż jest w niebezpieczeństwie! Twój wódz, twój przyjaciel, twój towarzysz! Pomóż mi go ratować!

Sir Andrew znalazł się w bardzo trudnem położeniu. Przysiągł swemu wodzowi posłuszeństwo i dotrzymanie tajemnicy, a teraz ta kobieta, która z pewnością mówiła prawdę, twierdziła, że życie jego przyjaciela, jego wodza było zagrożone.

— Lady Blakeney — rzekł wkońcu — jestem w ciężkiem położeniu i nie wiem jak postąpić. Powiedz mi, co czynić należy, jest nas dziesiętnastu gotowych wylać krew do ostatniej kropli, jeżeli „Szkarłatny Kwiat“ znajduje się w niebezpieczeństwie.

— Nie chodzi narazie o wasze życie, mój drogi — rzekła sucho. — Cztery szybkie konie i moja głowa wystarczą, ale muszę wiedzieć, gdzie go znaleźć — dodała ze łzami. — Upokorzyłam się przed tobą, przyznałam się do winy, i czyż mam jeszcze wyjawiać swoją słabość? Mój mąż i ja byliśmy sobie obcy, gdyż on mi nie ufał, a ja byłam zaślepią i nie rozumiałam go. Musisz przyznać, że przez ciężką zasłonę, którą rzucił mi na oczy, nielatwo było dojrzeć prawdy. Nic więc dziwnego, że popełniłam omyłkę. Ale zeszłej nocy, gdy wtrąciłam go mimowoli w tak śmiertelną pułapkę, zasłona zsunęła się nagle z mych oczu. Jeżeli odmówisz mi pomocy, spróbuję mimo to wyratować męża; użyję wszystkich sposobów, jakimi jestem w stanie rozporządzać, a gdy okażę się bezsilną, gdy przyjdę za późno, nic ci nie pozostanie, prócz wiecznych wyrzutów sumienia.

— Ależ, lady Blakeney — rzekł młody człowiek, wzruszony szczerością tej pięknej kobiety — czy

wiesz, że twój zamiar jest szaleństwem? Nie możesz żadną miarą sama odbyć podróży do Calais, gdyż naraziłabyś się na największe niebezpieczeństwo, a odnalezienie twego męża wydaje mi się niemal nieprawdopodobne, pomimo najściślejszych wskazówek z mej strony.

— Ach, mam nadzieję, że się narażę! — szepnęła namiętnie — to będzie moja pokuta... lecz zdaje mi się, że się mylisz; oczy Chauvelina śledzą tylko was i nawet mnie nie zauważą. A więc śpiesz się, sir Andrew! Powóz czeka i niema chwili do stracenia... muszę jechać do niego, muszę... — powtarzała z zaciętym uporem — muszę go przestrzec. Czy nie rozumiesz, że muszę go odnaleźć nawet, jeżeli już będzie za późno, przynajmniej będę przy nim do końca...

— Rozkazuj mi, madame. Moi towarzysze i ja poświęcimy z ochotą życie za twego męża. Jeżeli chcesz koniecznie osobiście...

— Ależ, przyjacielu, czy nie widzisz, że oszalałabym, gdybyś pojechał beze mnie? — Wyciągnęła do niego ręce. — Czy mi ufasz teraz?

— Czekam na twoje rozkazy — odparł spokojnie.

— W takim razie — słuchaj: Powóz czeka, aby zawieźć mnie do Dover. Pojedziesz za mną co koń wyskoczy. Spotkamy się o zmierzchu w „Odpoczynku Rybaka“, którego Chauvelin będzie uniikał, gdyż go tam znają. Zdaje mi się, że w tej gospodzie będziemy bezpieczniejsi. Byłabym ci niezmiernie wdzięczna, gdybyś mi towarzyszył do Calais, gdyż, jak sam twierdzisz, mogłabym minąć się

z sir Percy'm, pomimo najściślejszych wskazówek. Wynajmiemy statek w Dover i w nocy przepłyniemy kanał. W przebraniu za mego lokaja, jeżeli się na to zgodzisz, unikniesz prawdopodobnie niebezpieczeństwa i nikt cię nie pozna.

— Jestem na twoje usługi, madame — odparł młodzieniec z zapałem — i proszę Boga, abyś ujrzała „Day Dream“, nim dojedziemy do Calais, gdyż obecnie każdy krok Szkarłatnego Kwiatu na ziemi francuskiej naraża go na niebezpieczeństwo ze strony Chauvelina.

— Oby Bóg cię wysłuchał, sir Andrew! A teraz dowidzenia. Spotkamy się wieczorem w Dover, a w nocy rozpocznie się ciężka walka między mną a Chauvelinem, której nagrodą będzie życie Szkarłatnego Kwiatu.

Sir Ffoulkes ucałował jej rękę i odprowadził do lektyki. W kwadrans później Małgorzata była już zpowrotem w zajeździe „Pod Koroną“, gdzie powóz i konie czekały gotowe do drogi. Za chwilę grzmiły kopytami po ulicach londyńskich, biegnąc ku Dover w szalonym pędzie.

Małgorzata nie miała czasu oddawać się rozpacz. Trzeba było działać szybko i energicznie. Myśl, że sir Andrew był jej sprzymierzeńcem i towarzyszem, dodawała jej otuchy.

Ufała, że Bóg okaże się miłosiernym, że nie pozwoli, aby dokonała się taka ohydna zbrodnia jak śmierć sprawiedliwego człowieka, zadana ręką urwielbiającej go kobiety. Myśli jej pobiegły znów ku temu tajemniczemu bohaterowi, którego zawsze

bezwiednie kochała, nawet gdy prawdziwe oblicze zasłaniał maską przed jej oczyma. Niegdyś w minionych dniach szczęścia nazywała go wymarzonym królem swego serca, a teraz przekonała się, że ten tajemniczy wódz, którego ona uwielbiała, i ten człowiek, który ją ubóstwiał, stanowili tę samą osobę. Cóż więc dziwnego, że w jej wyobraźni znów zrodziły się sny o szczęściu; w ciągu ostatnich godzin tyle przeżyła niepokoju, że poddała się z rozkoszą słodkim marzeniom szczęścia i czarownej nadziei.

Monotonny turkot powozu podziałął kojąco na jej rozdrażnione nerwy. Oczy zmęczone wylaniami łzami, zamknęły się bezwiednie i Małgorzata zapadła w niespokojny sen.

ROZDZIAŁ XXI.

Nieoczekiwana przeszkoda.

Lady Blakeney późną nocą dotarła do gospody, zwanej „Odpoczynkiem Rybaka“. Jechała niespełna ośm godzin, dzięki częstym zmianom koni w rozlicznych przydrożnych zajazdach, za które płaciła hojnie. Miała zawsze do dyspozycji najlepsze i najsilniejsze konie. Woźnica także był niestrudzony. Obietnica wysokiej nagrody dopomogła niewątpliwie do podtrzymania jego zapału, gdyż podczas całej drogi powóz mknął jak wicher.

Przyjazd lady Blakeney w nocy wywołał wielki ruch w „Odpoczynku Rybaka“. Sally wyskoczyła śpiesznie z łóżka, a Jellyband wyteżył wszystkie siły, aby godnie przyjąć tak wysokiego gościa.

Ci poczciwi ludzie wiedzieli dobrze, jak powinni zachować się właściciele zajazdów w pewnych okolicznościach i nie okazali najmniejszego zdziwienia na widok mylady, przyjeżdżającej bez żadnej opieki o tak niezwykłej godzinie. Bezwątpienia zastanawiali się nad tym faktem i komentowali go, ale Małgorzata zbyt była przejęta doniosłością swej podróży, aby zważać na takie drobnostki.

Wielka sala zajazdu, widownia napadu na dwóch angielskich gentelmenów, była całkiem pusta. Jellyband śpiesznie zapalił lampę, podłożył ogień na kominku i przysunął do niego wygodny fotel, na który Małgorzata opadła zmęczona.

— Czy spędzisz tu noc, mylady? — zapytała ładniutka Sally, zajęta rozkładaniem śnieżno-białego obrusu na stole, na wypadek, gdyby mylady zamówiła skromną kolację.

— Nie zostanę tu przez całą noc — odparła Małgorzata — ten pokój mi wystarcza, jeżeli w nim mogę pozostać parę godzin.

— Ten pokój jest na twoje rozkazy, mylady — odparł uprzejmie Jellyband, odwracając ostrożnie rumiane oblicze w obawie, by dama nie zauważyła jego potęgującego się zdumienia.

— Z chwilą przyływu wsiadę na pierwszy lepszy okręt, lecz mój woźnica i służba tu zostaną przez kilka dni. Mam nadzieję, że zajmiesz się nimi, panie Jellyband.

— Tak, mylady, niczego im brakować nie będzie. Czy Sally może przynieść ci jakiś posiłek?

— Owszem, proszę, postaw na stole trochę zimnego mięsa, a gdy zjawi się sir Andrew Ffoulkes, poproś go tutaj.

— Dobrze, mylady.

Mimo wysiłków twarz zacnego Jellybanda zdradzała najwyższe osłupienie. Miał wielkie uszanowanie dla sir Percy'ego Blakeney'a i myśl, że jego żona ucieka z młodym sir Andrew, przejmowała go

zgrozą. Coprawda nie miał prawa mieszać się do tych spraw i nie lubił plotek. Zresztą mylady należała do owych cudzoziemców, którymi tak pogardzał, cóż więc dziwnego, że była równie niemoralna jak oni wszyscy?

— Udał się na spoczynek, zacny Jellybandzie — rzekła uprzejmie Małgorzata — i nie czuwajcie ani ty, ani twoja córka. Sir Andrew przyjedzie może bardzo późno.

Jellyband był aż nadto szczęśliwy, iż może odeśłać Sally. Ta cała wyprawa zaczęła mu się stanowczo nie podobać. Miał jednak nadzieję, że lady Blakeney zapłaci mu hojnie za nocną gościnę, a poza tem nic go nie obchodziło.

Sally przygotowała skromną kolację, złożoną z zimnego mięsa, wina i owoców, i ukloniwszy się nisko, wyszła, zadając sobie pytanie, dlaczego mylady ma tak stroskaną twarz, skoro zamierza uciec z kochankiem.

Małgorzata z lękiem pomyślała o długich chwilach oczekiwania, które musi spędzić beczynn timer w udręce niepewności. Wiedziała, że sir Andrew, który musiał się zaopatrzyć w liberję lokaja, nie mógł przybyć do Dover wcześniej niż za dwie godziny. Był znakomitym jeźdźcem i te 50 mil pomiędzy Londynem a Dover stanowiły dla niego igraszkę. Pędził na pewno co koń wyskoczy, ale niewszędzie znajdzie dobre konie i nie zdąży wyjechać z Londynu, wcześniej jak w godzinę po Małgorzacie. W drodze nie mogła zasięgnąć żadnych wieści o Chauvelinie. Woźnica nie widział nikogo, przypo-

minającego choćby w przybliżeniu zwiędłą twarz małego Francuza. Widocznie Chauvelin ją wyprzedził, ale nie miała odwagi pytać o niego ludzi napotkanych w zajazdach, w których zatrzymywała się dla zmiany koni, w obawie, że Chauvelin obsadził całą drogę szpiegami. Usłyszawszy jej pytania, mogliby przestrzec nieprzyjaciela o jej podróży i cała sprawa byłaby stracona.

Ach! gdyby mogła wiedzieć, do jakiej gospody zajechał Chauvelin, czy nie wsiadł już na okręt i nie odpłynął do Francji? Ta myśl ścisnęła jej serce jakby żelaznymi kleszczami.

Samotność i głucha cisza dręczyły ją i przygniały. Nie dochodził do niej żaden odgłos i szmer, prócz tykania starego zegara, którego wskazówki posuwały się tak bardzo powoli. Małgorzata użyć musiała całej energii i wysiłku woli, aby nie stracić odwagi podczas tej bolesnej nocy oczekiwania.

Prócz niej cały dom pogrążony był we śnie. Słyszała, jak Sally udała się na spoczynek. Jellyband poszedł się przekonać, czy woźnica i służba myłady dostali wygodne pomieszczenie, a po chwili wrócił i zatrzymał się w tych samych drzwiach, w których przed tygodniem Małgorzata po raz pierwszy spotkała się z Chauvelinem. Widocznie zamierzał czekać na sir Andrew Ffoulkesa, ale sen go zmorzył, i Małgorzata słyszała wyraźnie monotony i spokojny oddech gospodarza.

Piękny i ciepły dzień październikowy, tak szczęśliwie rozpoczęty, zmieniał się powoli w noc chłodną i wietrzną. Zadrzała z zimna i zbliżyła się do

wesołego ognia, trzaskającego na kominku. Z każdą chwilą wiatr wzmagał się i szum fal rozbijających się o groblę portową w Admiralty Pier, dochodził do niej jak grzmot przytłumiony.

Wiatr dał z wściekłością. Szarpał drzwiami w ogrodzie i hulał w obszernym kominie, aż szyby dźwięczały, a drzwi starego domu skrzypiały jękliwie. Małgorzata zadała sobie pytanie, czy ten wiatr korzystnie wpłynie na jej podróż? Nie bała się burzy i nie byłaby za nic opóźniła wyjazdu, choćby o godzinę.

Głośny tupot w podwórzu ocknął ją z tych rozmyślań. Widocznie był to sir Andrew, gdyż usłyszała tętent kopyt końskich i wesoły, choć zaspany głos Jellybanda, witającego gościa.

Przez chwilę pomyślała, że jej sytuacja jest istotnie niezwykła i że to nocne spotkanie z sir Ffoulkesem ma wszystkie pozory tajemnej schadzki, tem bardziej, że młody kawaler zjawił się w przebraniu. Cóż za przepyszny materiał do plotek!

Ta myśl uderzyła ją szczególnie ze strony komicznej. Takie było przeciwieństwo między powagą chwili a pozorami, które z pewnością cnotliwy Jellyband fałszywie sobie tłumaczyć będzie, że pierwszy od wielu godzin uśmiech zaigrał na jej dziecinnych ustach.

Gdy sir Andrew zgola niepodobny do siebie w lokajskiej liberji wszedł do sali zajazdu, przyjęła go niemal z wesołym śmiechem.

— Ach, mój panie lokaju, jakże jestem uradowana z twego wyglądu!

Jellyband, który wszedł za młodym człowiekiem, był zmieszany w najwyższym stopniu. Przebranie młodego eleganta potwierdziło całkowicie jego podejrzenia. Niechętnie otworzył butelkę wina, przystawił krzesło do stołu i czekał.

— Dziękuję ci, zacny przyjacielu — rzekła Małgorzata, uśmiechając się wciąż na myśl o tem, co sądzi gospodarz o tej nocnej przygodzie. — Niczego już nie potrzebujemy; oto zapłata za twoje trudy.

Podawała kilka sztuk złota Jellybandowi, który przyjął je z należnem uszanowaniem i wdzięcznością.

— Lady Blakeney — zawołał sir Andrew, gdy gospodarz chciał się oddalić — obawiam się, że będziemy musieli niestety korzystać dłużej z gościnności mego przyjaciela Jellybanda. Z przykrością muszę ci oznajmić, że nie możemy wsiąść na okręt tej nocy.

— Nie możemy wsiąść na okręt tej nocy! — powtórzyła ze zdumieniem. — Ależ musimy, musimy koniecznie! Tu nie mogą wchodzić w grę ani przeszkody, ani koszta. Musimy mieć okręt dzisiaj jeszcze!

Jednakowoż młodzieniec potrząsnął ze smutkiem głową.

— Nie chodzi tu o koszta. Straszna burza dmie od strony Francji, mamy wiatr przeciwny, niema żadnej możliwości wyjazdu, póki wiatr się nie zmieni.

Małgorzata zbladła. Tej właśnie przeszkody nie przewidziała. Sama natura sprzysięgła się przeciw

niej. Percy był w niebezpieczeństwie, a ona nie mogła śpieszyć mu z pomocą, bo wiatr dął od strony Francji!

— Przecież musimy jechać, musimy... — powtarzała z rozpaczliwym uporem — ty wiesz, że musimy. Czy nie możesz znaleźć jakiegoś sposobu?

— Byłem już na wybrzeżu i rozmawiałem z marynarzami, którzy mnie zapewnili, że dzisiejszej nocy nie można w żaden sposób podnieść kotwicy, żaden okręt dziś nie odpłynie, a zatem nikt — dodał, patrząc znacząco na Małgorzatę — nikt nie wyjechał z Dover wieczorem.

Małgorzata zrozumiała o kim mówił. Nikt, to znaczy ani Chauvelin, ani ona.

Skinęła uprzejmie na Jellybanda.

— Wobec tego musimy pogodzić się z losem — rzekła do niego. — Czy masz dla mnie wolny pokój?

— Ależ naturalnie, mylady, ładny, jasny pokój, i drugi dla sir Andrew. Są już przygotowane.

— To dobrze, mój zacny Jelly — odparł wesoło sir Andrew, klepiąc gospodarza po ramieniu. — Otwórz te dwa pokoje i zostaw lichtarze na kredensie. Jestem pewien, że umierasz ze zmęczenia, a mylady zanim się położy, musi jeszcze coś zjeść. Nie bój się, przyjacielu, i nie miej tak pogrzebowej miny; przybycie mylady o tak niezwykłej godzinie jest wielkim zaszczytem dla ciebie i sir Percy wynagrodzi cię podwójnie, jeżeli starać się będziesz, aby na niczem jej nie zbywało.

Sir Andrew odgadł widocznie niepokoje i obawy, które dręczyły zacnego gospodarza, a że był grzech-

nym dżentelmenem, starał się tą uwagą rozproszyć jego podejrzenia. Z zadowoleniem zauważył, że po części dopiął celu, gdyż na wzmiankę o sir Percy'm rumiana twarz gospodarza rozjaśniła się nieco.

— W tej chwili zajmę się wszystkim — odrzekł trochę udobruchany. — Czy nie życzysz sobie czego więcej na kolację, mylady?

— Mam wszystkiego pod dostatkiem, zacny przyjacielu. Jestem bardzo głodna i upadam ze zmęczenia, więc idź, proszę, i otwórz pokoje.

— A teraz powiedz mi — rzekła, zwracając się do towarzysza, gdy Jellyband wyszedł z pokoju — co wiesz nowego?

— Nie mam nic nowego do oznajmienia — odrzekł młodzieniec. — Burza uniemożliwia każdemu okrętowi odpłynięcie z Dover. Ale co ci się początkowo wydawało okropną klęską, jest w rzeczy samej wielkiem szczęściem. Jeżeli my nie możemy tej nocy przepłynąć do Francji, to Chauvelin jest przecież w tem samym położeniu.

— Mógł odpłynąć przed burzą.

— Oby tak było — zawołał wesoło sir Andrew — gdyż w takim razie burza go wpędziła na inne wybrzeża, lub kto wie? może już leży na dnie morza. Straszliwa wichura szaleje, i biada małym okrętom, które znajdują się zdala od portu. Ale obawiam się, że nie powinniśmy pokładać nadziei w zatonięciu tego szatana wraz z jego morderczymi planami. Marynarze zapewniali mnie, że ani jeden statek nie podniósł kotwicy od kilkunastu godzin, poza tem

twierdzili, że pewien nieznajomy przyjechał powozem po południu i chciał przeprowić się do Francji.

— W takim razie Chauvelin jest jeszcze w Dover?

— Bezwątpienia. Czy mam wyprowadzić go gdzieś podstępnie i przebić go moją szablą? Byłoby to najlepsze i najszybsze załatwienie sprawy.

— Nie żartuj, sir Andrew. Niestety, już parokrotnie miałam pokusę życzyć śmierci temu nędznikowi, ale to co proponujesz, jest niemożliwe. Prawa tego kraju nie pozwalają mordować. Jedynie w naszej pięknej Francji wolno urządzać masowe rzezie w imię wolności i braterstwa.

Sir Andrew namówił Małgorzatę, aby zjadła cokolwiek i napiła się trochę wina. Ten przymusowy odpoczynek, który mógł trwać aż do następnego przypływu, czyli conajmniej 12 godzin, był dla Małgorzaty źródłem nowych udręczeń, wobec niepokoju jaki nią miotał.

Będąc posłuszna w małych rzeczach jak dziecko, zmusiła się do jedzenia i wychylenia kieliszka wina. Sir Ffoulkes z głębokim współczuciem i wrodzoną delikatnością zaczął opowiadać o jej mężu, opisując niektóre śmiały wyprawy, których był bohaterem, akty szaleńczej odwagi z jaką ratował nieszczęśliwych tułaczy francuskich, wygnanych z własnej ojczyzny przez krwawą nieubłaganą rewolucję. Gdy wspominał o jego odwadze, pomysłowości i sprycie, oczy lady Blakeney lśniły zapałem i uwielbieniem.

Kilkakrotnie nawet zaśmiała się wesoło, gdy opisywał przeróżne niesłychanie pomysłowe prze-

brania, dzięki którym sir Percy wprowadzał w błąd strażę, broniące wstępu do Paryża. Ostatnia wycieczka hrabiny Tournay i jej dzieci była wprost mistrzowskim dziełem sprytu. Blakeney przebrany za ohydną przekupkę, w brudnym czepcu, z którego wysuwały się siwe kosmyki włosów, mógł rozśmieszyć samych bogów Olimpu. Gdy sir Andrew zaczął opisywać swego wodza, którego wysoki wzrost sprawiał mu we Francji największy kłopot, Małgorzata śmiała się z całego serca. Na tej rozmowie minęła godzina, ale jakże długo trzeba było czekać w męczącej beczynności! Małgorzata wstała od stołu i westchnęła. Myślała z przerażeniem o nocy, która ją czekała w samotnym pokoju, nocy pełnej trwogi, huczącej odgłosami szalejącej burzy. Starała się odgadnąć, gdzie obecnie znajduje się Percy. „Day Dream“ był mocnym, dobrze zbudowanym statkiem, a sir Andrew twierdził, że Percy bezwątpienia przepłynął na drugi brzeg przed zerwaniem się wiatru, albo nie wypłynął jeszcze wcale na pełne morze, czekając spokojnie w Gravesend.

Brigges był kapitanem bardzo doświadczonego, a ponieważ sir Percy znał się na żegludze jak najwprawniejszy sternik, nic im nie groziło ze strony morza. Już północ minęła, gdy Małgorzata udała się na spoczynek. Obawy jej sprawdziły się, gdyż nie zasnęła ani na chwilę. Najczarniejsze przeczucia dręczyły ją podczas tych długich strasznych godzin wśród szalejącej burzy, która nie pozwalała jej połączyć się z Percym. Grzmot dalekich fal przejmował smutkiem serce biednej kobiety i wzmagał jej

bolesny niepokój. Tylko w chwilach szczęścia możemy wpatrywać się z przyjemnością w bezbrzeżną otchłań morską, która faluje z przygnębiającą jednostajnością, jakby w takt naszych myśli smutnych lub radosnych; gdy są wesołe, fale szumią radośnie, ale gdy ból nas trapi, każdy bałwan rozbijając się o brzeg, przyczynia nam smutku, przywodząc na myśl znikomość i głębię naszych złudzeń.

ROZDZIAŁ XXII.

Calais.

Najprzykrzejsze noce i najdłuższe dni na szczęście nie trwają wiecznie. Po nocy bezsennej Małgorzata wstała wczesnie, bardziej podniecona niż kiedykolwiek, niecierpliwie czekając na chwilę odjazdu i lękając się śmiertelnie nowych przeszkód. Ubrała się i przygotowała do podróży, choć wszyscy mieszkańcy zajazdu byli pogrążeni we śnie.

Gdy zeszła nadół, zastała w kawiarni sir Andrew. Przed pół godziną był w Admiralty Pier, aby zasięgnąć wiadomości, ale ani okręt z pocztą francuską, ani żaden prywatny statek nie opuścił dotąd portu w Dover. Burza nadal szalała i rozpoczynał się odpływ. Jeżeli wiatr nie uspokoi się, lub przynajmniej nie zmieni kierunku, zmuszeni będą czekać jeszcze 12 godzin, aż do następnego przyptywu. Tymczasem burza nie ucichła, wiatr nie zmieniał kierunku i odpływ postępował szybko. Rozpacz ogarnęła Małgorzatę, gdy usłyszała te smutne wieści, ale siłą woli opanowała się. Jej cierpienia zwiększały jeszcze rosnący z każdą chwilą niepokój młodzieńca.

Usiłował zataić przed nią swoje rozdrażnienie, lecz Małgorzata jasno zdawała sobie sprawę, że sir

Andrew z równą niecierpliwością i trwogą oczekuje na chwilę spotkania z towarzyszem i przyjacielem. Ta przymusowa bezczynność była dla obojga straszną próbą. Małgorzata nigdy nie potrafiła sobie przypomnieć, jak spędzili ten dzień oczekiwania w Dover. Nie wychodziła nigdzie ze strachu przed szpiegami Chauvelina i nie pokazywała się nikomu. Siedziała całymi godzinami z sir Andrew w prywatnym saloniku, spożywając od czasu do czasu lekki posiłek, który im przynosiła Sally.

Burza ucichła zbyt późno i morze okazało się za płytkie, aby okręt mógł podnieść kotwicę. Wiatr przybrał inny kierunek, zamieniając się w lekki powiew północno-zachodni, który był prawdziwym błogosławieństwem dla udających się w drogę do Francji. A tymczasem dwoje naszych podróżnych musiało wciąż czekać, zapytując się w duchu, czy nadejdzie wreszcie godzina wyzwolenia. Raz tylko w ciągu tego męczącego dnia doznali chwili radości, gdy sir Andrew powrócił z portu, oznajmiając, że wynajął statek, którego kapitan gotów był wyruszyć w drogę, gdy tylko nastąpi przyływ. Od tego czasu godziny wydawały się im znośniejsze i czekanie mniej beznadziejne. Wreszcie o 5-tej po południu lady Blakeney w gęstym woalu na twarzy udała się do portu.

Za nią szedł jej towarzysz w liberji lokaja, niosąc liczne pakunki.

Świeże i ostre powietrze morskie orzeźwiło ją, gdy stanęła na pokładzie. W chwilę potem łagodny

wiatr wzdął żagle „Foam Crest“ i yacht wypłynął na pełne morze.

Zachód słońca po burzy był wspaniały, i Małgorzata, wpatrując się w białe skały Dover, znikające stopniowo w oddali, czuła się spokojniejszą i pełną otuchy.

Sir Andrew, zawsze gotów do usług, nie opuszczał jej na chwilę, a ona była mu głęboko wdzięczna za jego obecność w tych ciężkich przejściach. Niebawem sine wybrzeża Francji zaczęły wylaniać się z mgły wieczornej; kilka światełek mignęło w oddali i wysmukłe wieże kościołów zarysowały się na widnokregu.

W pół godziny później podróżni stanęli na ziemi, gdzie ludzie mordowali bliźnich tysiącami i wysyłali pod nóż najniewinniejsze głowy.

Sam wygląd kraju i jego mieszkańców ujawniał już tę kipiącą rewolucję, którą zmieniała piękny Paryż we wstrętą jaskinię zbrodni. Wszyscy mężczyźni nosili czerwone czapki bardzo wątpliwej czystości, ale zawsze z przypiętą po lewej stronie trójkolorową kokardą. Małgorzata zauważyła, że zamiast wesołości, cechującej zwykle jej rodaków, twarze przechodniów miały wyraz nieufny i ponury. Każdy przechodzień był teraz szpiegiem w oczach swych współbraci; najniewinniejsze słowo wymówione żartem, mogło być powtórzone jako dowód arystokratycznych lub monarchistycznych aspiracji, czy też zdrady knowanej przeciw ludowi. Nawet kobiety miały dziwny wyraz lęku i nienawiści w ciemnych oczach i patrząc na Małgorzatę, wysiadającą z okrętu w to-

warzystwie sir Andrew, szeptały przez zęby: „przekłęci arystokraci“ albo „przekłęci Anglicy“.

Pozatem obecność podróżnych nie wywołała żadnych komentarzy. Miasto Calais, nawet w tych dniach niepokoju nie przerywało stosunków handlowych z Anglią, i angielscy kupcy wciąż przebywali na tem wybrzeżu.

Z powodu wysokiego cła nałożonego przez rząd brytyjski przemycano pokryjomu z Francji olbrzymią ilość wina i wódek, co sprawiało francuskim mieszkańcom wielką radość. Cieszyli się niezmiernie, że tym sposobem oszukiwano znienawidzony rząd angielski, a przede wszystkim króla, i przemytnik był zawsze dobrze widzianym gościem w nędznych szynkach Calais i Boulogne.

Znaczna część ludności widząc sir Andrew prowadzącego Małgorzatę przez kręte ulice Calais, brała ich za kupców na artykuły obłożone cłem, a choć obsypywano ich przezwiskami, nikt ich nie zatrzymywał w drodze.

Małgorzata nie mogła zrozumieć, jak jej mąż olbrzym mógł przejść przez Calais niespostrzeżony, choćby w najstaranniejszem przebraniu. Sir Andrew przeprowadził ją przez miasto i udał się w stronę przylądka Gris Nez. W drodze przeważnie milczeli. Ulice były wąskie, kręte, przesycone zapachem ryb zgniłych i wilgotnych piwnic. Skutkiem gwałtownego deszczu, który spadł ostatniej nocy, lady Blakeney zapadała po kostki w błocie, błądząc w ciemności nieoświetlonych wcale ulic. Niekiedy tylko słaby promyk światła padał przez szyby domów

i ułatwiał nieco drogę. Ale nie zważała na te drobne niewygody.

— Spotkamy się może z Blakeneyem pod „Buryem Kotem“ — powiedział jej sir Andrew, gdy wysiedli z okrętu; szła więc jakby po różanym dywanie, sądząc, że niebawem ujrzy męża.

Nareszcie dotarli do miejsca przeznaczenia. Widoczne było, że jej przewodnik znał okolice, gdyż ani razu nie zapytał o drogę, choć noc była ciemna.

Małgorzata z powodu ciemności nie mogła przyrzyć się zewnętrznemu wyglądowi domu. Ów zajazd pod „Buryem Kotem“ — jak go sir Andrew nazywał — musiał być małą karczmą przydrożną, leżącą niedaleko od Calais, przy gościńcu prowadzącym do przylądka Gris Nez. Znajdował się wpobliżu morza, gdyż słyszała wyraźnie szum fal. Sir Andrew końcem laski zapukał do drzwi. Odpowiedziano mu gniewnem mruknięciem i całym stekiem przekleństw. Młodzieniec zapukał po raz drugi z większą siłą. Za drzwiami rozległy się nowe przekleństwa, a potem ciężkie kroki zbliżyły się do drzwi, które otwarto z hałasem.

Małgorzata stanęła na progu najbrudniejszej i najbardziej zaniedbanej izby, jaką kiedykolwiek w życiu widziała.

Z murów zwieszały się strzępy tapet, a krzesła miały złamane oparcia lub dziurawe siedzenia. Jeden róg stołu wspierał się na stosie chróstu w braku czwartej nogi.

W kącie izby wznosił się wielki piec kuchenny, nad którym wisiał garnek z gotującą się zupą o nie-

zbyt odrażającym zapachu, w drugim zaś rogu chwiałe schody prowadziły na strych, zasłonięty podartą niebiesko-białą firanką.

Na gołych obdartych i zabrudzonych ścianach widniały kredą nakreślone słowa: „Liberté, Egalité, Fraternité“.

Tę okropną norę oświetlała cuchnąca lampa oliwna, zwieszająca się z napół spróchniałej powały. Wszystko tchnęło takim brudem i nędzą, że Małgorzata nie mogła zdobyć się na przekroczenie progu tej ohydnej izby.

Sir Andrew wszedł bez wahania.

— Jesteśmy podróżnymi z Anglii, obywatelu — rzekł śmiało po francusku.

Człowiek, który otworzył drzwi, okazał się właścicielem tej wstrętnej chałupy. Był to mężczyzna średniego wieku, tęgi, ubrany w brudną niebieską bluzę i ciężkie chodaki, z których wyglądały długie żdźbła słomy. Nosił oczywiście nieodstępną czerwoną czapkę, z trójkolorową kokardą, odpowiadającą jego obecnym poglądom politycznym, a w rękę trzymał krótką drewnianą fajkę, cuchnącą tytoniem. Spojrzał podejrzliwie i z widoczną pogardą na podróżnych, mruknął „Sacrés Anglais“ i splunął na ziemię, aby okazać swą niezależność moralną. Jednak usunął się nieco, aby dać im miejsce, w przypuszczeniu, że ci „sacrés Anglais“ mają pełną sakiewkę.

— O Boże! — szepnęła Małgorzata, wchodząc do pokoju z chustką przy nosie — co to za okropna

dziura Czy wiesz na pewno, że to właśnie ta gospoda?

— Ależ na pewno — odrzekł jej towarzysz, odkurzając krzesło chusteczką ozdobioną koronkami — choć przyznaje, że nigdy nie widziałem brudniejszej nory.

— Istotnie, lokal ten nie jest zbyt pociągający — westchnęła Małgorzata, rozglądając się z ciekawością i obrzydzeniem po odrapanych murach, złamanych krzesłach i kulawym stole.

Właściciel zajazdu pod „Burym Kotem“, zwany Brogard, nie zwracał już teraz żadnej uwagi na gości. Sądził, że zamówią kolację, a wolny obywatel nie miał najmniejszego obowiązku okazywania grzeczności lub uszanowania komukolwiek, nawet ludziom najlepiej ubranym. Przy piecu siedziało jakieś stworzenie, okryte łachmanami i gdyby nie czepiec — niegdyś biały — i szmata naśladowująca spódnice, nikt nie domyśliłby się w niem kobiety. Mruczała pod nosem i od czasu do czasu mieszała coś w garnku.

— Hej przyjacielu — zawołał wkońcu sir Andrew — zjedlibyśmy chętnie kolację. Ta obywatelka, — rzekł, wskazując palcem stos łachmanów skulony przy ogniu — gotuje jak widzę jakąś znakomitą zupę, a moja pani nie miała nic w ustach od kilku godzin.

Brogard milczał. Nie przystoi bowiem wolnemu obywatelowi odpowiadać zbyt grzecznie na życzenia gości.

— Sacrrés aristos... — zamruczał i znów splunął na ziemię.

Następnie zbliżył się powoli do kredensu, stojącego w kącie pokoju, wyjął z niego starą wazę cynową i podał ją połowicy, która również milcząco zaczęła ją napełniać dymiącą zupą.

Małgorzata przypatrywała się temu z wzrastającym obrzydzeniem. Gdyby nie doniosłość jej planów, byłaby dawno uciekła z tej cuchnącej nory.

— Nasz gospodarz i gospodyni nie są zbyt mili — zauważył sir Andrew, widząc wyraz niesmaku na twarzy towarzyszki. — Wolałbym podać pani wytworniejszy i smaczniejszy posiłek, lecz sądzę, że zupa nie okaże się zbyt odrażająca, a wino będzie nie najgorsze. Ci ludzie gniją w brudzie, ale jedzą dobrze.

— Sir Andrew — zaprotestowała — nie troszcz się o mnie, doprawdy, nie myślę w tej chwili o jedzeniu.

Brogard — milcząc przygotowywał kolację. Położył na stole dwie łyżki i ustawił 2 szklanki, które sir Andrew wytarł starannie, a następnie przyniósł butelkę wina i bochenek chleba. Małgorzata niechętnie siadła do stołu i zmusiła się do jedzenia. Sir Andrew, grając rolę lokaja, stanął za jej krzesłem.

— Zaklinam cię, madame — szepnął, widząc że Małgorzata nie mogła prawie nic przełknąć — zaklinam cię, bądź rozsądna i jedz. Pamiętaj, że potrzeba ci jeszcze dużo sił.

Zupa nie była zła, zapach i smak miała znośny, ale otoczenie budziło wstręt i odejmowało chęć do jedzenia. Małgorzata ukroiła kawałek chleba i wypiła trochę wina. — Tak mi przykro, sir Andrew, że

stoisz, zamiast jeść razem ze mną. Potrzebujemy przecież sił oboje. Ten człowiek poprostu pomyśli, że jestem ekscentryczną Angielką, która ucieka ze swym lokajem. Usiądź przy mnie i spożyj tę lichą zupę.

Obsłużwszy swych gości, Brogard nie zajmował się potem nimi wcale, a matka Brogard wyszła cicho z pokoju, człapiąc pantoflami, gospodarz zaś chodził po pokoju, paląc śmierdzącą fajkę, puszczając niekiedy dym w twarz Małgorzaty, jak przystało wolnemu obywatelowi, dla którego nie istnieją różnice klas.

— Przekłete bydlę — zawołał sir Andrew porywczco, gdy Brogard nachylił się nad stołem i wypuszczając kłęby dymu, przyglądał się ze wzgardą swym gościom.

— Na miłość Boską — upomniała go żywo Małgorzata, widząc, że młodzieniec z angielską popędlivością zaciskał groźne pięści. — Nie zapominaj, że jesteśmy we Francji i że trzeba tu wszystko znosić spokojnie.

— Miałbym ochotę łeb mu skrócić — syknął z pasją sir Andrew.

Usłuchał Małgorzaty, siadł przy niej, aby zmusić się do przełknięcia zupy i wina.

— Proszę cię, nie drażnij tego gburą, gdyż inaczej nie zechce odpowiadać na nasze pytania.

— Robię co mogę, jak widzisz, ale daję słowo, że wolałbym go zakłuć, niż zadawać mu pytania.

— Hej przyjacielu — rzekł wesoło, zwracając się do Brogarda i klepiąc go lekko po ramieniu. — Czy

widujesz tu niekiedy ludzi z naszych stron, czyli angielskich podróżnych?

Gospodarz spojrział z podoba, znów wypuścił kłęb dymu z fajki, aby pokazać, że mu nie pilno z odpowiedzią, a potem mruknął:

— Tak, niekiedy.

— Naturalnie — odparł sir Andrew niedbale — angielscy podróżni wiedzą dobrze, gdzie szukać dobrego wina. A teraz słuchaj: moja pani chciałaby wiedzieć, czy nie widziałeś przypadkiem jednego z jej znajomych, angielskiego dżentelmena, który często dla interesów przyjeżdża do Calais. Jest bardzo wysoki i dopiero co wyjechał do Paryża. Moja pani miała nadzieję, że spotka się z nim w Calais.

Małgorzata starała się nie patrzeć na Brogarda ze strachu, by nie zdradzić przed nim trwogi, z jaką czekała na jego odpowiedź. Ale wolny francuski obywatel nie śpieszył się i dopiero po chwili rzekł powoli.

— Wysoki Anglik? dziś? Tak, widziałem go.

— Widziałeś go? — zapytał sir Andrew.

— Tak, dzisiaj — mruknął kwaśno Brogard. Następnie wziął spokojnie kapelusz sir Andrew leżący na krześle, wsadził go na głowę, strzepnął brudną bluzę i próbował objaśnić rozmaitemi ruchami, że ten pan, o którym była mowa, miał na sobie piękne ubranie.

— Sacrré aristo — mruknął znowu — ten wysoki Anglik!

Małgorzata ledwo powstrzymała okrzyk zgrozy.

— To z pewnością sir Percy! I nawet nie przebrał się!

Uśmiechnęła się przez łzy na myśl o tem szczególnem zamiłowaniu męża do elegancji, z której nie chciał nawet rezygnować w obliczu śmierci i narażał się na szalone nedorzeczne niebezpieczeństwa, zwracając na siebie uwagę modnem ubraniem, śnieżnemi żabotami i koronkami.

— Ach! co za lekkomyślność! — westchnęła. — Sir Andrew, zapytaj tego człowieka, kiedy Percy wyszedł.

— Tak przyjacielu — rzekł sir Andrew, zwracając się znów do Brogarda, równie niedbale — ten mylord ubiera się zawsze bardzo elegancko i jest przyjacielem mylady. Mówiłeś, że wyszedł?

— Tak, wyszedł... ale powróci... zamówił kolację.

Sir Andrew nagłym ruchem położył rękę na ramieniu Małgorzaty. To ostrzeżenie nie było przedwczesne, gdyż szalona radość o mało jej nie zdradziła. Był zdrów, złego go nic dotąd nie spotkało, przyjdzie tu za chwilę, zobaczy go może już za parę minut... Ach, ten bezmiar szczęścia poprostu ją zabija!

— Tutaj? — zawołała patrząc na Brogarda, który zmienił się nagle w jej oczach w jakiegoś niebiańskiego zwiastuna. — Tutaj? mówisz, że angielski dżentelmen powróci tutaj?

Niebiański zwiastun splunął, aby okazać pogardę dla tych wszystkich wstrętnych arystokratów, którzy upodobili sobie zajazd pod „Burym Kotem“.

— Jeżeli zamówił kolację, to wróci — mruknął.
— *Sacré Anglais* — dodał niecierpliwie na myśl, że tyle miał kłopotu z powodu jednego marnego Anglika.

— Ale czy wiesz, gdzie jest teraz? — zapytała żywo, kładąc delikatną białą rączkę na brudnym rękawie jego granatowej bluzy.

— Poszedł zamówić konia i wózek — rzekł Brogard lakonicznie, odrzucając nagłym ruchem ze swego ramienia ładną rączkę, którą z dumą całowali książęta krwi.

— O której godzinie wyszedł? — zapytała z bijącym sercem.

Ale Brogard miał już dość tych wszystkich pytań. Uważał, że nie przystoi wyznawcy równości stanów być zbyt uprzejmym dla tych przeklętych arystokratów, nawet jeżeli to byli bogaci Anglicy. Wreszcie jego godność nakazywała mu raczej jaknajgłębsze lekceważenie, niż grzeczne odpowiadanie, które mogłoby oznaczać służalczą uniżoność.

— Nie wiem — mruknął gburowato. — Zdaje mi się, że dosyć powiedziałem, *voyons!*... przyszedł dzisiaj, zamówił kolację, wyszedł, powróci niedługo. *Voilà!*

Zaznaczywszy raz jeszcze w ten sposób prawa obywatela i wolnego człowieka, Brogard wyszedł z pokoju i trzasnął drzwiami na znak, że zachowuje się właśnie tak, jak mu się podoba.

ROZDZIAŁ XXIII.

Nadzieja.

— Zapewniam cię, madame — rzekł sir Andrew, widząc, że Małgorzata miałaby ochotę interpelować w dalszym ciągu swarliwego gospodarza — że lepiej zostawić go w spokoju. Nie wydobędziemy już nic więcej z niego, a jakże łatwo możemy w nim obudzić podejrzenia! Tem bardziej, że niewiadomo, czy te przekłete zajazdy nie są otoczone szpiegami.

— Co mnie to obchodzi — odparła wesoło — jeżeli wiem, że mój mąż jest zdrow i że ujrzę go za chwilę?

— Cicho — przerwał trwożnie, gdy w uniesieniu radości mówiła głośno — we Francji dzisiaj nawet ściany mają uszy.

Wstał od stołu, obszedł wkoło pustej, brudnej pokój i podsłuchiwał uważnie pod drzwiami, za którymi znikł Brogard. Ale nie usłyszał nic podejrzanego prócz zwykłych przekleństw i człapania chodakami. Wdrapał się też po spróchniałych schodach na strych, aby upewnić się, czy nie czają się tam szpiegi Chauvelina.

— Czy jesteśmy sami panie lokaju? — zapytała z uśmiechem Małgorzata, gdy młodzieniec usiadł koło niej. — Czy możemy spokojnie rozmawiać?

— Tak, ale ostrożnie — błagał.

— Czemużeś taki smutny jak skazaniec? Ja mam ochotę tańczyć z radości. Nie mamy już żadnego powodu do strachu. Nasz yacht „Foam Crest“ znajduje się w pobliżu o dwie mile morskie i mój mąż nadejdzie tu może za pół godziny, cóż zatem nas może niepokoić? Chauvelin i jego sfera nie przyszli dotąd.

— O tem nie wiemy, madame.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Był w Dover razem z nami.

— Zatrzymała go ta sama burza, która i nam stała na przeszkodzie.

— Oczywiście, ale nie powiedziałem ci tego dotychczas, aby cię nie przestraszyć, widziałem go na wybrzeżu na 5 minut przed naszym odjazdem z Dover. Przynajmniej byłbym przysięgł że to on. Przebrał się za księdza tak zrećcznie, że sam szatan, jego mistrz, nie byłby go poznał. Zamawiał właśnie statek do Calais i wyjechał najpóźniej w pół godziny po nas.

Twarz młodej kobiety posmutniała. Zrozumiała groźne położenie, w jakim znajdował się Percy, wyładowawszy na ziemi francuskiej. Chauvelin go ścigał i tu w Calais ten chytry dyplomata był wszechmocny. Jedno słowo, a Percy zostanie zdemaskowany i pojmany...

Krew ścięła się w jej żyłach. W najcięższych chwilach w Anglii nie rozumiała tak wyraźnie jak teraz grozy sytuacji. Chauvelin poprzysięgł Percy'emu zgubę, a ona własnymi rękoma zdarła maskę ze

śmiałego spiskowca, choć ta maska stanowiła jedyną jego obronę.

Gdy w „Odpooczynku Rybaka“ Chauvelin schwycił w zasadzkę dwóch młodzieńców, wpadły mu w ręce wszystkie plany przyszłej wyprawy. Armand St. Just, hrabia de Tournay i inni monarchiści mieli się spotkać ze „Szkarłatnym Kwiatem“ w dniu 2-go października, w miejscu widocznie dobrze lidze znaniem, a oznaczonem jako chata „Père Blanchard“.

Armand, którego stosunki ze „Szkarłatnym Kwiatem“ i rozbrat z rządem terroru nie były znane jego współrodakom, opuścił Anglję przed tygodniem, wioząc ze sobą niezbędne wskazówki, umożliwiające spotkanie ze zbiegami i przeprowadzenie ich w miejsce bezpieczne.

Małgorzata wiedziała o tem wszystkim, i sir Andrew utwierdził ją w tych domysłach. Wiedziała także, że gdy Blakeney'a uwiadomiono o zrabowaniu jego planów i wskazówek, było już za późno, by móc skomunikować się z Armandem, lub wysłać inne rozkazy.

Siłą rzeczy zatem zbiegowie musieli dojść na miejsce w oznaczonym czasie, nie wiedząc o niebezpieczeństwie, na jakie narażał się ich bohaterski zbawca.

Blakeney, który zawsze sam planował i organizował wycieczki, nie chciał pozwolić, aby jeden z jego młodszych towarzyszy naraził się na pewną zgubę. Dlatego to nakreślił na balu lorda Grenville'a krótką notatkę: „wyjeżdżam jutro sam“. A teraz gdy jego

identyczność została odkryta najzacieklejszemu wrogowi, wiedział na pewno, że każdy jego krok będzie śledzony. Ścigany przez emisariuszy Chauvelina aż do nieznaney chaty, w której oczekiwać go będą zbiegli Francuzi, zostanie tam osaczony i schwytany.

Mieli godzinę czasu, gdy wyjechali z Dover mniej więcej o godzinę wcześniej od Chauvelina, by ostrzec Percy'ego i przekonać go o szaleństwie tej wyprawy, której epilogiem mogła być jedynie jego śmierć.

Ale na to mieli tylko godzinę czasu.

— Chauvelin trafi do zajazdu pod „Burym Kotem“ dzięki skradzionym papierom — rzekł sir Andrew — i zaraz po wylądowaniu tu przyjdzie.

— Ale jeszcze nie wylądował — odparła. — Mamy zatem nieco czasu, a Percy zjawi się tu łąda chwila. Nim się Chauvelin spostrzeże, będziemy już dawno w drodze do Anglii.

Mówiła z ożywieniem, pragnąc wzbudzić w młodym przyjacielu choć iskrę nadziei, której wciąż rozpaczliwie chwytala się; ale on smutnie potrząsnął głową.

— Czemu nic nie mówisz — zapytała z rozdrażnieniem — i czemu potrząsasz głową z taką grobową miną?

— Dlatego madame, że snując różowe plany, zapominasz o najważniejszym czynniku.

— Co mówisz? o niczem nie zapominam... co za czynnik? — dodała z rosnącym zniecierpliwieniem.

— Ma sześć stóp wysokości i nazywa się Percy Blakeney — odparł poważnie sir Andrew.

- Nic nie rozumiem — szepnęła.
- Czy myślisz na serjo, pani, że twój mąż opuści Calais, nie wypełniwszy swego zadania?
- To znaczy że...?
- Przecież chodzi o hrabiego de Tournay.
- O hrabiego...
- I o Armanda St. Justa i o wielu innych jeszcze....

— Mojego brata! — zawołała z okrzykiem zgrozy. — Boże, przebacz mi, ale zapomniałam o nim...

— Ci zbiegowie wyczekują z niezachwianą wiarą zjawienia się „Szkarłatnego Kwiatu“, który pod słowem honoru przyrzekł im pomoc.

Tak, ona zapomniała o tem. W szlachetnym egoizmie kobiety, kochającej całym sercem, zapomniała w ubiegłych godzinach o wszystkich, z wyjątkiem męża. Jego cenne życie, groza położenia, słowem on jeden pochłaniał wszystkie jej myśli.

— Mój brat! — szepnęła i duże łzy zaczęły znów spływać z jej oczu na wspomnienie o Armandzie, tym towarzyszu i umiłowanym opiekunie jej dzieciństwa, dla którego popelniła ciężki grzech, prowadzący jej męża do zguby.

— Sir Percy Blakeney nie byłby uwielbianym wodzem garstki dżentelmanów — rzekł dumnie sir Andrew — gdyby opuszczał tych, którzy okazali mu ufność. Sama myśl, by mógł złamać słowo, jest niedopuszczalna.

Zapadło milczenie. Małgorzata zasłoniła twarz rękoma, a przez drżące jej palce spadały ciężkie, duże

ły. Młodzieniec nie starał się jej pocieszać, choć cierpiał na widok jej cierpienia. Zrozumiał cały bezmiar nieszczęścia, w jakie wtrąciła wszystkich lekko-myślność tej kobiety. Znał tak dokładnie swego przyjaciela i wodza, jego szaloną wprost odwagę, bezprzykładne zuchwalstwo i kult danego słowa. Sir Andrew wiedział, że Blakeney stawi czoło każdemu niebezpieczeństwu, narazi się na niechybną zgubę, niż złamie przysięgę. Z Chauvelinem podejmie ostatnią rozpaczliwą walkę, bezowocną może, aby tylko wypełnić obietnicę.

— Tak, sir Andrew — rzekła wreszcie Małgorzata, usiłując osuszyć łzy — masz rację. Okryłabym się hańbą, przeszkadzając mu w wypełnieniu obowiązku. Zresztą jak sam mówisz, prośby moje byłyby daremne. Oby Bóg go wspomagał i wybawił z rąk nieprzyjaciół. Percy ci może nie odmówi, abyś mu towarzyszył i dzielił z nim wzniosłe zadanie. We dwóch znajdziecie więcej sposobów; tak wiele macie odwagi i sprytu! tylko czasu tracić nie trzeba. Jestem przekonana, że ocalenie jego zależy od ostrzeżenia go, że Chauvelin go ściga.

— Bezwątpienia, gdyż ma pomysły wprost zdumiewające, a przestrzeżony będzie jeszcze ostrożniejszy.

— W takim razie przejdź się po tej mieścinie dla zbadania sytuacji, a ja tu czekać będę na przybycie Percy'ego. Może wpadniesz na jego ślad i oszczędzisz tym sposobem dużo cennego czasu. Jeżeli odnajdziesz męża, proś go, aby miał się na bacności.

— Czy czekałabyś mylady w tak wstrętnej norze?

— Cóż mi to szkodzi? poproś tylko naszego mru-
kliwego gospodarza o inny pokój, abym nie była
wciąż narażona na towarzystwo tych wchodzących
i wychodzących robotników. Ofiaruj mu także hojny
napiwek, aby mnie ostrzegł, gdy wróci wysoki An-
glik.

Mówiła z wielkim spokojem, prawie wesoło, choć
była przygotowana na najgorsze. Postanowiła nie
okazać najmniejszej słabości i stać się godną tego,
który ofiarowywał życie za bliźnich.

Sir Andrew nie opierał się, chętnie poddając się
energicznym rozkazom Małgorzaty. Zapukał lekko
do drzwi, za którymi przed chwilą znikł Brogard
z żoną, i oczywiście usłyszał siarczyste przekleń-
stwo.

— Hej przyjacielu Brogard! — rzekł młodzieniec
rozkazująco — Mylady chciałyby nieco odpocząć.
Czy mógłbyś odstąpić jej osobny pokój, gdyż pra-
gnęłaby pozostać sama.

Wyciągnął z kieszeni pieniądze i zadzwonił niemi
znacząco.

Brogard otworzył drzwi i wysłuchał niechętnie
żądania gościa. Na widok złota wyprostował się
nieco, wyjął fajkę z ust i wszedł do izby. Wskazał
przez ramię strych i mruknął:

— Może tam poczekać, zupełnie jej to wystarczy;
zresztą nie mam innego pokoju.

— Ależ naturalnie — rzekła lady Blakèney po
angielsku, zrozumiawszy jaką korzyść wyciągnie

z tej kryjówki. — Daj mu pieniądze, sir Andrew. Jestem zupełnie zadowolona z tej propozycji, gdyż zobaczę wszystko, a sama pozostanę w ukryciu.

Skinęła na Brogarda, który wszedł po schodach na strych i odgarnął słomę leżącą na podłodze.

— Błagam cię madame — rzekł sir Andrew, gdy Małgorzata podeszła ku chwiejącym się schodom — postępuj z rozwagą! Pamiętaj, że dom ten przepelniony jest szpiegami i nie pokazuj się sir Percy'emu, dopóki nie upewnisz się, że jesteś z nim sam na sam.

Ale zrozumiał, jak dalece ta przestroga była zbyt uczynna. Młoda kobieta tchnęła spokojem i równowagą jak mężczyzna. Nie potrzebował się obawiać lekkomyślności z jej strony.

— Bądź spokojny — odpowiedziała, siląc się na wesołość. — Mogę uroczyście obiecać, że nie narażę na niebezpieczeństwo życia męża, ani jego planów. Nie bój się, zaczekam na sposobność, którą uznam za najkorzystniejszą.

Brogard zeszedł ze strychu i Małgorzata udała się do bezpiecznej kryjówki.

— Nie śmiem pocałować cię w rękę, madame — rzekł sir Andrew — od chwili gdy jestem twoim lokajem, ale proszę cię, bądź dobrej myśli. Jeżeli nie spotkam się z Blakeneyem w przeciągu pół godziny, powrócę w nadziei, iż zastanę go tutaj.

— Tak, to będzie najlepiej. Możemy bezpiecznie poczekać pół godziny, gdyż Chauvelin rychlej się nie zjawi. Ufajmy Bogu, że jedno z nas zobaczy się z Percym, zanim Chauvelin nadejdzie. Życzę ci szczęścia przyjacielu i nie obawiaj się o mnie.

Wspięła się lekko po ostatnich stopniach spróchniałych schodów prowadzących na strych. Brogard nie zwracał już na nią najmniejszej uwagi, mogła zatem postępować zupełnie spokojnie. Sir Andrew pozostał w izbie, póki nie znikła w głębi kryjówki i nie usadowiła się na słomie. Gdy zasunęła podartą firankę, młodzieniec mógł zdać sobie sprawę, jak dobrze była ukryta, by wszystko widzieć i słyszeć, nie będąc widoczna dla nikogo. Gburowaty Brogard otrzymał zapłatę tak hojną, że nie miał najmniejszego interesu, aby ją zdradzić. Sir Andrew podszedł ku drzwiom i jeszcze raz obrócił się, by spojrzeć na strych.

Dostrzegł przez dziury firanki słodką twarzyczkę Małgorzaty i stwierdził z radością, że była spokojna, a nawet uśmiechnięta.

Skinał przyjaźnie głową na pożegnanie i znikł w nocnej ciemności.

ROZDZIAŁ XXIV.

Zasadzka.

Następny kwadrans minął spokojnie i cicho. W dolnej izbie Brogard posprzątał ze stołu i nakrył dla nowych gości. Małgorzata z takim zajęciem śledziła te przygotowania, że oczekiwanie wydało jej się mniej męczące. Była pewna, że przyrządzano wiecezrę dla Percy'ego i Brogard musiał odczuwać dla wysokiego Anglika pewne uszanowanie, gdyż zadawał sobie trudu, aby nakrycie przybrało wygląd mniej odrażający.

Wyjął ze starego kredensu coś, co na pierwsze wejście podobne było do obrusu, ale gdy nakrył stół tem czemś i zobaczył mnogie dziury i plamy, pokiwał bezradnie głową, starając się ukryć je o ile możliwości pod talerzami. Potem z szuflady wyciągnął serwetę równie starą i podartą, ale trochę czystsza i zaczął wycierać nią starannie szklanki, łyżki i talerze, stojące na stole.

Małgorzata nie mogła się wstrzymać od śmiechu na widok tych przygotowań, które Brogard uskutecznił przy wtórze przeróżnych przekleństw. Widocznie olbrzymi wzrost, bary Anglika, a może siła jego pięści zaimponowały wolnemu obywatelowi francuskiemu, gdyż inaczej nie byłby zadawał sobie tyle pracy dla takiego „sacré aristo“.

Gdy stół i nakrycie było gotowe, gospodarz objął owoc swego trudu wzrokiem zupełnie zadowolonym. Wytarł kurz z krzesła rąbkiem bluzy, zamieszał w rondlu, dorzucił trochę suchych gałęzi do ognia i wyszedł z izby.

Lady Blakeney pozostała sama ze swemi myślami. Rozciągnęła na słomie płaszcz podróżny i usiadła dość wygodnie, gdyż słoma była świeża i zaduch z dołu nie dochodził do strychu: I nagle uczuła się niemal szczęśliwą, gdyż przez podartą firankę mogła spoglądać na kulawe krzesło, poplamiony obrus, szklanke, talerz i łyżkę, które czekały na Percy'ego. Była szczęśliwa, że niedługo, bardzo niedługo mąż jej nadejdzie i że będą już razem.

To przeświadczenie tak było słodkie, że zamknęła oczy w upojeniu na myśl, że za parę minut zbiegnie ze schodów, stanie przed nim i powie mu, że z radością umarłaby za niego lub z nim, a on porwie ją w swe potężne ramiona i do serca przytuli. Co stanie się potem, nie była w stanie tego przewidzieć. Wiedziała, że sir Andrew miał rację twierdząc, że Percy wypełni wszystko, co postanowił, lecz ona mogła błagać go o ostrożność i przestrzec, że Chauvelin go ściga i tropi.

Wiedziała także, że czeka ją nowe rozstanie, gdy Percy wyruszy na niebezpieczną wyprawę i postanowiła posłusznie wypełnić rozkazy, choćby nawet wymagał, by oddaliła się i czekała na dalsze wypadki w nadludzkiej męce i niepewności. Ale i ta ostateczność wydawała jej się znośniejsza niż myśl, że Percy nie dowie się nigdy, jak bardzo go kochała.

Nagle czujny jej słuch uchwycił odgłos dalekich kroków. Serce jej wezbrało nadzieją. Czy to nareszcie Percy? Nie, krok ten nie był tak pewny jak jego chód... wreszcie zorientowała się, że to dwaj ludzie zbliżają się jednocześnie...

Ale nie miała czasu na dalsze domysły, gdyż w tej właśnie chwili rozległ się ostry rozkazujący głos i pchnięte gwałtownie drzwi, otworzyły się szeroko.

— Hej obywatelu Brogard! hola!

Małgorzata nie mogła zobaczyć wchodzących, gdyż przez dziurę firanki jedna tylko część pokoju była widoczna.

Słyszała wlokący się krok Brogarda, wychodzącego z sąsiedniej izby i jego zwykle przekleństwa, ale gospodarz gdy zobaczył nieznaną, zatrzymał się, obrzucił ich spojrzeniem pogardliwym, pogardliwszym nawet od tego, którym obrzucał poprzednich gości, i syknął: — Przeklęta sutanna!

Małgorzata uczuła, że serce jej zamiera z trwogi. Rozszerzone przerażeniem oczy utkwiała w jednym z przybyłych, który właśnie zbliżał się do Brogarda. Ubrany był w sutannę. Miał na głowie kapelusz o szerokich brzegach i trzewiki z klamerkami, zwykły strój księży francuskich. Lecz gdy stanął przed gospodarzem, rozpiął sutannę i odkrył na piersiach oficjalną trójkolorową szarfę. Pogardliwa postawa Brogarda zamieniła się w jednej chwili na służalczą uniżoność.

Przybycie francuskiego „księdza“ ścięło krew w żyłach Małgorzaty. Nie mogła dostrzec jego twa-

rzy, osłoniętej wielkim kapeluszem, ale poznała cienkie kościste ręce, lekko zgarbioną postać, słowem całą jego sylwetkę. Był to Chauvelin.

Groza położenia uderzyła w nią jak piorun. Straszne rozczarowanie, trwoga przed tem, co się za chwilę stanie, zmałyły jej myśli. Czyniła nadludzkie wysiłki, aby nie paść w omdlenie pod tym okropnym ciosem.

— Talerz zupy i butelkę wina! — rozkazał Chauvelin Brogardowi — a potem umykaj stąd, gdyż chcę być sam, rozumiesz?

Brogard milcząc wypełnił rozkaz, nie protestując tym razem żadnym pomrukiem. Chauvelin siadł do stołu na miejscu przygotowanem dla wysokiego Anglika, a gospodarz zakrzętnął się koło kolacji, nalewając zupę i wino. Towarzysz Chauvelina, którego Małgorzata widzieć nie mogła, czekał stojąc przy drzwiach.

Brogard na znak dyplomaty wyszedł śpiesznie z pokoju, a Chauvelin skinął ręką na owego drugiego mężczyznę.

Lady Blakeney poznała w nim Desgasa, sekretarza przybocznego Chauvelina, jego zaufanego powiernika, którego niegdyś często widywała w Paryżu. Desgas przeszedł przez pokój i przyłożył ucho do drzwi, za którymi znikł Brogard.

— Nie podsłuchuje? — zapytał krótko Chauvelin.

— Nie, obywatelu.

Małgorzata była przekonana, że Chauvelin rozkaże Desgasowi przeszukać mieszkanie. Nie śmiała

nawet pomyśleć, co się stanie, gdy ją odkryją. Na szczęście dyplomata z taką niecierpliwością oczekiwał rozmowy z Desgasem, że obawa przed szpiegami grała tu rolę podrzędną.

Skinął na sekretarza, aby się zbliżył.

— Angielski yacht? — zapytał.

— Straciliśmy go z oczu o zachodzie słońca, obywatelu — odrzekł Desgas. Jacht płynął wówczas na wschód ku przylądkowi Gris Nez.

— To dobrze. A teraz co powiedział kapitan Jutley?

— Zapewnił mnie, że wszystkie rozkazy, które nadesłałeś zeszłego tygodnia, zostały wypełnione. Drogi śledzone są dniem i nocą przez patrole, plaża i skały nadbrzeżne obszukane starannie i również ściśle strzeżone.

— Czy wie, gdzie znajduje się chata ojca Blancharda?

— Nie, obywatelu. Nikt nie może dać żadnych informacji o tej chacie. Jest tu mnóstwo chat rybackich wzdłuż wybrzeża, ale...

— Dobrze, już dobrze. A co przedsięwziął na noc dzisiejszą? — przerwał niecierpliwie Chauvelin.

— Drogi i plaża będą nadal pilnowane przez patrole, obywatelu, i kapitan Jutley czeka na dalsze rozkazy.

— W takim razie idź do niego zaraz. Powiedz mu, że ma wzmocnić patrole, a przede wszystkim te, które czuwają na wybrzeżu. Zrozumiałeś?

Chauvelin mówił prędko i zwięźle. Każde słowo brzmiało w sercu Małgorzaty jak dzwon pogrzebowy jej najdroższych nadziei.

— Ludzie — ciągnął dalej — muszą zwracać baczną uwagę na każdego nieznanego, przebywającego drogę pieszo, konno lub wozem, albo przekradającego się wzdłuż wybrzeża. Szczególniej nie przepuścić pewnego osobnika wysokiego wzrostu, którego wyglądu niema celu opisywać, bo będzie z pewnością w przebraniu; nie może jednak ukryć swej niezwykłej postaci. Czy rozumiesz?

— Rozumiem doskonale, obywatelu — odrzekł Desgas.

— Gdy tylko jeden z ludzi spostrzeże nieznanego, dwóch innych nie spuści go już z oka. Człowiek, który straci go z oczu, zapłaci życiem za swą lekkomyślność. Jeden z żołnierzy musi w tej chwili i co prędzej dać mi znać, gdy go spostrzeże. Zrozumiałeś?

— Wszystko jak najdokładniej obywatelu.

— Dobrze. Idź i rozmów się z Jutleyem. Postaraj się, aby posiłki zaraz wyruszyły w drogę; poproś kapitana o 6 ludzi i przyprowadź ich tutaj. Możesz być zpowrotem za 10 minut. Ruszaj.

Desgas zasalutował i zwrócił się ku drzwiom.

Przed oczyma strwożonej Małgorzaty, słuchającej rozkazów Chauvelina, stanął jasno cały plan pojmowania „Szkarłatnego Kwiatu“.

Chauvelin chciał, aby uchodźcy pozostali w złudnem bezpieczeństwie, czekając w kryjówce na przybycie Percy'ego. Wtedy miano schwycić na go-

racym uczynku odważnego spiskowca, gdy ratował monarchistów i zdrajców republiki. Dzięki temu choćby nawet jego pojmanie zaniepokoiło obce państwa, rząd angielski nie mógłby legalnie protestować. Ponieważ pojmany spiskował z nieprzyjaciółmi rządu francuskiego, zatem Francja miała prawo skazać go na śmierć.

Ucieczka była niemożliwością. Drogi obsadzono patrolami, sidła zastawiono umiejętnie i na wielką odległość, a powoli zacieśniano je, aby schwycić w nie Blakeny'a, którego teraz nie zdoła już wyratować nawet jego zdumiewająca pomysłowość.

Desgas już odchodził, gdy Chauvelin odwołał go raz jeszcze.

Małgorzata zastanawiała się, jaki nowy szatański plan powstał teraz w jego głowie, żeby zgubić szlachetnego obrońcę, tak samotnego wobec całej bandy opryszków. Spojrzała na swego nieprzyjaciela, gdy zwrócił się w stronę Desgasa. Błada jego twarz rysowała się wyraźnie z pod księżego szerokiego kapelusza i było w niej tyle śmiertelnej nienawiści i szatańskiego okrucieństwa, że ostatnia nadzieja zgasła w sercu Małgorzaty.

Zrozumiała, że od tego człowieka nie mogła spodziewać się litości.

— Zapomniałem dodać — rzekł Chauvelin z ohydny chichotem, zacierając kościste ręce podobne do szponów drapieżnego ptaka — że wysoki osobnik będzie się z pewnością bronił, lecz pod żadnym warunkiem nie wolno do niego strzelić, chyba w ostateczności. Pamiętaj o tem. Chcę pojmać go żywego

o ile się da. — Zaśmiał się śmiechem szatanów, na widok mąk potępieńców, które opisał Dante.

Małgorzata miała wrażenie, że przechodzi wszystkie tortury, jakie ludzkie serce znieść było w stanie, i gdy Desgas opuścił gospodę, a ona została sama w tej pustej wstrętnej izbie, w towarzystwie zaciętego wroga, poprzednie jej męki wydały się teraz igraszką. A Chauvelin chichotał i zacierał wciąż ręce, ciesząc się zgóry swym triumfem. Uplanował wszystko tak genialnie, że nie było najmniejszej obawy zawodu, ani możliwości uciezki dla najzuchwalszego, najbardziej pomysłowego człowieka. Każda droga została obsadzona strażą, każdy kąt przeszukany, a tam w odległej, opuszczonej chacie nadbrzeżnej mała garstka skazańców czekała niecierpliwie na zbawcę, który śmiercią przepłaci swe bohaterstwo. Śmiercią? stokroć więcej niż śmiercią! Ów wróg w szatach świątobliwego męża, szatan w ludzkim ciele, nie pozwoli nieustraszonemu bohaterowi umrzeć nagłą, prędką śmiercią żołnierza na posterunku.

Przedewszystkiem Chauvelin pragnął dostać w swe ręce nieprzyjaciela, który oddawna już mu urągał, chciał go widzieć bezbronno, poniżonego, chciał nacieszyć się jego upadkiem i zadać mu wszystkie męki moralne, jakie wymyślić może najdziksza nienawiść.

Małgorzata gorąco zapragnęła zginąć u boku męża i wierzyła, że znajdzie się chwila, choćby najkrótsza, w której zdoła mu wyznać, że jej miłość prawdziwa i gorąca należy jedynie do niego.

Chauvelin usiadł przy stole, zdjął kapelusz, i Małgorzata ujrzała jego cienki profil o śpiczastej brodzie, przychyłony nad marną strawą.

Tchnął zadowoleniem i czekał na dalsze wypadki z wielkim spokojem, spożywając ze smakiem kolację, podaną mu przez Brogarda.

Nagle usłyszała dźwięk, który przeszył jej serce bezgranicznym lękiem. Był to wesoły, młody głos, śpiewający z uniesieniem „God save the King!”

ROZDZIAŁ XXV.

Orzeł i lis.

Przez chwilę Małgorzata straciła świadomość tego co się dzieje. Słyszała jedynie ów śpiew złowróżbny. Poznała głos męża. Chauvelin usłyszał go również, gdyż rzucił okiem na drzwi, a potem nasunął śpiesznie kapelusz na oczy. Głos stawał się coraz wyraźniejszy, a Małgorzata musiała stoczyć ze sobą okropną walkę, aby nie podbiec do nadchodzącego i nie ostrzec go, nim będzie za późno. Opanowała się w ostatniej chwili, wiedząc, że Chauvelin zatrzymałby ją na pewno, nim zdołałaby dosięgnąć drzwi. Była także niemal pewna, że dom otaczali żołnierze, gotowi na każde zawołanie. Ten czyn szalony mógłby tylko przyspieszyć śmierć człowieka, którego za cenę własnego życia chciała uratować.

„Long to reign over us
God save the King!“

śpiewał coraz radośniej. Wtem się otworzyły drzwi i zapanowało głucho milczenie.

Małgorzata, nie mogąc dojrzeć drzwi wchodowych, wstrzymywała oddech i czekała.

Percy Blakeney spostrzegł oczywiście księdza siedzącego przy stole. Zawahał się przez kilka se-

kund, a potem wszedł do pokoju i zawołał donośnym, swobodnym głosem:

— Hejże tam! Czy niema nikogo? Gdzie podział się ten głupi Brogard?

Miał na sobie wspaniałą płaszcz i owo ubranie do jazdy konnej, które nosił na sobie, gdy wyjeżdżał z Richmond. Jak zwykle strój jego leżał bez zarzutu. Piękne brabanckie koronki przy szyi i rękach odznaczały się niepokalaną świeżością, dłonie miał białe, jasne włosy starannie przyczesane, a w oku jego lśnił monokl, nadając mu ton jak zawsze nieco afektowany.

Sir Percy Blakeney wyglądał raczej w tej chwili na zaproszonego gościa, będącego w drodze na „garden party“ u księcia Walji, niż na szaleńca, wpadającego w zasadzkę z zimną krwią i z całą świadomością grozy sytuacji.

Staął na środku izby. Małgorzata sparaliżowana trwogą była pewna, iż lada chwila Chauvelin krzyknie i cały zajazd zapełni się w okamgnieniu żołnierzami, a wówczas ona rzuci się na pomoc mężowi i oboje drogo okupią śmierć. Ale czas mijał i nic nie zakłócało ciszy panującej w izbie.

Małgorzata walczyła w duchu zaciekle, aby nie krzyknąć, widząc jak Percy mało świadomy jest grożącego mu niebezpieczeństwa.

„Uchodź Percy, wszak to twój najzaciętszy wróg! uciekaj nim będzie za późno!“

Ale nie zdążyła krzyknąć, gdyż w tej właśnie chwili Blakeney spokojnie zbliżył się do stołu i do-

brodusznie klepiąc księdza po plecach, rzekł zwykłym afektowanym i leniwym głosem:

— Słowo daję, że to dziwny traf, Monsieur Chauvelin. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że cię tu spotkam.

Chauvelin, który właśnie podnosił do ust łyżkę zupy, zachłysnął się gwałtownie. Jego drobna zmięta twarz zaczerwieniła się jak burak, pod wpływem nagłego kaszlu, co dopomogło chytremu przedstawicielowi rządu francuskiego ukryć nieco zdumienie, graniczące z osłupieniem. Najwidoczniej nie spodziewał się takiej bezczelności ze strony przeciwnika i mowę stracił wobec podobnego zuchwalstwa.

Przerażenie dyplomaty zdradzał fakt, że nie pomyślał o otoczeniu gospody żołnierzami, czego Blakeney domyślił się i bez wątpienia jego szybko orientujący się umysł tworzył już plany wyzyskania tego nieprzewidzianego spotkania.

Małgorzata nawet nie drgnęła w kryjówce. Przymusowała sir Andrew, że nie przemówi do męża wobec świadków i miała dość panowania nad sobą, aby nie przeszkadzać sir Percy'emu w wykonywaniu planów. Czowała jednak, jak okropną męką była ta przymusowa bezczynność w obliczu tych dwóch ludzi. Słyszała rozkazy Chauvelina, aby strzeżono drogi, i wiedziała doskonale, że gdyby jej mąż opuścił teraz gospodę pod „Burym Kotem“, nie doszedłby daleko. Byłby w tej chwili schwytywany przez jednego z patrolujących ludzi kapitana Jutley'a, gdyby zaś

pozostał w oberży, to po nadejściu Desgasa z żołnierzami czekałby go taki sam los.

Pułapka miała lada chwila zatrzaskać się, a ona nie mogła czynić nic innego, jak gubić się w domysłach i czekać.

Ci widziani z góry dwaj ludzie tworzyli dziwny kontrast, lecz z nich dwóch tylko Chauvelin zdradzał pewien niepokój. Małgorzata знаła go dostatecznie, aby zgadnąć co działo się w jego duszy. Nie lękał się o swe życie, choć znajdował się sam w odległej gospodzie, z człowiekiem olbrzymiej siły, którego zuchwalstwo i odwaga przewyższały wszelkie pojęcie. Był gotów stawić czoło niebezpieczeństwu dla sprawy tak bardzo mu drogiej, ale mógł obawiać się, by zuchwały Anglik zabijając go, nie ułatwił sobie ucieczki. Jego podwładni nie potrafiliby może pojąć tak łatwo „Szkarłatnego Kwiatu“, w razie gdyby zabrakło im kierownictwa przywódcy, który czerpał podniecie w śmiertelnej nienawiści.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa przedstawiciel francuskiego rządu nie potrzebował narażać niczego się obawiać, gdyż Blakeney śmiejąc się dobrodusznie jak zwykle, poklepał go znów po plecach z największym spokojem.

— Jestem w prawdziwej rozpaczycy — mówił wesoło — naprawdę w prawdziwej rozpaczycy, gdyż mi się zdaje, że ci przeszkodziłem w spożywaniu zupy. Ach, to podła strawa ta zupa! Wyobraź sobie, że pewien mój przyjaciel, umarł nagle zaduszony — jak ty — łyżką zupy.

Mówiąc to, uśmiechał się uprzejmie i nieśmiało, patrząc zgóry na Chauvelina.

— Słowo daję — ciągnął dalej, gdy ten przyszedł cokolwiek do siebie — czy nie uważasz, że ta gospoda to straszna nora? Czy pozwolisz? — dodał siadając na krzesło tuż koło stołu i przybliżając sobie wazę zupy. — Ten głupi Brogard pewnie śpi, lub coś w tym rodzaju.

Na stole leżał drugi talerz i sir Percy spokojnie napełnił go zupą i nalał wina do szklanki.

Małgorzata płonęła ciekawością, jak postąpi Chauvelin. Przebranie tak go zmieniało, że może miał zamiar udawać nadal, że jest księdzem, ale dyplomata był zbyt przebiegły, by rozpocząć grę tak niepewną.

Wyciągnął rękę i rzekł uprzejmie:

— Sir Percy, jestem zaszczycony tem spotkaniem. Musisz mi wybaczyć, ale sądziłem, że przebywasz z drugiej strony kanału... ta niespodzianka tak mnie zaskoczyła...

— Ależ oczywiście — rzekł sir Percy z nieznanym spokojem — oczywiście..., Monsieur... jak? Chaubertin? czy tak?

— Przepraszam bardzo — Chauvelin.

— Ach wybac! stokrotnie cię przepraszam! Naturalnie, Chauvelin... nigdy nie mogę spamiętać obcych nazwisk...

Jadł wolno zupę, śmiejąc się od czasu do czasu wesoło, zupełnie jakgdyby był przyjechał do Calais jedynie poto, by spożywać kolację w tej wstrętnej gospodzie w towarzystwie zaciętego wroga.

Małgorzata nie mogła zrozumieć, czemu Percy nie skręca karku Francuzikowi. Z pewnością podobna myśl musiała zrodzić się w jego głowie, gdyż niekiedy senne oczy jego błyszcząły złowrogim blaskiem, pośpiesznie spoglądając na drobną postać Chauvelina.

Tymczasem Francuzik odzyskał zimną krew i jadł spokojnie zupę.

Lecz przebiegły spiskowiec, który wprowadzał w czyn tyle śmiałych wypraw, patrzył zbyt trzeźwo na sytuację, aby narazić się na niepotrzebne niebezpieczeństwa. Gospoda mogła być przepelniona szpiegami, a Brogard przekupiony przez Chauvelina. Jedno zawołanie dyplomaty wystarczało, aby sprowadzić 20 żołnierzy, którzy rzucą się na Blakeneya i skrepują go, zanim uratuje lub przynajmniej przestrzeże uchodźców. Tego nie mógł ryzykować. Musiał dostać się do zbiegów francuskich, gdyż dał im na to słowo dżentelmena.

Jedząc i żartując równocześnie, rozmyślał i organizował nowy plan, gdy tymczasem biedna i niepokojna Małgorzata dręczyła się pytaniem w ciasnej kryjówce, co powinna była uczynić. Przeżywała najcięższe walki.

— Nie wiedziałem — odezwał się znów spokojnie Blakeney — że... że wstąpiłeś do stanu duchownego.

— Ja? Hm — jąkał się Chauvelin.

Dobroduszne zuchwalstwo Blakeneya wyprowadziło go znów z równowagi.

— Byłbym cię jednak poznał wszędzie — ciągnął spokojnie sir Percy, nalewając sobie drugą szklankę wina — choć szerokie rondo kapelusza zmieniło cię nieco.

— Istotnie?

— Naturalnie monsieur Chauvelin. Mam jednak nadzieję, że nie uraziłem cię tą uwagą. Czy nie masz do mnie pretensji?

— Ależ nie, bynajmniej. Mam nadzieję, że lady Blakeney czuje się dobrze — dodał żywo Chauvelin, zmieniając tok rozmowy.

Percy zjadł zupę, wypił szklankę wina i Małgorzata miała wrażenie, że obrzucił izbę przelotnym spojrzeniem.

— Dobrze, dziękuję — odrzekł wkońcu bardzo zimno.

Zapadło milczenie. Teraz Małgorzata swobodnie mogła obserwować tych dwóch wrogów, mierzących badawczo swe siły.

Widziała męża niemal wyraźnie, gdyż siedział przy stole najdalej o 10 kroków od miejsca, w którym była ukryta, kuląc się w kryjówce. Opanowała już chęć szaloną, by pokazać się mężowi. Człowiek, który tak przepysznie umiał odgrywać swą rolę, jak to czynił Percy w tej właśnie chwili, nie potrzebował pomocy kobiety.

Małgorzata ze wzruszeniem, właściwem kochającej kobiecie, wpatrywała się przez podartą firankę w przepiękną twarz męża i odgadywała w jego niebieskich — pozornie sennyh — oczach i w do-

brodusznym uśmiechu tę niepospolitą siłę, energię i pomysłowość, które uczyniły go bohaterem i otoczyły tak wielką czcią i bezgranicznem zaufaniem towarzyszy. „19 jest nas gotowych każdej chwili oddać życie za twego męża lady Blakeney“ powiedział jej sir Andrew.

Patrząc na to czoło niskie i szerokie, na te głębokie niebieskie oczy i całą jego postać, zdradzającą nieugiętą i żelazną energię, pomimo mistrzowsko granej komedji, jego nadludzka siłę woli i genialną inicjatywę, zrozumiała czar, jaki wywierał na towarzyszy. Czar ten podbił przecież ją samą, zapanaował niepodzielnie nad jej sercem i wyobraźnią...

Chauvelin starając się ukryć zniecierpliwienie, pod pozorami zwykłej grzeczności, spozbrał ukradkiem na zegarek w nadziei, że Desgas nadejdzie każdej chwili i zuchwały Anglik znajdzie się pod strażą zaufanych żołnierzy kapitana Jutley'a.

— Czy jesteś w drodze do Paryża, sir Percy — zapytał niedbale.

— Bynajmniej — odrzekł śmiejąc się Blakeney. — Nie jadę dalej jak do Lille. Paryż narazie jest nieprzyjemnem miastem. Czyż nie mam racji, monsieur Chaubertin? Przepraszam, Chauvelin.

— Może Paryż jest niemiły, ale nie dla angielskiego dżentelmena, jakim jesteś ty, sir Percy — odparł sarkastycznie dyplomata — dla dżentelmena, który nie miesza się zupełnie do walk tam się rozgrywających.

— A więc widzisz sam, że nie mam tam nic do czynienia, a nasz przeklęty rząd stanął całkowicie

po waszej stronie. Ale widzę, że ci pilno sir — dodał, widząc, że Chauvelin wyjął znów zegarek. — Masz może jaką schadzkę? nie krępuj się więc mną. Mam jeszcze dużo czasu.

Wstał od stołu i przysunął krzesło do kominka i znów Małgorzata zawahała się, czy nie przestrzec go, gdyż czas mijał i Desgas mógł nadejść niebawem, o czym Percy nie wiedział.

— Nie śpieszę się nigdzie — ciągnął Percy wesoło — lecz nie uśmiecha mi się pozostanie w tej przeklętej norze. Zaręczam ci, sir — zaśmiał się, gdy Chauvelin po raz trzeci spojrzał na godzinę — że twój zegarek nie będzie szedł prędeej, dlatego że ciągle na niego spoglądasz. Czekasz prawdopodobnie na przyjaciela?

— Tak na przyjaciela.

— Mam nadzieję, że nie na damę, monsieur l'abbé — rzekł Blakeney — gdyż Kościół na pewno na takie schadzki nie pozwala. Zbliź się do ognia, monsieur Chauvelin, czy nie czujesz zimna?

Obcasem kopnął rozpalone kłody, które rozprysły się tysiącem iskier. Rzeczywiście nie śpieszył się wcale i nie przewidywał grożącego mu niebezpieczeństwa. Przysunął drugie krzesło do pieca, i Chauvelin, którego niepokój ogarniał coraz widoczniej, usiadł koło ognia w ten sposób, aby widzieć drzwi wchodowe. Desgas wyszedł przed kwadrantsem. Małgorzata nie wątpiła, że gdy tylko powróci, Chauvelin zaniecha wszelkich dalszych planów,

tyczących się pojmania uchodźców, i uwięzi natychmiast jej męża.

— Hej, monsieur Chauvelin! — odezwał się znów Blakeney — czy twoja przyjaciółka jest ładna? Te Francuzeczki bywają niekiedy djabelnie ładne. Ale pytanie moje zbyt — dodał, oparłszy się nie dbale o stół — gdyż w tych kwestjach Kościół nie powinien mieć zdania. Nieprawdaż?

Ale Chauvelin nie słuchał go. Całą uwagę skupił na drzwiach, w których Desgas miał się ukazać lada chwila. Małgorzata również nie spuszczała wzroku z drzwi, gdyż usłyszała nagle wśród nocnej ciszy odgłos licznych i miarowych kroków.

Był to Desgas i jego ludzie. Za trzy minuty tu będą. Za trzy minuty stanie się rzecz okropna: szlachetny orzeł wpadnie w sidła na wróble! Byłaby krzyczała i biegła ku niemu, ale nie miała odwagi. Patrzyła tylko na męża i śledziła każde jego poruszenie, gdy kroki żołnierzy stawały się coraz wyraźniejsze. Stał ciągle przy stole obrócony plecami do Chauvelina i mówił dalej zwykłym afektowanym tonem. Dostrzegła jednak, że wyjął z kieszeni tabakierkę i zwinnym ruchem wysypał do niej zawartość stojącej na stole miseczki z pieprzem. Następnie zwrócił się znów do Chauvelina i zapytał z niewinnym uśmiechem:

— O czym to mówiłeś, sir?

Chauvelin zbyt pilnie wsłuchany w zbliżające się kroki, nie zauważył, co robi jego przebiegły przeciwnik, i z wysiłkiem starał się ukryć radość ze spodziewanego triumfu.

— O niczem — odrzekł przytomnie. — Nie mówiłem nic. A ty, sir Percy, co chciałeś powiedzieć?

— Mówiłem — rzekł Blakeney, zbliżając się do Chauvelina — że żyd w Piccadilly sprzedał mi najlepszą tabakę, jaką kiedykolwiek widziałem. Czy zrobisz mi ten zaszczyt, aby spróbować, mój księżulku?

Stał tuż koło Chauvelina z dobrodusznym uśmiechem, podając mu tabakierkę. Francuz zaś wsłuchując się w szybko zbliżające się kroki i spoglądając wciąż ku drzwiom, nie podejrzewał żadnej zasadzki ze strony przebiegłego Anglika. Niewinny wygląd przeciwnika uspił wszystkie jego podejrzenia i z zaufaniem przyjął szczyptę tabaki.

Tylko ten, któremu przypadkiem zdarzyło się zażyć dawkę pieprzu, może mieć pojęcie o okropnych skutkach takiej fatalnej pomyłki. Chauvelinowi zdawało się, iż pieprz głowę mu rozsadzi. Kichał ustawicznie, nie mogąc tchu złapać. Przez chwilę był ślepy, głuchy, nieprzytomny, a tymczasem Blakeney spokojnie, bez najmniejszego pośpiechu włożył kapelusz, wyciągnął z kieszeni pieniądze, zostawił na stole i swobodnie wyszedł z gospody.

ROZDZIAŁ XXVI.

Żyd.

Małgorzata ochłonawszy ze zdumienia, starała się uporządkować rozpieczętę myśli. Ten ostatni, nieoczekiwany epizod nie trwał dłużej niż parę minut, a Desgas z żołnierzami znajdował się już o kilka kroków od gospody pod „Burym Kotem“.

Gdy zrozumiała nareszcie, co zaszło, ogarnęło ją gwałtowne uczucie radości i podziwu. Wszystko było tak proste, a takie genialne. Chauvelin znajdował się wciąż w tym samym opłakanym stanie, stokroć gorszym, niż po najsilniejszym nawet uderzeniu pięścią, gdyż nie był w stanie ani widzieć, ani słyszeć, ani przemówić, a tymczasem Szkarłatny Kwiat wymykał się z jego sidła. Blakeney uszedł, na pewno z intencją połączenia się ze zbiegami, ukrywającymi się w chacie ojca Blancharda. Coprawda narazie Chauvelin był ubezwładniony i Szkarłatny Kwiat wyślizgnął się z rąk Desgasa, ale przecie całe wybrzeże było strzeżone, każdy kąt obszukany i każdy nieznajomy śledzony. Dokąd mógł się udać Percy, ubrany w tak bogate szaty i jak mógł nadal uniknąć schwytania?

Wyrzucała sobie teraz gorzko, że nie zeszła ze schodów i nie dała mu dowodu swej trwogi o niego

i gorącej miłości, nie przestrzegając go o czyhającym na niego niebezpieczeństwie. Śmiertelnym lękiem przejęła ją myśl, że Percy nie wiedział o rozkazach wydanych przez Chauvelina, tyczących się jego pojmania. Ale zanim te okropne przypuszczenia skryształizowały się w jej umyśle, usłyszała tuż koło drzwi szcęk broni i silny głos Desgasa, który rozkazywał żołnierzom: „Stój!”

Chauvelin powracał z wolna do przytomności. Nie kichał już tak gwałtownie i chwając się, powstał z krzesła. Starał się dojść do drzwi, gdy Desgas zapukał.

Chauvelin otworzył mu śpiesznie i zanim sekretarz zdążył wymówić słowo, zapytał między dwoma kichnięciami:

— Wysokiego wzrostu nieznajomy... Odpowiadaj prędko, czy który z was go widział?

— Gdzie obywatelu? — odrzekł zdziwiony Desgas.

— Tu człowieku! Wyszedł przez te drzwi, najwyżej przed pięcioma minutami.

— Nikogo nie widzieliśmy, obywatelu. Księżyc jeszcze nie ukazał się i...

— A ty spóźniłeś się o pięć minut! — przerwał dyplomata z ukrytą wściekłością.

— Obywatelu, ja...

— Spełniłeś mój rozkaz, wiem o tem — przerwał zniecierpliwiony Chauvelin — ale bardzo długo musiałem na ciebie czekać. Mam nadzieję, że wszystko jeszcze da się naprawić, inaczej źle będzie z tobą, obywatelu Desgas...

Desgas zbladł. Tyle było nienawiści i złości w obliczu przełożonego...

— Wysokiego wzrostu nieznajomy, obywatelu? — wyjąkał.

— Był w tym pokoju przed pięciu minutami i jadł tu kolację. Bezczelność przechodząca wszelkie granice!... oczywiście sam nie mogłem go schwytać. Brogard jest za głupi, a ten przeklęty Anglik ma zdaje się siłę byka. Uciekł ci przed samym nosem...

— Przecież nie może iść daleko, wszędzie go zobaczą!...

— Oby tak było.

— Kapitan Jutley posłał 40 ludzi na pomoc patrolom, z których 20 zeszło na plażę. Zapewnił mnie, że cały dzień pełnią służbę pilnie i sumiennie i żaden nieznajomy nie jest w stanie dojść do wybrzeża i wsiąść na okręt.

— To dobrze. Czy żołnierze dostali ściśle instrukcje?

— Otrzymali bardzo jasne rozkazy, obywatelu, i sam z nimi mówiłem. Mają iść krok w krok, o ile możliwości niewidziani, za każdym nieznajomym, którego spostrzegliby, szczególnie gdyby odznaczał się wysokim wzrostem.

— Pod żadnym warunkiem nie można takiego osobnika aresztować — rzekł żywo Chauvelin. — Ten bezwstydnny „Szkarłatny Kwiat“ umknąłby w chwili uwięzienia go. Musimy pozwolić mu dotrzeć do chaty Blancharda, a wtedy dopiero otoczyć go i pojmać.

— Żołnierze doskonale zrozumieli ten rozkaz, obywatelu. Gdy tylko spostrzegą wysokiego nieznanego, jeden ze straży musi w tej chwili przybiec do ciebie, by ci o tem oznajmić.

— Dobrze, bardzo dobrze — rzekł Chauvelin, zacierając ręce z zadowoleniem.

— Mam jeszcze jedną wiadomość dla ciebie, obywatelu.

— Mów.

— Pewien wysoki Anglik miał długą rozmowę, trwającą może trzy kwadransy z żydem, zwanym Ruben, który mieszka tuż koło gospody.

— Tak? I co dalej? — zapytał niecierpliwie Chauvelin.

— Chodziło o konia i bryczkę, które Anglik chciał wynająć na godzinę jedenastą.

— Już jest po jedenastej. A gdzie mieszka ten Ruben?

— O parę kroków stąd.

— Poślij żołnierza, aby zapytał, czy niezajomy wyjechał wózką Rubena.

— Dobrze, obywatelu.

Desgas wyszedł, aby wydać żołnierzowi rozkazy. Ani jedno słowo z rozmowy nie uszło uwagi Małgorzaty, miotanej złowrogiem przecuciem. Rozpoczęła podróż z taką płomienną nadzieją i niezachwianą wolą, by pomóc mężowi, a dotąd nie uczyniła nic, zmuszona patrzeć bezradnie, jak zacieśniają się sidła, w które musi wpaść bohaterски Szkarłatny Kwiat.

Wszędzie ściagały go zdradzieckie oczy szpiegów, a jej własna bezradność przygniatała ją. Zrozumiała, że nie było najmniejszego prawdopodobieństwa, aby mogła mu w czemkolwiek przyjść z pomocą i jedyną jej nadzieją stała się myśl, by móc podzielić jego los, choćby najgorszy.

Narazie nie ośmielała się nawet ufać, że ujrzy jeszcze człowieka, którego tak kochała, ale pragnęła za wszelką cenę wiedzieć, co czyni Chauvelin, licząc, iż póki nie straci szpiega z oczu, los Percy'ego nie będzie jeszcze całkowicie rozstrzygnięty.

Desgas pozostawił zwierzchnika w zajeździe, a sam czekał przed gospodą na powrót posłańca, którego wysłał po Rubena.

Upłynęło kilka minut. Chauvelin chodził niecierpliwie po izbie, dręczony niepokojem. W tej chwili nie ufał już nikomu. Nowy figiel spleatany przez zuchwałego Anglika zachwiał jego przeświadczeniem o pewnym zwycięstwie, o ile sam nie dopilnuje osobiście wyprawy.

Po 5 minutach wrócił Desgas, prowadząc za sobą starszego żyda, ubranego w brudny zniszczony chałat, z poplamionymi tłuszczem rękawami. Rude jego włosy zaczesane na sposób polskich żydów, przyprószone już były siwizną i zwieszały się w długich pejsach wzdłuż twarzy, okrytej warstwą brudu, nadając mu wygląd wprost odrażający. Szedł zgięty wpół, z tą pozorną pokorą jego rodaków, zdobytą w ciągu stuleci, przed zwycięstwem równości i wolności wyznań, i włókł za sobą nogi, jak to czynią zwykle na kontynencie Europy kupcy żydowscy.

Chauvelin, który jak każdy Francuz dzielił uprzedzenie rasowe do tej pogardzonej narodowości, skinął na żyda, by się zbytecznie nie zbliżał. Trzej mężczyźni stali pod samą lampą oliwną, zwieszającą się od powały, tak że Małgorzata mogła widzieć wyraźnie każdego z nich.

— Czy to ten człowiek, o którym była mowa?
— zapytał Chauvelin.

— Nie, obywatelu — rzekł Desgas. — Nie mogliśmy znaleźć Rubena, musiał z pewnością wyjechać z Anglikiem, ale ten człowiek może nam podobno dać pewne wskazówki, których gotów nam udzielić za wynagrodzeniem.

— Ach, tak — odrzekł Chauvelin, odwracając się z obrzydzeniem od wstrętnego okazu ludzkiego, stojącego przed nim.

Żyd stał na boku z pokorną cierpliwością, oparty na sękatym kijku i czekał, aż jego ekscelencja raczy mu zadać pytanie. Zatluszczony kapelusz rzucał głęboki cień na jego twarz.

— Ów obywatel twierdzi, że możesz udzielić mi pewnych wiadomości o moim przyjacielu, Angliku, z którym pragnę się spotkać — rzekł Chauvelin rozkazująco — morbleu! nie zbliżaj się człowieku! — dodał śpiesznie, gdy żyd uczynił krok ku niemu.

— Tak, wasza ekscelencjo — odrzekł żyd z tą dziwną wymową, ujawniającą wschodnie pochodzenie. — Ja i Ruben Goldstein spotkaliśmy dziś wieczór wysokiego Anglika na drodze niedaleko stąd.

— Czy z nim mówiłeś?

— Zwrócił się do nas, wasza ekscelencjo, gdyż chciał najać konia i bryczkę, aby pojechać szosą Saint Martin do pewnej miejscowości jeszcze tej nocy.

— Cóżes odpowiedział?

— Nic nie odpowiedziałem — rzekł żyd nienawistnie; — Ruben Goldstein — ten podły zdrajca, ten syn Belzebuba...

— Nic mnie te szczegóły nie interesują! — prze-rwał dyplomata szorstko — do rzeczy!

— Wyprzedził mnie, wasza ekscelencjo, i w chwili gdy miałem ofiarować bogatemu Anglikowi swego konia i bryczkę, aby zawieźć go gdzie chciał, Ruben już wynajął mu swą zagłodzoną szkapę i rozbity wózek.

— I co zrobił Anglik?

— Usłuchał Rubena Goldsteina, wasza ekscelencjo! Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął całą garść złota, którą pokazał temu potomkowi Belzebuba, mówiąc mu, iż to wszystko będzie należeć do niego, jeżeli stawi się z koniem i bryczką na godzinę jedenaścą.

— I naturalnie koń i wózek były na czas gotowe?

— Tak, były gotowe, jeżeli to tak można nazwać. Szkapę Rubena kulała jak zawsze i nie chciała z początku ruszyć z miejsca. Dopiero pod gradem razów puściła się w drogę — dodał żyd, śmiejąc się szyderczo.

— A więc wyjechali?

— Tak, wyjechali przed pięciu minutami. Głupota tego cudzoziemca wzbudziła we mnie litość. Taki Anglik nie spostrzegł, że szkapa była niezdatną do jazdy!

— Ależ on nie miał wyboru?

— Nie miał wyboru! Wasza ekscelencjo! — zaprotestował żyd ochryplym głosem — czyż nie powtarzałem mu kilkakrotnie, że mój koń i wózek zawiozą go o wiele pewniej i prędzej, niż zagłodzona szkapa Rubena? Nie chciał słuchać. Ruben jest takim kłamcą, że umie przekonać każdego i oszukał nieznanomego. Jeżeli Anglik się śpieszył, byłby dużo lepiej wyszedł, biorąc mój wózek.

— To i ty masz konia i bryczkę? — zapytał Chauvelin.

— Naturalnie, że mam, wasza ekscelencjo, i jeżeli wasza ekscelencja chce pojechać...

— Czy wiesz przypadkiem, jaką drogą pojechał mój przyjaciel wózkiem Rubena Goldsteina?

Żyd w zadumie drapał brudny podbródek. Serce Małgorzaty biło tak gwałtownie, jakgdyby lada chwila miało pęknąć. Usłyszała zapytanie i patrzyła z lękiem na żyda, choć nie mogła dojrzeć jego twarzy z pod szerokiego kapelusza. Czuła jednakże instynktownie, że żyd trzyma los jej męża w swoich chudych, brudnych rękach.

Zapadło przykre milczenie. Dyplomata patrzył groźnie na zgiętą postać stojącą przed nim i wreszcie żyd położył rękę na piersi i z wolna wyciągnął z przepasanej kieszeni całą garść srebrnej monety.

Popatrzył wahająco na pieniądze, a potem rzekł spokojnie:

— Oto, co mi dał wysoki Anglik, gdy wyjeżdżał z Rubenem, abym trzymał język za zębami.

Chauvelin wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Ile masz tych pieniędzy?

— Dwadzieścia franków, wasza ekscelencjo. Byłem całe życie uczciwym człowiekiem.

Chauvelin bez dalszych komentarzy wyjął z sakiewki parę sztuk złota i położywszy je na dłoni, zadzwonił nimi znacząco w stronę żyda.

— Ile tu jest sztuk złota? — zapytał.

Widocznie nie miał zamiaru teroryzować żyda, lecz przekupić go dla swych własnych planów, gdyż głos jego był spokojny i łagodny. Grożąc gilotyną lub posługując się innymi sposobami tego rodzaju, byłby może zbyt przeraził tego starca i sądził, że korzystniej będzie pozyskać go pieniędzmi, niż straszyc karami.

Oczy żyda rzuciły krótkie, chciwe wejrzenie na złoto, spoczywające w ręce dyplomaty.

— Przynajmniej pięć sztuk złota, jeżeli się nie mylę, wasza ekscelencjo — odrzekł cicho.

— Czy to wystarczy, aby rozwiązać twój uczciwy język?

— A co wasza ekscelencja pragnie wiedzieć?

— Czy twój koń i wózek mogą zawieźć mnie tam, gdzie pojechał mój przyjaciel wysoki cudzoziemiec.

— Mój koń i wózek zabrać cię mogą, gdzie chcesz wasza wysokość.

— Do miejscowości zwanej „Chata Blancharda“.
 — Zgadła wasza wysokość! — zawołał zdumiony żyd.

— Czy znasz to miejsce?

— Znam wasza wysokość.

— Którędy się tam jedzie?

— Szosą Saint Martin, wasza wysokość, a potem ścieżką ku skałom nadbrzeżnym.

— Czy znasz dobrze drogę?

— Każdy kamień, każdą trawkę wasza wysokość — odparł spokojnie żyd.

Chauvelin umilkł i rzucił żydowi 5 sztuk złota. Ten ukląkł i zaczął je zbierać na czworakach. Jedna moneta zatoczyła się daleko i z trudnością ją odnalazł, gdyż zatrzymała się dopiero pod kredensem. Dyplomata czekał spokojnie, aż stary żyd odnajdzie wszystkie pieniądze.

Gdy starzec skończył poszukiwania, Chauvelin zapytał:

— Kiedy koń i bryczka mogą być gotowe do drogi?

— Już są gotowe.

— Gdzie?

— Stąd o parę kroków. Czy wasza ekscelencja raczy spojrzeć?

— To zbyteczne. Jak daleko możesz mnie zawieźć?

— Aż do chaty Blancharda, wasza wysokość, i dalej, niż szkapa Rubena dowlokła twego przyjaciela. Jestem pewien, że po niespełna dwóch milach

spotkamy tego przekłętego Rubena, jego szkapę, wózek i wysokiego cudzoziemca.

— W jakiej odległości znajduje się pierwsza wieś, przez którą przejedziemy?

— Miquelon jest najbliższą wsią położoną stąd o dwie mile.

— Mógł przecież znaleźć tam przepręg, jeżeli chciał dalej jechać?

— Oczywiście że mógł, jeżeli wogóle dojechał tak daleko.

— A więc?

— Czy raczej wasza ekscelencja pojechać? — zapytał żyd.

— Tak. Mam zamiar pojechać — odparł spokojnie Chauvelin. — Ale pamiętaj, że jeżeli mnie oszukasz, każę dwom żołnierzom sprawić ci takie lanie, że aż dusza wyjdzie z twego wstrętnego ciała na zawsze. Jeżeli jednak odnajdę swego przyjaciela, tego wysokiego Anglika albo na drodze, albo w chacie Blancharda, to dostaniesz jeszcze dziesięć sztuk złota. Czy przyjmujesz te warunki?

Żyd zastanowił się chwilę i podrapał się znów w podbródek. Spojrzał na pieniądze, na surowego dyplomata i Desgasa stojącego w milczeniu za nim, a wreszcie rzekł swobodnie:

— Hm, przyjmuję.

— W takim razie idź sobie i czekaj przed domem — rzekł Chauvelin. — Pamiętaj, abyś dotrzymał słowa, bo ręczę ci, że rzetelnie spełnię obietnicę.

Żyd skłonił się nisko, pokornie i skulony wyszedł z pokoju.

Chauvelin wydawał się bardzo zadowolony z tej rozmowy, gdyż zacierał ręce, jak to zwykle czynił w chwilach szczególnie radosnych.

— Podać mi płaszcz i buty! — rzekł wkońcu do Desgasa.

Desgas zwrócił się do drzwi i wydał potrzebne rozkazy. Prawie równocześnie wszedł żołnierz, niosąc płaszcz, buty i kapelusz.

Chauvelin zdjął sutannę, pod którą miał obcisłe spodnie i kamizelkę, i zaczął się przebierać.

— A ty obywatelu — zwrócił się do Desgasa — idź natychmiast do kapitana Jutley'a i powiedz mu, aby ci dodał dwunastu nowych żołnierzy. Udaj się na szosę Saint Martin, na której mnie wkrótce dopędzisz. Będziecie mieli niemałą robotę w chacie Blancharda. Rozegra się tam cała walka, gdyż ów zapaleniec, zwany „Szkarłatnym Kwiatem“ w swej głupocie, czy też zuchwalstwie, nie wiem jak to nazwać, pozostał przy dawnym planie. Poszedł połączyć się z Tournay'em, St. Justem i innymi zdrajcami, o czym przez chwilę zważyłem. Gdy dojdziemy na miejsce, spotkamy się z garstką ludzi, gotowych na wszystko. Będą się bronili do upadłego i sądzę, że padnie kilku naszych. Ci monarchiści do brze władają szablą, a Anglik jest mocny, zwinny i przytem chytry jak szatan, ale mimo wszystko będziemy mieli przynajmniej pięciu żołnierzy na jednego zdrajcę. Idź z żołnierzami za moim wózkiem i kieruj się szosą Saint Martin przez Miquelon. Anglik wyprzedził nas i nie widzę prawdopodobieństwa, aby zawrócił z drogi.

Wydając powyższe jasne i zwięzłe rozkazy, zmienił ubranie; zrzucił sutannę i przyoblekł się w zwykłe czarne odzienie.

— Wydam w twoje ręce niezwykłego jeńca — ciągnął dalej Chauvelin śmiejąc się złośliwie i wzięwszy Desgasa pod ramię, podszedł z nim ku drzwiom. — Nie zamordujemy go zaraz, nieprawdaż mój stary Desgasie? Chata Blancharda znajduje się w odległym miejscu wybrzeża i nasi ludzie będą mogli użyć nieco zabawy z rannym lisem. Wybierz między nimi przyjaciela Desgasie takich, którzy lubią się w tego rodzaju sportach... Musimy nacieszyć się widokiem zwyciężonego „Szkarłatnego Kwiatu“. Niech skomli trochę, niech drży... zanim wkońcu... — tu uczynił ruch bardzo wymowny i zaśmiał się dziko, a echo tego śmiechu napełniło duszę Małgorzaty niewypowiedzianą zgrozą.

— Wybierz dobrze ludzi, obywatelu Desgas — powtórzył raz jeszcze, wychodząc z gospody z sekretarzem.

ROZDZIAŁ XXVII.

Na śladzie.

Lady Blakeney nie namyślała się długo. Usłyszała Desgasa wydającego rozkazy swym ludziom i kierującego się ku portowi, celem otrzymania posiłków, gdyż sześciu ludzi nie wystarczało na schwytanie pomyslowego Anglika, którego genjusz był jeszcze niebezpieczniejszy od jego odwagi i siły. Kroki oddaliły się i ucichły. W kilka minut potem doszedł do niej ochrypli głos żyda, klnącego na swą szkapę, potem turkot kół podskakujących na nierównym bruku.

W zajeździe wszystko pogrążyło się w głębokiej ciszy. Brogard i jego żona, przerażeni widokiem Chauvelina, nie dawali znaku życia, w nadziei, że nie narażą się nikomu.

Małgorzata poczekała jeszcze chwilkę, a potem śpiesznie zbiegła z chwiejących się schodów, otuliła się ciemnym płaszczem i opuściła gospodę.

Noc była bezgwiezdna, dzięki czemu młoda kobieta mogła niespotrzezenie podążyć za turkotem oddalającej się bryczki. Miała nadzieję, że jeżeli będzie szła wzdłuż rowów przydrożnych, nie zwróci uwagi żołnierzy Desgasa i patroli czatujących we

wszystkich kierunkach. Puściła się zatem w drogę, samotna, zgubiona, w ciemnościach nocy. Miała przed sobą do przebycia pieszo 2 mile do Miquelon, a potem jeszcze drogę, wiodącą wśród kamieni i wybojów aż do chaty ojca Blancharda.

Żydowska szkapą nie mogła iść szybko i choć Małgorzata czuła się wycieńczona wskutek przebytych wstrząśnień, miała jednak nadzieję, że nie pozostanie wtyle. Droga była górzysta, a że biedne konisko ledwie żyło, wózek będzie z pewnością zmuszony często zatrzymywać się w drodze, co ułatwi Małgorzacie podążanie za nim.

Szosa, ciągnąca się w pewnem oddaleniu od morza, obsadzona była krzakami i wątłemi drzewami, pokrytymi nędzną zielenią. Drzewa szarpane wiecznie północnymi wichrami, stały nachylone w ciemności jak zastygłe upiory.

Szczęśliwym trafem księżyc nie wynurzył się z za ciężkich chmur, i Małgorzata, trzymając się blisko niskich zarośli, przy samym brzegu drogi, prawie wcale nie była widoczna. Głęboka cisza panowała dokoła, tylko zdaleka dochodził szum oceanu, jak cicha bolesna skarga.

Powietrze było ostre, przesycone wonią morza. W innych warunkach biedna kobieta byłaby z radością wdychała łagodny zapach jesiennej nocy i wsłuchiwała się w daleki szum fal, rozkoszując się spokojem tego odludnego krajobrazu i nocną ciszą, przerywaną smutnym krzykiem mewy, lub turkotem dalekiego wozu. Lecz w tej chwili dręczyły ją złowrogię przeczucia i rozdzierająca tęsknota za czło-

wiekim, który był jej jedynym szczęściem. Potykała się na śliskiej trawie rowu, nie chcąc dla ostrożności iść środkiem drogi, i z trudem przyśpieszała kroku po błotnistej pochyłości. Nie spotkała nikogo na drodze. Ostatnie światła Calais dawno już pozostały w tyle, a dokoła nie było ani śladu ludzkiej osady, chaty rybackiej, czy szałas drwala. W oddali po prawej stronie białe skały nadbrzeżne, a niżej rysował się skalisty brzeg morza, o który nadchodzący przyływ rozbijał się bezustannym przytłumionym grzmiotem.

Małgorzata próbowała odgadnąć, gdzie teraz na tem odludnem wybrzeżu znajduje się Percy. Z pewnością nie był daleko, gdyż wyjechał na kwadrans przed Chauvelinem. Czy wiedział, że w tym zimnym, wietrznym zakątku Francji czyha na jego życie tylu szpiegów?

Tymczasem najpiękniejsze nadzieje kołysały Chauvelina, trzęsącego się na nierównej drodze w żydowskiej bryczce. Zacierał ręce z ukontentowaniem na myśl o gęstej sieci tak zręcznie zarzuconej, z której Anglik nie mógł już żadną miarą się wyślizgnąć. Podczas powolnej jazdy wśród ciemnej nocy czekał niecierpliwie na triumfalne zakończenie tych wspaniałych łowów, których zdobyczą był tajemniczy „Szkarłatny Kwiat”. Pojmanie wielkiego spiskowca będzie najpiękniejszym liściem w jego wieńcu chwały, a Anglik schwytany na gorącym uczynku w chwili, gdy pomaga i otacza opieką zdrajców republiki francuskiej, nie mógł żądać pomocy od własnej ojczyzny. W każdym razie Chauvelin

postara się, aby wszelka interwencja przyszła za późno.

Ani przez chwilę nawet nie pomyślał o okropnem położeniu nieszczęśliwej kobiety, która nieświadomie zdradziła własnego męża. Zapomniał o niej. Była potrzebną zabawką w jego rękach, a poza tem niczem.

Żydowska chuda szkapa szła prawie ciągle stępa, a gdy zwalniała kroku, woźnica przyśpieszał jej bieg razami.

— Czy daleko jeszcze do Miquelon? — pytał od czasu do czasu Chauvelin.

— Niebardzo daleko, wasza wysokość — brzmiała wciąż ta sama odpowiedź.

— Nie spotkaliśmy jeszcze dotąd twego i mego przyjaciela, stojących bezradnie na środku drogi! — wtrącał ironicznie Chauvelin.

— Cierpliwości szlachetna ekscelencjo — dodawał syn Mojżesza — jada na pewno przed nami. Widzę ślady kół bryczki tego zdrajcy, tego syna Amalekitów...

— Czy na pewno znasz drogę?

— Znam ją tak dobrze, jak owe 10 sztuk złota w kieszeni waszej szlachetnej ekscelencji, które będą niebawem moje.

— Gdy tylko przywitam swego przyjaciela, owe go wysokiego cudzoziemca, będą na pewno twoje.

— Posłuchaj... co to jest? — zapytał nagle żyd. Wśród milczenia i ciszy usłyszeli wyraźnie tupot kopyt końskich na błotnistej drodze.

— To są żołnierze — szepnął trwożnie żyd.

— Zatrzymaj się na chwilę. Chcę posłuchać — rzekł Chauvelin.

Małgorzata usłyszała również tętent galopujących koni, zbliżających się w kierunku wózka. Z początku myślała, że to Desgas i jego ludzie, ale teraz zdawała sobie wyraźnie sprawę, że jeźdźcy nadjeżdżali z przeciwnej strony, może z Miquelon. Ciemność ją otaczała i nie potrzebowała obawiać się, że ją zobaczą.

Gdy wózek zatrzymał się, z największą ostrożnością przyczołgała się bliżej po rozmokłej drodze.

Serce jej biło jak młotem, drżała całym ciałem. Już odgadła, jakie wieści przynosili jeźdźcy: „każdego nieznanego na drodze lub na wybrzeżu należy śledzić, szczególnie gdyby był wysokiego wzrostu. Gdy ktoś spostrzeże podobnego osobnika, żołnierz na koniu musi w tej chwili mi o tem donieść.“ Takie były rozkazy Chauvelina. Czy odnaleziono już cudzoziemca? Czy był to ów konny posłaniec, przynoszący ważną nowinę, że ścigana zwierzyna wpadła nareszcie w zasadzkę?

Małgorzata, chcąc usłyszeć słowa posłańca, przysunęła się bliżej wśród ciemności i do jej uszu doszło śpiesznie rzucone hasło:

Liberté, Egalité, Fraternité, — a potem zapytanie Chauvelina.

— Jakie wiadomości?

Dwaj jeźdźcy osadzili konie przy samym wózku. Małgorzata rozróżniała wyraźnie ich sylwetki, rysujące się na tle nieba. Słyszała głosy i parskanie koni, a za nią w pewnej odległości dźwięczały regu-

larne i miarowe kroki zbliżającego się oddziału Desgasa.

Nastąpiła dłuższa pauza, podczas której prawdopodobnie dyplomata dawał żołnierzom papiery do przejrzania, gdyż po chwili dopiero nastąpiły zapytania i odpowiedzi.

— Widzieliście cudzoziemca? — zapytał żywo Chauvelin.

— Nie obywatelu, nie widzieliśmy żadnego wysokiego cudzoziemca. Szliśmy brzegiem skał nadbrzeżnych...

— I co?

— O ćwierć mili od Mipuelon napotkaliśmy rozpadającą się drewnianą chatę, która wyglądała na szalas rybacki, służący do przechowywania sieci i narzędzi. Z początku chata wydawała nam się pusta, ale po chwili zobaczyliśmy lekki słup dymu, wydobywający się z boku. Zeskoczyłem z konia i przyczołgałem się tuż do chaty. Nic nie było w niej podejrzanego, tylko w jednym kącie paliły się węgle drzewne, a przy ognisku stały dwa krzesła. Naradziłem się z towarzyszami, co dalej czynić. Oni schowali się z końmi w pobliżu, a ja pozostałem na czatach.

— Dobrze. I widziałeś kogoś?

— Po pół godzinie usłyszałem głosy i równocześnie dwóch ludzi wyłoniło się z poza skały. Zdaje się, że przychodzili od strony Lille. Jeden był młody, drugi stary. Rozmawiali pocichu i nie mogłem usłyszeć, co mówili.

Jeden był młody, drugi stary!... Serce Małgorzaty ścisnęło się boleśnie na te słowa. Czy ten mło-

dy był Armandem, jej bratem, a stary de Tournay? Ci dwaj uchodźcy nieświadomie służyli za przynętę do schwycenia ich nieustraszonego szlachetnego zbawcy.

— Ci dwaj mężczyźni weszli do chaty — ciągnął dalej żołnierz — a ja przyłożyłem ucho do ściany szalasu. Chata była tak lichy sklecona, że mogłem uchwycić parę słów z ich rozmowy.

— Tak? Mów prędko, co usłyszałeś?

— Starzec zapytał młodego, czy wie na pewno, że są w umówionem miejscu. „Ależ tak — odrzekł tamten — to tu z pewnością“ i przy blasku ogniska pokazał towarzyszowi jakiś papier. „Tu jest plan — rzekł — który mi dał, nim opuściłem Londyn. Mieliśmy trzymać się ściśle tych wskazówek, o ilebyśmy nie odebrali innych rozkazów. Oto droga, którą tu przyszliśmy. Patrz — w tem miejscu drogi się rozchodzą... tutaj przecięliśmy szosę Saint Martin, a oto ścieżka, która doprowadziła nas do brzegu skały“. Musiałem nieostrożnie wywołać lekki szelest, gdyż młodzieniec zbliżył się do drzwi chaty i spojrzął niespokojnie wkoło. Gdy poszedł znów do towarzysza szeptali tak cicho, że nie słyszałem już ani słowa.

— Dobrze. A potem? — zapytał niecierpliwie Chauvelin.

— Było nas razem sześciu, z tych co patrolowali wybrzeże. Zadecydowaliśmy, aby czterech pozostało przy chacie i pilnowali jej, a my ruszyliśmy co prędzej, by zdać ci sprawę z tego cośmy widzieli.

— Nie macie żadnych wieści o wysokim cudzoziemcu?

— Żadnych, obywatelu.

— Co uczynią w razie, gdyby twoi towarzysze go spostrzegli?

— Nie tracą go z oczu ani przez chwilę, a gdyby zamierzał uciekać, lub szedł w kierunku zbliżającego się okrętu lub łodzi, otoczą go i w razie potrzeby strzelą, aby przywołać na pomoc resztę patroli. Pod żadnym warunkiem nie dadzą mu uciec.

— Ale pamiętaj, aby go nie zranić — szepnęła z dziką nienawiścią Chauvelin. — Dobrzeście się sprawili chłopcy. Oby tylko przeznaczenie pozwoliło, abym nie przyjechał za późno.

— Spotkaliśmy przed chwilą 6 ludzi, którzy patrolowali na drodze przez kilka godzin.

— I co?

— I oni również nie spotkali wysokiego Anglika.

— A jednak jest przed nami, jedzie wozem... Nie ma ani chwili do stracenia. Jak daleko jest stąd ta chata?

— Jeszcze ze dwie mile drogi, obywatelu.

— Czy możesz odnaleźć ją zaraz, w tej chwili, bez wahania?

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, obywatelu.

— Odnajdziesz ścieżkę na brzegu skały nawet wśród ciemności?

— Noc nie jest tak ciemna, wreszcie znam drogę — powtarzał z naciskiem żołnierz.

— W takim razie siadaj wtyle, a twój towarzysz niech odprowadzi zpowrotem konie do Calais. Powiedz żydowi, aby jechał prosto, a potem zatrzymaj

go o ćwierć mili przed ścieżką. Staraj się, aby jechał najkrótszą drogą.

Podczas tej rozmowy Desgas i jego żołnierze zbilżali się śpiesznie, i Małgorzata słyszała tętent kopyt końskich najwyżej o sto kroków za sobą. Zrozumiała, że szaleństwem było dalsze narażanie się, szczególnie teraz, gdy dowiedziała się o wszystkich planach. Pod wpływem bezustannej trwogi serce jej, nerwy i umysł doszły do stanu zupełnego zubożenia, a apatja zabiła nawet dręczące ją dotychczas cierpienia. Nie miała najmniejszej nadziei uratowania męża.

Tak niedaleko od tego miejsca francuscy uchodźcy czekali na swego zbawcę, a on zbliżał się do nich po opustoszałej drodze, aby lada chwila wpaść w ręce 24 ludzi, prowadzonych przez człowieka, którego nienawiść była równie okrutna, jak chytryść jego była piekielna. I oto wszyscy zostaną schwytani. Według danego słowa Chauvelin odda Armanda młodej kobiecie, ale jej mąż Percy wpadnie w sidła zaciętego wroga, nie znającego litości dla szlachetnego serca, ani podziwu dla bohaterstwa. Usłyszała jeszcze, jak żołnierz wydawał kilka krótkich wskazówek żydowi, a potem cofnęła się żywo na brzeg rowu i ukryła się za niskimi krzewami.

Tymczasem nadjechał oddział Desgasa. Stanęli w milczeniu za wózkiem i po chwili wszyscy ruszyli w dalszą drogę. Małgorzata poczekała chwilkę i dopiero gdy się upewniła, że nikt nie słyszy jej kroków, pobrnęła dalej wśród zwiększających się wciąż ciemności.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Chata ojca Blancharda.

Małgorzata szła wciąż naprzód jakby w półśnie. Jedyne jej pragnieniem było zobaczyć jeszcze raz męża, wyznać mu swą winę, powiedzieć mu ile wycierpiała, jak bardzo go lekceważyła i jak mało starała się go zrozumieć. To było jedynym jej celem. Z rozpaczą rozglądała się wśród mroku, zapytując siebie, z której strony nadejdzie Percy, aby wpaść w zasadzkę.

Daleki szum bałwanów przejmował ją dreszczem. Smutny jęk sowy, rozlegający się od czasu do czasu, lub krzyk mewy przepełniał ją niewypowiedzianą trwogą. Myślała o drapieżnych bestjach ukrytych w ludzkim ciele, czyhających na swe ofiary i rozdzierających je bez litości jak zgłodniałe wilki, bez innego celu, jak zadosyćuczynienie żądzy nienawiści. Nie bała się ciemności, lękała się jedynie tego człowieka jadącego przed nią na prostym wózku, który żywił pragnienia zemsty tak okrutne i tak szatańskie. Czuła ból w nogach, a kolana ugiwały się pod nią z wysiłku. Od kilku dni żyła w okropnej rozterce, spędziła trzy ostatnie noce bezsenne i szła już od dwóch godzin po śliskiej drodze, podtrzymy-

wana nadzieją, że zobaczy męża po raz ostatni i jeżeli uzyska od niego przebaczenie zbrodni popełnionej, będzie miała przynajmniej prawo umrzeć przy jego boku.

Nawpół przytomna szła bezmyślnie po błotnistej drodze, gdy nagle jej uszy, czułe na każdy szmer, usłyszały, że bryczka stanęła, a żołnierze osadzili konie. Doszli do miejsca przeznaczenia. Bez wątpienia na prawo znajdowała się ścieżka prowadząca do skał morskich i do chaty Blancharda. Obojętna na niebezpieczeństwo, przyczołgała się do miejsca w którym znajdował się Chauvelin z eskortą. Zsiadł z wózka i wydawał rozkazy żołnierzom.

Miejsce, w którym zatrzymała się ekspedycja, znajdowało się w odległości mniej więcej 800 metrów od wybrzeża. Słaby odgłos fal dochodził jakby z wielkiej odległości. Chauvelin i Desgas skrzyżowali nagle na prawo, prawdopodobnie na ścieżkę, wiodącą ku morzu, a żyd pozostał na szosie ze szkapą i wózką.

Małgorzata bardzo ostrożnie, pełzając na rękach i kolanach, wróciła w tę stronę. Musiała przedostać się przez cierniste, niskie krzaki, unikając najłżejszego szelestu i rozdzierając sobie twarz i ręce o suche gałęzie. Ale za wszelką cenę chciała widzieć i słyszeć wszystko, a nie być dostrzeżoną. Na szczęście, jak to bywa w tych okolicach Francji, ścieżka obsadzona była niskim, zwartym płotem, za którym ciągnął się wyschnięty rów, obrośnięty wysokimi trawami. Małgorzacie udało się więc znaleźć schronienie w tych sitowiacz. Ukryta

w nich całkowicie zbliżyła się o trzy metry od miejsca, gdzie Chauvelin wydawał rozkazy swym żołnierzom.

— A teraz powiedzcie mi — mówił tonem rozkazującym — gdzie jest chata ojca Blancharda?

— Chata znajduje się w odległości 800 metrów stąd — odrzekł żołnierz, prowadzący całą ekspedycję.

— Doskonale! więc poprowadzisz nas. Nim zaczniemy schodzić ze skał, podejdziesz pod samą chatę, jak najostrożniej i przekonasz się, czy zdrajcy-monarchiści jeszcze się tam znajdują. Rozumiesz?

— Rozumiem, obywatelu.

— Słuchajcie wszyscy uważnie — ciągnął dalej Chauvelin, zwracając się do żołnierzy — gdyż może nie będziemy mogli potem ani słowa wymienić. Zapamiętajcie zatem każdy rozkaz, jakgdyby życie wasze zależało od waszej pamięci. Wreszcie kto wie, czy tak nie będzie? — dodał oschle.

— Słuchamy, obywatelu — odrzekł Desgas. — Żołnierz republikański nigdy nie zapomni rozkazu.

— Ty przyczołgasz się aż do chaty i spróbujesz zajrzeć do niej. Jeżeli Anglik już tam się znajduje, zagwizdaj krótko i głośno. Będzie to hasłem dla twoich towarzyszy i wówczas wy wszyscy — dodał zwracając się znów do żołnierzy — otoczycie śpiesznie chatę i wejdziecie do niej. Niech każdy z was schwyci jednego z tych zdrajców, ale tak szybko, aby nie zdołali wyciągnąć szabli lub strzelić z pistoletu. Jeżeli który z nich się będzie bronił, to postrzelcie go w nogę lub w rękę, ale pod żadnym wa-

runkiem nie wolno zabić wysokiego cudzoziemca. Czy rozumiecie?

— Rozumiemy, obywatelu.

— Ten człowiek, który wyróżnia się szczególnie wysokim wzrostem, okaże z pewnością silny opór. Trzeba użyć z pięciu ludzi, aby go ubezwładnić.

Zapanowało krótkie milczenie, poczem Chauvelin ciągnął dalej.

— Jeżeli monarchiści będą jeszcze sami, co jest bardzo prawdopodobne, musisz przestrzec towarzyszy, czekających w pobliżu. Wszyscy razem schrońcie się za skałami, otaczającymi chatę i czekajcie w grobowem milczeniu, póki wysoki Anglik nie nadejdzie. Wtedy dopiero wpadniecie do chaty i nie pierwej niż cudzoziemiec przekroczy próg. Pamiętajcie, że musicie być ostrożni, jak wilk w nocy, gdy krąży dokoła kurnika. Chodzi o to, aby monarchiści nie domyślili się niczego. Strzał z pistoletu, krzyk, zawołanie z ich strony wystarczyłoby może, aby ostrzec Anglika, by nie zbliżał się do chaty. A przecież zadaniem waszem jest ujęcie go w ciągu dzisiejszej nocy — dodał z naciskiem.

— Dokładnie wykonamy twoje rozkazy, obywatelu.

— Ruszajcie zatem z największą ostrożnością, a ja pójdę za wami.

— A co stanie się z żydem, obywatelu? — zapytał Desgas, podczas gdy żołnierze jak ciemne cienie zaczęli schodzić po wąskiej i urwistej ścieżce wzdłuż skały.

— Ach, prawda, zapomniałem na śmierć o żydzie! — rzekł Chauvelin i zwróciwszy się w jego stronę, zawołał groźnie: — Chodź tu, ty, jak się tam nazywasz, Aronie, Mojżeszu czy Abrahamie — rzekł do starca, który stał spokojnie przy swojej szkapie jak najdalej od żołnierzy.

— Benjamin Rosenbaum, za pozwoleniem waszej wysokości — odrzekł pokornie.

— Cicho bądź i słuchaj moich rozkazów. A radzę ci, abyś je wypełnił.

— Słucham, wasza wysokość.

— Trzymaj za zębami przekłety język, mówię ci. Pozostaniesz tutaj, słyszysz? Pozostaniesz z koniem i wózkiem aż do naszego powrotu. Nie wolno ci wydać najmniejszego dźwięku, a nawet głośniej oddychać. Nie wolno ci opuszczać tego stanowiska pod żadnym warunkiem, póki nie dam ci innego polecenia.

— Ależ, wasza wysokość... — zaprotestował żyd z rozpaczą.

— Niema tu żadnego ale — przerwał Chauvelin tonem, który dreszczem przerażenia wstrząsnął bojaźliwym starcem; — jeżeli za moim powrotem nie znajdę ciebie tutaj, to zapewniam cię uroczyście, że gdziekolwiek spróbujesz się skryć, wynajdę cię i spotka cię kara natychmiastowa i straszna. Czy słyszysz?

— Ależ, wasza ekscelencjo...

— Czy słyszałeś, co powiedziałem?

Żołnierze znikli już w ciemności; trzech mężczyźni stali na opustoszałej drodze, a Małgorzata za płotem

słuchała była rozkazów Chauvelina, jakgdyby to był jej własny dekret śmierci.

— Zrozumiałem, wasza wysokość — zaprotestował znów żyd, próbując zbliżyć się do dyplomaty — i przysięgam na Abrahama, Izaaka i Jakóba, że wypełnię co do joty rozkazy waszej wysokośći i że nie ruszę z tego miejsca, póki wasza wysokość nie raczy rzucić na swego powolnego sługę jasności swego spojrzenia, ale pamiętaj, że jestem biednym, już bardzo starym człowiekiem. Moje nerwy nie są tak silne, jak nerwy młodego żołnierza, i jeżeli nadejdą nocni zbóje, szukający zdobyczy na tej opustoszałej drodze, krzyknę może lub ucieknę ze strachu... czyż i wówczas zostaną pozbawiony życia lub okropna kara spadnie na moją biedną starą głowę za tak mimowolne przestępstwo?

Żyd istotnie ujawnił straszne przerażenie. Trząsł się od stóp do głów. Trudno było tego człowieka pozostawić samego na odludnem miejscu. Biedak miał rację. Nie panując nad przerażeniem, mógł krzyknąć, co byłoby dostateczną przestrogą dla chytrego „Szkarlatnego Kwiatu“. Chauvelin zamyślił się.

— Czy sądzisz, że twój koń i wózek mogą tu pozostać bez ciebie? — zapytał twardo.

— Zdaje mi się, obywatelu — wtracił Desgas — że byłoby to najrozsądniejsze i że lepiej pozostawić wózek bez tego brudnego tchórzliwego starca. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że przy pierwszej sposobności ucieknie jak zając, lub zacznie krzyczeć wniebogłosy.

— Dobrze, ale co zrobić z tą pokraką?

— Odesłać go napowrót do Calais.

— Nie możemy tego uczynić, gdyż potrzebny nam będzie za chwilę do przewożenia rannych — rzekł chmurnie Chauvelin.

Zapadło znów milczenie. Desgas czekał na postanowienie swego przełożonego, a stary żyd wzdychał ciężko koło szkapy.

— A więc, leniwy, stary tchórz — odezwał się wreszcie Chauvelin — nic nam nie pozostaje innego do uczynienia, jak zabrać cię z nami. Obywatelu Desgas, wpakuj tę oto chustkę do ust tego obywatela.

Chauvelin podał chustkę Desgasowi, który natychmiast wykonał rozkaz. Benjamin Rosenbaum dał sobie zakneblować usta bez oporu. Widocznie wolał poddać się tej przykrości, niż samotność wśród ciemności na szosie Saint Martin. Następnie trzej mężczyźni ruszyli w drogę jeden za drugim po wąskiej ścieżce.

— Prędzej — rzekł niecierpliwie Chauvelin. — Straciliśmy już i tak za dużo drogiego czasu.

Po chwili sprężyste kroki Chauvelina i Desgasa i odgłos ciężkich butów starego żyda umilkły w oddali.

Małgorzata nie straciła ani jednego słowa z rozkazów dyplomaty. Wytężyła wszystkie myśli, aby w całej pełni objąć położenie, które było istotnie rozpaczliwe. Garstka ludzi czekała na swego zbawcę nieświadomego, jakie sidła zastawiono na niego w tę ciemną noc na opustoszałym wybrzeżu, by zgubić bezbronnych ludzi, nie przeczuwających zasadzki,

Wśród tych skazańców jeden był jej mężem, którego ubóstwiała, a drugi bratem, którego kochała. Zapytywała w duchu, jaki będzie los tamtych, czekających również spokojnie na wyzwolenie, gdy śmierć czyhała na nich ze wszystkich rozpadlin skalnych, otaczających samotną chatę.

Narazie nie mogła uczynić nic innego, jak iść za żołnierzami i Chauvelinem. Gdyby nie lęk, że zgubi drogę, byłaby pobiegła naprzód, znalazła ten drewniany szałas, przestrzegła na czas zbiegów i walecznego bohatera.

Wahała się, czy nie należy przeraźliwie krzyknąć, by ostrzec męża oraz jego przyjaciół, którzy mogliby jeszcze uciec, zanim będzie za późno; lecz niewiedziała, w jakiej odległości znajduje się od chaty, i czy głos jej dojdzie do uszu skazańców. Zadrżała na myśl, czy żołnierze nie zakneblują jej ust jak żydowi i czy nie stanie się bezbronnym jeńcem w rękach katów?

Bez szelestu przemykała się wzdłuż płotu. Zrzuciła obuwie, a pończochy jej rozpadły się w strzępy. Nie odczuwała ani bólu, ani zmęczenia. Chciała za wszelką cenę połączyć się z mężem i ta żelazna wola zabijała w niej każde cierpienie fizyczne, zaostozając jej postanowienie.

Słyszała tylko miarowe i ciche kroki wrogów i z przeraźliwą dokładnością widziała w myśli drewnianą, samotną chatę i Percy'ego idącego prosto na śmierć.

Wtem przystała i przywarła do ziemi przy samym płocie. Księżyc, który dotąd był jej sprzymie-

rzeńcem i ukrywał się wśród chmur, wypłynął nagle na niebo w całym blasku wczesnej jesiennej nocy i w jednej chwili załął światłem ciemny i opustoszały krajobraz.

W odległości 10 metrów znajdował się brzeg urwiska, a poniżej srebrząc się aż do wolnej i szczęśliwej Anglii, kołysały się spokojnie fale morskie. Oczy Małgorzaty spoczęły na lśniącej powierzchni. Serce jej rozdarte bólem wezbrało rozpaczą, a oczy napełniły się gorącymi łzami; o niespełna 3 mile morskie z białymi rozpiętymi żaglami czekał piękny yacht, gotowy do drogi. Małgorzata go raczej odgadła, niż poznała. Był to „Day Dream“, ulubiony statek męża, ze starym Briggesem, księciem pilotów, na czele całego zastępu angielskich marynarzy. Jego białe żagle błyszcząły w świetle księżyca i zdawały się przysyłać obietnicę radosnej nadziei. Czekał tam na szerokim morzu, czekał na swego pana jak wspaniały biały ptak, gotowy do lotu, a ten pan nigdy nie zobaczy już jego pokładu ani białych skał Anglii, ojczyzny wolności i nadziei...

Widok jachtu napełnił biedną, znekana kobietę nadludzką siłą rozpaczy. Już doszli do brzegu skały, za którą śmierć czyhała na najdroższego na świecie człowieka. Światło księżyca wskazywało jej drogę, więc mogła pobiec do szalasu, obudzić śpiących, aby mogli sprzedać drogo swe życie, jeżeli musieli zginąć.

Potknęła się w gęstej trawie rowu, lecz zerwała się śpiesznie i wyprzedziwszy Chauvelina i Desgasa, znalazła się na brzegu skały. Słyszała kroki

żołnierzy poza sobą, ale księżyc oświetlił ją nagle tak jasno, że postać młodej kobiety zarysowała się wyraźnie na srebrzystem tle morza.

Napół martwa ze zgrozy przywarła znów do ziemi, jak tropione zwierzę. Zgóry spojrzała na ścieżkę. Zejście z niej nie przedstawiało zbyt wielkich trudności, gdyż skały pełne rozpadlin miały spadek dość łagodny. Małgorzata rozglądnęła się dokoła i nagle dojrzała w pewnej odległości prosty drewniany szałas, przez którego ściany przeświecało czerwone światło jak oddalona latarnia morska.

Nie była w stanie obliczyć, jak daleko znajdowała się ta chata, ale bez wahania zaczęła pełzać ku niej po kamienistej ścieżce, czołgając się z jednej skały na drugą i nie zważając już na żołnierzy, ukrytych w pobliżu.

I tak biegła naprzód, zapominając o śmiertelnym wrogu, potykając się i upadając, kalecząc sobie nogi, bez tchu, bez pamięci. Wtem potknęła się na kamieniu, czy też na śliskim odłamie skalnym i ciężko upadła. Podniosła się jednak i znów biegła naprzód, aby ostrzec nieszczęsne ofiary Chauvelina o śmiertelnej zasadzce. Ale dosłyszała ze zgrozą czyjeś przyspieszone kroki, zbliżające się ku niej. Czyjaś ręka chwyciła ją za suknię i rzuciła o ziemię i w usta jej wtłoczono chustę.

Przerażona i oszalała na myśl o swej porażce, rozejrzała się bezradnie dokoła. Jakaś postać pochyliła się nad nią i jak przez gęstą mgłę ujrzała parę chytrych oczu świecących dziwnym, zielonawym blaskiem.

Leżała w cieniu wielkiego odłamu skalnego; Chauvelin nie mogąc rozpoznać jej rysów, cienkimi białymi palcami wodził po jej twarzy.

— Kobieta! — szepnął przez zęby. — Do wszystkich djabłów! Nie możemy jej tu zostawić pod żadnym warunkiem — mruknął groźnie. — Dziwię się tylko...

Zatrzymał się. Po kilku sekundach śmiertelnej ciszy Małgorzata poczuła znów na twarzy jego cienkie palce. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem, a Chauvelin zaśmiał się cichym, okropnym chichotem i szepnął:

— Mój Boże, cóż za niespodzianka! Jak mi miło! — i Chauvelin podniósł do ust jej bezwładną rękę.

Sytuacja byłaby naprawdę groteskowa, gdyby nie miała piętna straszliwej tragedji. Znękana kobieta, złamana i napół oszalała z rozpacz, przyjmująca banalne galanterje swego najzaciętszego wroga!

Opuszczając ją przytomność, dusił knebel w ustach i nie miała już sił na najmniejszy ruch lub krzyk o pomoc. Sztuczna nadludzka energia, która dotąd podtrzymywała jej wątłe ciało, załamała się nagle i lady Blakeney zapadła w odrętwienie.

Chauvelin musiał wydać pewne rozkazy, których w omdleniu nie dosłyszała, gdyż podniesiono ją z ziemi, mocniej wtłoczono w usta chustkę i czyjeś silne ramiona zaniósły ją ku temu czerwonemu światłu, które spostrzegła, podobnemu do dalekiej latarni morskiej, a zarazem do ostatniego płomyka nadziei.

ROZDZIAŁ XXIX.

Schwytani.

Małgorzata nie zdawała sobie sprawy, jak długo ją niesiono. Zatraciła wszelką świadomość czasu i miejsca, była zupełnie bezprzytomna. Gdy odzyskała zmysły, leżała wygodnie na męskim płaszczu, oparta o skałę. Księżyc ukrył się w chmurach i dookoła znów zapanowały ciemności. O 200 stóp poniżej szumiało morze. Rozglądając się uważnie, nie mogła już dostrzec czerwonego światelka chaty. słyszała wyraźnie szept w pobliżu.

— W chacie zobaczyłem czterech ludzi, obywatelu. Siedzą koło ogniska i czekają spokojnie.

— Która godzina?

— Koło drugiej po północy.

— W jakim stanie jest przypływ?

— Wznosi się szybko.

— Co to za jacht?

— Jest to statek angielski. Stoi o 3 kilometry od wybrzeża, ale nie widzimy łodzi.

— Czy żołnierze dobrze są ukryci?

— Tak, obywatelu.

— Czy nie popełnią jakiej niezręczności?

— Nie ruszą z miejsca, póki nie przyjdzie wysoki Anglik. Gdy nadejdzie, otoczą go i pochwyca wszystkich razem.

— Dobrze. A dama?

— Zdaje mi się, że nie odzyskała jeszcze przytomności. Jest tuż przy tobie, obywatelu.

— A żyd?

— Ubezwładniony i nogi ma związane. Nie może się ani ruszyć, ani krzyknąć.

— Znakomicie. A teraz miejcie w pogotowiu strzelby, w razie gdyby były potrzebne. Idźcie pod samą chatę, a ja zajmę się damą.

Desgas poszedł wypełnić rozkaz, gdyż Małgorzata usłyszała jego przyciszone kroki wzdłuż ściany skalnej. I znów uczuła, jak ciepłe, chude ręce, podobne do ptasich szponów, obejmowały jej dłonie żelaznym uściskiem.

— Nim wyjmę chustkę z twych pięknych ust, uroczą pani — szepnął jej do ucha Chauvelin — uważam za stosowne udzielić ci paru słów przestrogi. Czemu przypisać mam ten zaszczyt, iż przebyłem kanał z tak miłą towarzyszką podróży, tego zgadnąć narazie nie mogę, ale jeżeli się nie mylę, nie ja byłem powodem tych łaskawych względów. Sądzę także, że pierwszy okrzyk, który wydałyby twoje koralowe usta po usunięciu przykrego knebla, miałby na celu ostrzeżenie chytrego lisa, ściganego z takim trudem.

Umilkł, ale żelazne jego szpony zaciskały się coraz silniej dokoła rąk nieszczęsnej kobiety. Po chwili ciągnął dalej, szepcząc śpiesznie:

— W tej chacie twój brat Armand czeka ze zdrajcą de Tournay i dwoma towarzyszami na przybycie „Szkarłatnego Kwiatu“, którego identyczność tak długo była nieznana „komitetowi bezpieczeństwa publicznego“. Niema wątpliwości, że gdy tylko krzykniesz, lub gdy tam zawrze walka i padną strzały, te same długie nogi, które tu przyniosą to tajemnicze indywiduum, dopomogą mu do ucieczki w jakieś bezpieczne miejsce, a wtedy cel mojej uciążliwej eskapady będzie chybiony. Z drugiej strony od ciebie tylko zależy, aby twój brat Armand był wolny i powrócił z tobą do Anglii jeszcze dziś, jeżeli zechcesz.

Małgorzata nie mogła wymówić słowa, gdyż knebel tamował jej głos, ale Chauvelin mimo ciemności patrzył na nią badawczo i dojrzał, jak ręka młodej kobiety uczyniła na tę ostatnią wzmiankę jakby ruch błagalny, gdyż ciągnął dalej:

— Jeżeli chcesz zapewnić bezpieczeństwo Armandowi, musisz uczynić rzecz bardzo prostą, droga lady.

W oczach Małgorzaty widać było zapytanie: — Co mam uczynić.

— Abyś została tu na miejscu, nie odważyła się na najmniejszy okrzyk ani słowo, zanim dam ci na to pozwolenie. Ale myślę, że usłuchasz mnie — dodał z tym dziwnym chichotem, który wzbudzał w Małgorzacie tak okropne obrzydzenie — gdyż inaczej jeżeli będziesz usiłowała uciec lub krzyczeć, moi ludzie, a jest ich trzydziestu — schwyca St. Justa, de Tournay'a, oraz ich przyjaciół i rozstrzelają tu na mój rozkaz w twoich oczach.

Małgorzata choć zdrętwiała ze znużenia, miała jednak dosyć przytomności umysłu, aby uświadomić sobie całą potworną grozę położenia. I oto musiała milczeć i pozwolić, aby ubóstwiany Percy nieświadomie poszedł na śmierć, albo ostrzec go krzykiem i skazać na zgubę własnego brata i trzech innych bezbronnych ludzi...

Nie mogła rozpoznać rysów Chauvelina, ale czuła na sobie jego blade przebiegłe oczy z wyrazem szyderstwa i ironji, słyszała tuż nad uchem jego szept, i zgasł ostatni błysk nadziei w jej sercu.

— Nie myśl, piękna pani — dodał z udaną galanterją — o nikim innym tylko o bracie. Jedyna rzecz, którą możesz dla niego uczynić, to pozostać tu gdzie jesteś i milczeć. Żołnierze mają bardzo dokładne rozkazy, aby go oszczędzać; w każdym wypadku co ci zależeć może na sławnym „Szkarłatnym Kwiecie?“ Czemże on jest dla ciebie? Wierz mi, że żadne ostrzeżenie z twojej strony nie może go już wyratować. A teraz pozwól, piękna pani, abym cię uwolnił od niewygodnego knebla, który rani twoje czarowne usta. Widzisz, że pragnę, abyś była wolną i sama rozstrzygnęła, co ci należy uczynić.

Z myślami w błędnej rozterce, z krwią pulsującą w skroniach, z nerwami sparaliżowanymi trwogą i sercem ściśniętym bólem i rozpaczą lady Blakeney siedziała bezradnie w ciemnościach, otaczających ją jakby śmiertelnym całunem.

Nie widziała morza, ale nieustanny szum przyplwy dochodził do jej uszu, szepcząc o zamaryłych na-

dziejach, utraconej miłości, o mężu, którego zdradziła i wydała katom własnymi rękoma...

Chauvelin wyjął jej z ust knebel, ale nie miała nawet siły krzyknąć. Była tak słaba, tak śmiertelnie znużona, że nie mogła ustać na nogach, ani zebrać myśli.

Ach, gdyby mogła zastanowić się nad tem, co czynić należało! Nie czuła słodkiego zapachu jeziennego powietrza, połączonego z orzeźwiającą wonią morza, nie słyszała łagodnego szumu fal, miała wrażenie, że oszalała. Wydawało jej się niemożliwością, by ona, lady Małgorzata Blakeney, królowa towarzystwa londyńskiego, siedziała tutaj na brzegu urwiska wśród nocnych ciemności obok zaciętego wroga, wiedząc, że ten, którego lekceważyła i nie doceniała, a który był jej teraz droższy ponad wszystko w świecie, idzie prosto ku pewnej zgubie, a ona nie może uczynić nic, aby go uratować...

Czemu nie pośle ostrzeżenia krzykiem przeraźliwym, któryby tysięcznym echem odbił się na tem opustoszałym wybrzeżu? Chciała krzyknąć, czuła już ten krzyk wznoszący się w jej piersi, ale paraliżowała go myśl o okropnych skutkach... brat i jej towarzysze rozstrzelani w jej oczach jakby z jej rozkazu... ona w roli ich zabójczyni...

Jakże dobrze znał kobietą duszę ten szatan wcielony w Chauvelina! Zagrał na strunach niewieściej duszy, jak znakomity wirtuoz gra na instrumencie muzycznym. Przeniknął do głębi jej myśli i uczynił ją niewolnicą swej woli. Była zbyt słabą kobietą, aby krzykiem ostrzec męża i z całą świadomością

skazać jednocześnie na rozstrzelanie Armanda i splamić dłonie krwią ukochaną... widzieć może jak umiera z przekleństwem na ustach! Byłaby także świadkiem konania starego ojca Zuzanny i tych innych, którzy uciekli z Francji przed gilotyną... a więc musiała czekać, wciąż czekać, a noc już bladła, szarzał wczesny świt, choć jutrenka nie zabłysła jeszcze. Morze szumiało cicho, jesienny powiew łagodnie muskał twarz, a puste wybrzeże milczało wciąż jak grób.

Nagle niewiadomo skąd, lecz blisko wesoly, silny głos zaśpiewał „Good save the King!“

ROZDZIAŁ XXX.

Jacht.

Krew zastygła w żyłach Małgorzaty. Odgadła raczej niż usłyszała, że straż gotowała się do walki. Czuła, że każdy żołnierz z szablą w ręku czeka przyczajony na skok.

Głos zbliżał się coraz bardziej. Wśród ogromu pustych skał i monotonnego szumu morza u stóp kamiennych urwisk nie można było określić, z jak daleka i skąd nadchodził ów beztroski śpiewak, wznoszący pieśń do Boga za swoim królem, i jakby nieświadomy, że był u progu śmierci. Słaby z początku głos brzmiał coraz potężniej i niekiedy kamyczek trącony widocznie nogą śpiewaka, toczył się po skaliściej przepaści i spadał na piaszczyste wybrzeże.

Małgorzata czuła, że życie i siły ją opuszczają. Śpiew zbliżał się powoli, Percy dochodził do miejsca zasadzki.

Wyraźnie słyszała szcęk broni Desgasa tuż przy sobie.

— Nie, nie! Boże mój! — jęknęła głucho. — Niech raczej krew Armanda spadnie na jej głowę! Niech raczej ona będzie jego zabójczynią, niech raczej Armand pogardzi nią i znienawidzi, ale Boże, Boże! wyratuj go za wszelką cenę!

Zerwała się z dzikim krzykiem i pobiegła wzdłuż skały, która służyła jej za oparcie. Spostrzegła czerwone światełko poprzez szpary desek chaty, rzuciła się ku niej i padła u stóp drewnianej ściany szałas, bijąc w nią pięściami i krzycząc z dziką namiętnością:

— Armandzie! Armandzie! strzelaj, na miłość boską! Twój wódz się zbliża! Zdradzono go! Czy słyszysz, Armandzie? Strzelaj, na imię boskie!

Ktoś ją pochwyił i rzucił na ziemię. Leżała teraz na trawie, płacząc i krzycząc konwulsyjnie wśród łez:

— Percy, mężu mój, uchodź, błagam się! Armandzie! czemu nie strzelasz?

— Niech jeden z was uciszy wrzaski tej kobiety — zawył Chauvelin, hamując się, aby jej nie uderzyć.

Zarzucono coś jakby płachtę na jej twarz. Nie mogła oddychać i znów zapanowało głuche milczenie.

Odważny śpiewak umilkł również, przestraszony widocznie oszalałym krzykiem Małgorzaty. Żołnierze wypełzli z ukrycia, gdyż wszelka ostrożność stała się zbyt dużą. W powietrzu jeszcze drżało echo rozdzierającego jęku młodej kobiety.

Ze strasznym przekleństwem, nie obiecującym nic dobrego dla tej, która śmiała wniwecz obrócić jego najdroższe plany, Chauvelin krzyknął słowa komendy:

— Wejść do chaty, chłopcy, i nie wypuścić stamtąd nikogo żywego!

Księżyc wychylił się znów z poza chmur. Ciemność osłaniająca wybrzeże, rozproszyła się, i srebrzyste promienie oblały okoliczne skały.

Kilku żołnierzy rzuciło się ku drzwiom, a dwóch zostało przy Małgorzacie. Drzwi były napół otwarte. Jeden z ludzi pchnął je, lecz wewnątrz panowała ciemność i tylko ognisko rozpalone w kącie chaty rzucało blask słaby. Żołnierze stanęli na progu, czekając na dalsze rozkazy.

Chauvelin, który spodziewał się gwałtownego ataku i śmiałego oporu ze strony zbiegów pod osłoną ciemności, oniemiał ze zdumienia, widząc swych ludzi, stojących na progu; z wnętrza chaty nie dochodził najmniejszy szelest.

Przejęty złowrogiem przecuciem, Chauvelin zbliżył się do drzwi i przeszukawszy spojrzeniem wewnątrz szalasu, zapytał śpiesznie:

— Co to ma znaczyć?...

— Myślę, obywatelu, że tu niema nikogo — odezwał się flegmatycznie żołnierz.

— Spodziewam się, że nie daliście uciec czterem łotrom! — zagrzmiął głos dyplomaty. — Rozkazałem wam, aby żywa dusza stąd nie uszła! Niech wszyscy prędko biegną za nimi! Śpieszcie się i szukajcie ich na wszystkie strony!

Żołnierze posłuszni jak automaty zbiegli ze skalistego urwiska ku wybrzeżu jedni na prawo, drudzy na lewo.

— Ty i twoi ludzie życiem zapłacą za twą pomyłkę, obywatelu sierżancie — rzekł Chauvelin pośpiesznie do sierżanta, „stojącego na czele oddziału. —

I ty również — dodał, zwracając się ze złością do Desgasa — za to, że nie słuchałeś moich rozkazów.

— Kazałeś nam czekać, obywatelu, póki nie nadejdzie wysoki Anglik i nie połączy się z czterema uchodźcami w chacie; a przecież nikt nie przyszedł — rzekł sierżant z naciskiem.

— Ale dałem wam rozkaz przed chwilą, gdy kobieta krzyknęła, aby wpaść do chaty i nie wypuścić nikogo.

— Tak, obywatelu, ale przypuszczam, że ludzie, którzy byli w tej chacie, musieli już wyjść przedtem.

— Przypuszczasz? Ty! — krzyknął Chauvelin, trzęsąc się ze złości — pozwoliłeś im uciec!

— Kazałeś nam czekać — zaprotestował sierżant — i słuchać ślepo pod karą śmierci, a więc czekaliśmy.

— Słyszałem, jak uciekali z chaty, jeszcze zanim skryliśmy się i zanim kobieta krzyknęła — dodał, podczas gdy Chauvelin milczał, dławiony wściekłością.

— Słuchajcie... — krzyknął nagle Desgas.

Woddali odgłos strzału rozdarł powietrze.

Chauvelin usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności, ale na nieszczęście psotny księżyc skrył się znów w chmurach i nie można było nic dojrzeć.

— Niech jeden z was wejdzie do chaty i rozpali ogień — zasyczał wkońcu.

Sierżant usłuchał rozkazu. Podszedł do rozżarzonych węgli i zapalił małą latarnię, która wisiała u jego pasa; chata była istotnie zupełnie pusta.

— Którędy poszli? — zapytał Chauvelin.

— Tego nie mogę ci powiedzieć, obywatelu — rzekł sierżant — wiem tylko, że zesli prostopadłe ze skały i zaraz znikli za pierwszym zakrętem.

— Cicho. Słuchajcie. Co to jest?

Trzej mężczyźni natężyli słuch. Woddali bardzo daleko usłyszano jakby plusk kilkunastu wiosł. Chauvelin wyjął chustkę i zaczął wycierać sobie czoło.

— Łódź jachtu — wykrztusił z trudnością.

Widocznie Armandowi St. Just i jego towarzyszom udało się umknąć wzdłuż skał, gdy tymczasem żołnierze, jako godni wojacy karnej armji republikańskiej, ze ślepem posłuszeństwem i w strachu o swe życie, wykonali co do joty rozkaz Chauvelina, który brzmiał: „czekać na wysokiego Anglika“.

Dobiegli bezwątpienia do jednego z przylądków, wysuwających się w morze w bliskich odstępach i za którym czekała łódź „Day Dream‘u“, a teraz dopływali już do angielskiego jachtu. Jakby na potwierdzenie tego przypuszczenia usłyszano daleki wystrzał armatni.

— Jacht — rzekł Desgas spokojnie — podnosi widocznie kotwicę.

Chauvelin wysilił całą wolę, aby nie wybuchnąć szalonym gniewem, równie bezcelowym jak i niestosownym.

Nie było żadnej wątpliwości, że przeklęty Anglik wywiódł go znów w pole. Jak mu się udało dościsnąć szalasu, nie będąc widzianym przez żadnego z trzydziestu żołnierzy, tego nie mógł zrozumieć.

Jasne było, że uczynił to, zanim trzydziestu żołnierzy doszło do wybrzeża, ale w jaki sposób dojechał tutaj w wózku Rubena Goldsteina i jak przedarł się z Calais niezauważony przez patrole krążące po całej okolicy? Istotnie, chyba jakieś bóstwo potężne czuwało nad tym zuchwałym „Szkarłatnym Kwiatem” — pomyślał z zimnym dreszczem Francuz, rozglądając się po olbrzymich skałach i opustoszałym wybrzeżu.

Ale przecież w roku 1792 nie chodziły już po świecie ani boginie, ani złośliwe fauny. Chauvelin i jego trzydziestu ludzi słyszeli wszyscy ten głos, śpiewający „God save the King” w dwadzieścia minut po otoczeniu chaty. W tym samym mniej więcej czasie czterej wygnańcy musieli dopaść łodzi, a najbliższy przylądek był odległy o milę od chaty. Gdzie znikł ten odważny śpiewak? Chyba sam szatan użył mu skrzydeł, gdyż inaczej nie mógł w przeciągu dwóch minut przebyć mili po tych skalistych urwiskach, a dwie minuty zaledwie minęły między jego śpiewem a pluskiem wioseł, słyszczanym daleko na morzu. Pozostał zatem gdzieś wtyle i ukrywał się na wybrzeżu.

Chauvelin pomyślał z radością, że patrole wciąż jeszcze czuwają, i wierzył, że spostrzegą go na pewno i schwyca. Otucha wstąpiła weń na nowo.

Dwaj żołnierze, którzy puścili się w pościg za uchodźcami, powracali zwolna po uciążliwej, skalistej drodze. Jeden z nich zbliżył się do Chauvelina w chwili, gdy nadzieja znów zawitała w sercu dyplomaty.

— Przyszliśmy za późno, obywatelu — rzekł żołnierz. — Dotarliśmy do wybrzeża, zanim księżyc skrył się w chmurach. Łódź musiała czekać za pierwszym przyładkiem, o milę stąd, ale gdy doszliśmy na miejsce, już była odpłynęła, i widzieliśmy ją na morzu, w pewnej odległości od brzegu. Strzeliliśmy, ma się rozumieć, ale bez skutku. Podpłynęła prosto do jachtu, który wyraźnie rysował się w świetle księżyca.

— A więc — rzekł Chauvelin, żądny szczegółów — mówisz, że łódź odpłynęła przed chwilą, a najbliższy przyładek znajduje się stąd o milę?

— Tak, obywatelu. Biegłem przez całą drogę prosto do morza i sądę, że łódź musiała czekać blisko skał nadbrzeżnych, gdyż przyływ dochodzi tam najwcześniej. Bezwątpienia łódź odpłynęła, zanim kobieta krzyknęła.

Zanim kobieta krzyknęła? W takim razie nadzieje Chauvelina były uzasadnione. „Szkarłatny Kwiat“ przyczynił się do odesłania naprzód wygnańców, a on sam nie zdążył już wsiąść na czołno i znajdował się wciąż jeszcze na ładzie. Nie było nic straconego, skoro bezwstydnym Brytyjczykiem nie opuścił jeszcze ziemi francuskiej.

— Przynies tu światło! — rozkazał żywo, wchodząc znowu do chaty.

Sierżant przyniósł latarnię i dwaj mężczyźni zaczęli przeszukiwać izbę. W mgnieniu oka Chauvelin obejrzał ją dokładnie. Zobaczył duży baniak, umieszczony w zagłębieniu muru, pod którym żarzyły się jeszcze dogasające węgle drzewne, dwa krzesła

przewrócone widocznie w pośpiechu ucieczki, a w kącie przyrzady i sieci rybackie oraz leżący na podłodze mały skrawek papieru.

— Podnieś to — rzekł Chauvelin do sierżanta, wskazując papier — i podaj mi.

Był to zmięty skrawek papieru, widocznie zapomniany przez uchodźców w pośpiechu ucieczki. Sierżant, przerażony złością i tłumioną wściekłością Chauvelina, podniósł go żywo i podał z uszanowaniem dyplomacie.

— Czytaj, sierżancie — rzekł krótko Chauvelin.

— Pismo jest nieczytelne, obywatelu... takie gryzmoły...

— Rozkazuję ci czytać — powtórzył Chauvelin popędliwie.

Przy świetle latarni sierżant zaczął odczytywać w pośpiechu nakreślone słowa.

„Nie mogę dotrzeć do was bez narażenia waszego życia. Gdy otrzymacie to pismo, zaczekajcie dwie minuty, a potem wyjdźcie z chaty jeden po drugim, skręćcie odrazu na lewo i spuśćcie się ostrożnie bez hałasu wzdłuż skał. Trzymajcie się ciągle strony lewej, aż do chwili, gdy dojdziecie do pierwszej skały, wrzynającej się w morze. Za nią znajduje się łódź, która się do was zbliży, gdy zagwizdniecie. Wsiądźcie do niej, a moi ludzie zawiozą was do jachtu, a potem do Anglii i wolności. Gdy będziecie na pokładzie „Day Dream‘u“, odeślijcie łódź zpowrotem do mnie i powiedzcie moim ludziom, że będę na nich czekał w zatoce, znajdującej się naprzeciwko „Burego Kota“ koło Calais. Znają to

miejsce i przyjdę tam wkrótce. Muszą czekać na mnie daleko na morzu, nim usłyszą zwykły sygnał. Śpieszcie się i wypełnijcie moje rozkazy co do litery.“

— Pod temi rozkazami jest podpis, obywatelu — dodał sierżant, podając papier dyplomacie.

Lecz Chauvelin nie czekał już dłużej. Jedno tylko zdanie z tego ważnego dokumentu dźwięczało mu w uszach: „będę czekał w zatoce naprzeciw „Burego Kota“ koło Calais“. Te słowa mogły mu jeszcze przynieść zwycięstwo.

— Który z was zna dokładnie wybrzeże? — krzyknął do żołnierzy, którzy powrócili z bezcelowego pościgu i stali znów koło chaty.

— Ja, obywatelu — rzekł jeden z nich — urodziłem się w Calais i znam dokładnie każdy kamień wybrzeża.

— Jest tu podobno mała przystań naprzeciwko „Burego Kota“?

— Tak, obywatelu, znam ją dobrze.

— Anglik zamierza tam dotrzeć i nie zna z pewnością każdego kamienia wybrzeża. Może nie obierze najkrótszej drogi. W każdym razie będzie szedł bardzo ostrożnie z obawy przed patrolami. Tysiąc franków dla tego, kto dotrze do przystani, zanim zjawi się tam długonogi Anglik.

— Znam ścieżkę, prowadzącą wprost jakby kto strzelił do zatoki — rzekł żołnierz z radością i skoczył naprzód, otoczony towarzyszami.

Po kilku minutach kroki ich umilkły w oddali. Chauvelin nadśluchiwał przez chwilę. Był pewien,

że obietnica tak hojnej nagrody wzmoże zapał żołnierzy republikańskich. I znów wyraz nienawiści i triumfu zabłysnął w jego oczach.

U jego boku stał wyprostowany Desgas, czekając na dalsze polecenia, a dwaj żołnierze klęczeli koło leżącej Małgorzaty. Chauvelin rzucił sekretarzowi złowrogie wejrzenie. Jego wspaniale obmyślane plany zawiodły i wynik całej akcji był problematyczny. Prawdopodobnie „Szkarłatny Kwiat” wymknie się znowu, a Chauvelin z wściekłością szukał kogoś, na kim mógłby wyrzucić zemstę.

Żołnierze trzymali mocno związaną Małgorzatę, choć biedaczka nie stawiała najłżejszego oporu. Opuściły ją resztki sił i opadła na ziemię zemdlona. Oczy jej otoczone sinemi kręgami świadczyły o długich, bezsennych nocach. Miała włosy zlepione na skroniach, a boleśnie skrzywione usta zdradzały dotkliwy ból fizyczny.

Wytworna i modna lady Blakeney, podbijająca Londyn urodą, dowcipem i zbytkiem, przedstawiała tragiczny obraz cierpiącej kobiecości i byłaby wzbudziła litość w każdym przechodniu, lecz nie w sercu przeciwnika, zawiedzionego w zemście.

— Niema celu pilnować dłużej tej napół żywej kobiety — odezwał się z pogardą do żołnierzy. — Pozwoliliście uciec pięciu ludziom żywym i zdrowym.

Żołnierze posłusznie podnieśli się z ziemi.

— A teraz odszukajcie ścieżkę, którą przyszliśmy tutaj, i wózek pozostawiony na drodze.

Nagle przyszła mu do głowy radosna myśl.

— Gdzie jest żyd?

— Niedaleko, obywatelu — rzekł Desgas. — Według twego rozkazu związałem go i zakneblowałem mu usta.

Jakby na potwierdzenie tego oświadczenia Chauvelin usłyszał w pobliżu cichy jęk. Podążył za sekretarzem i zobaczył leżącego ze związanymi nogami i zakneblowanymi ustami nieszczęśliwego potomka Izraela. Twarz jego w srebrnym blasku księżyca wydawała się zastygłą z przerażenia. Oczy miał szkliste, szeroko rozwarte, trząsł się na całym ciele jak w febrze, a z jego zsiniałych ust wydobywał się rozdzierający jęk. Sznur, którym go spętano, obsunął się z jego ramion i rąk, ale żyd widocznie nie zauważył tego, gdyż nie uczynił najmniejszego wysiłku, aby uciec z miejsca, gdzie go Desgas związał i zostawił.

— Przyrowadź mi tu tę tchórzliwą bestję — rozkazał Chauvelin.

Dyszał wściekłością i nie mogąc jej wyładować na żołnierzach, którzy zawinili jedynie zbyt gwałtownością, uznał, że syn tej przeklętej rasy ma odpokutować za wszelkie porażki i nieporozumienia.

Z właściwą Francuzom pogardą dla żyda, pogardą, która przetrwała wieki aż do obecnej doby, nie chciał zbliżyć się do niego, odczuwając wstręt i obrzydzenie. I gdy żołnierze przyprawdzili mu starca i postawili go przed nim w świetle księżyca, Chauvelin rzekł z gorzką ironją:

— Spodziewam się, że jako żyd masz dobrą pamięć i nie zapomniesz o naszej umowie.

— Odpowiadaj! — krzyknął, gdy Rosenbaum ze strachu nie mógł wykrztusić słowa.

— Tak, wasza wysokość — wyjąkał biedak trwożnie.

— Pamiętasz zatem o ugodzie, którą zawarliśmy w Calais, gdy podjąłeś się wyprzedzić Rubena Goldsteina, jego szkapę i mego przyjaciela Anglika.

— Ale, wasza wysokość...

— Niema tu żadnego ale. Zapytuję, czy pamiętasz?

— Taaak... wasza miłość...

— Jaki był układ?

Zapanowało grobowe milczenie. Nieszczęśliwy żyd rozglądał się dokoła, patrzył na skały zalane księżycowem światłem, na rubaszne twarze żołnierzy i na biedną, omdlałą postać kobiecą, leżącą tak niedaleko, ale nie odrzekł ani słowa.

— Czy odpowiesz wreszcie?

Usiłował przemówić, ale nie mógł, wiedząc czego spodziewać się należy od owego bezlitosnego człowieka.

— Wasza wysokość... — szepnął błagalnie.

— Wobec tego, że trwoga sparaliżowała ci język — rzekł sarkastycznie Chauvelin — muszę ci teraz odświeżyć pamięć. Ułożyliśmy się, że jeżeli dopędzisz mego przyjaciela, dostaniesz 10 sztuk złota.

Cichy jęk wydobył się z drżących ust starca.

— Zaznaczyłem — dodał Chauvelin z naciskiem — że jeżeli zawiedziesz mnie, otrzymasz porządne kije, które oduczą cię kłamstwa raz na zawsze.

— Nie skłamałem, wasza wysokość, przysięgam na Abrahama...

— I na wszystkich patriarchów, nieprawdaż? Niestety, według waszych wierzeń znajdują się oni jeszcze w otchłaniach, skąd nie mogą ci pomóc w obecnej sytuacji. Słowem, nie dotrzymałeś swoich zobowiązań, ale ja jestem gotów dotrzymać moich.

— Hej, ludzie! — zawołał, zwracając się do żołnierzy — wygarbujcie pasami grzbiet tego przekłętogo żyda!

Żołnierze posłusznie zaczęli zdejmować ciężkie, skórzane pasy, a Rosenbaum krzyczał tak przeraźliwie, że głos ten mógł z pewnością wywołać z otchłani wszystkich patriarchów, aby bronili potomka Izraela od okrucieństwa władz francuskich.

— Sądzę, że mogę się spuścić na was, obywatele żołnierze? — zaśmiał się szyderczo Chauvelin — że wymierzycie temu staremu kłamcy najstraszliwszą karę, jaką kiedykolwiek otrzymał. Ale nie zabijcie go — dodał sucho.

— Słuchamy — odpowiedzieli żołnierze, jak zwykle niewzruszeni i posłuszni.

Chauvelin wiedział, że mógł liczyć na swoich ludzi, którzy rozdrażnieni jego wymówkami i gniewem szukali sposobności wywarcia na kimś swej zemsty.

— Gdy ten tchórz otrzyma chłostę — rzekł do Desgasa — żołnierze zaprowadzą nas do wózka i je-

den z nich zawiezie nas zpowrotem do Calais. Żyd i ta kobieta mogą się wzajemnie pocieszać — dodał twardo — póki nie przyślemy kogoś po nich w ciągu dnia. Nie mogą uciec zbyt daleko w stanie, w jakim się obecnie znajdują.

Chauvelin nie dał za wygranę. Wiedział, że żołnierze nie zaniedbają niczego wobec przyrzeczonej nagrody. Ten zagadkowy „Szkarłatny Kwiat“, otoczony trzydziestoma ludźmi, nie mógł przecież umknąć po raz drugi. Ale mimo wszystko Chauvelin stracił pewność siebie. Zuchwalstwo Anglika pobiło go, a głupota żołnierzy i rozpaczliwe krzyki kobiety pokrzyżowały jego plany. Wszak byłby dopiął celu, gdyby Małgorzata nie była mu weszła w drogę i gdyby straż była okazała odrobinę sprytu... Chauvelin zasepił się głęboko, przeklinając żołnierzy, Anglika i szaloną lady Blakeney.

Cicha noc, pogodna i milcząca, przesycona wonią morza, oblana jasnym blaskiem księżyca, mimo szumu fal srebrzystych, tchnęła spokojem i urokiem, a Chauvelin przeklinał ją jako noc swej klęski, którą mu zadał długonogi angielski intrygant.

Ryki bitego żyda krzepiły jego serce. Uśmiechnął się i rzucił ostatnie wejrzenie na puste wybrzeże i na drewnianą chatę, oblana światłem księżycowym, na ową chatę, w której doznał najdotkliwszej porażki, jaka kiedykolwiek spotkała członka „komitetu bezpieczeństwa publicznego“.

Na skale, jakby na łożu z kamieni, leżała zemdlna postać Małgorzaty Blakeney, a o parę kroków od niej wił się z bólu nieszczęsny żyd pod ra-

zami żołnierzy republikańskich. Krzyki Benjamina Rosenbauma były tak przeraźliwe, że musiały w każdym razie obudzić wszystkie mewy i zniewolić je do przyglądania się ze zdumieniem czynom królów stworzenia.

— Wystarczy... — rozkazał Chauvelin, gdy jęki żyda zaczęły słabnąć i zdawało się, że biedak zemdlał. — Nie mieliście przecie go zabijać.

Żołnierze posłusznie włożyli znów pasy, a jeden z nich kopnął jeszcze żyda z pogardą w bok na pożegnanie.

— Zostawcie go tu — rzekł dyplomata — i wskażcie mi drogę do wózka. Idę z wami.

Zbliżył się do leżącej Małgorzaty i spojrzał jej w twarz. Wracała powoli do przytomności i usiłowała się podnieść. Jej duże niebieskie oczy objęły trwożnym spojrzeniem krajobraz, oblany światłem księżyca, i spoczęły z wyrazem zgrozy i litości na żydzie, którego dzikie ryki usłyszała, wracając do przytomności.

Po chwili spostrzegła Chauvelina. Uśmiechał się ironicznie, a blade oczy spoglądały na nią z wyrazem niewypowiedzianej złośliwości.

Z udaną galanterją schylił się i podniósł do ust jej lodowatą rękę. Małgorzata wzdrygnęła się ze wstrętem.

— Żałuję niezmiernie piękna pani, że okoliczności zmuszają mnie do pozostawienia cię w tem pustkowiu. Ale odchodzę w tem przekonaniu, że nie pozostawiam cię bez opieki. Nie wątpię, że nasz przyjaciel — tu obecny Benjamin — aczkolwiek trochę

zmaltretowany, okaże się z pewnością rycerskim obrońcą twojej czarującej osoby. O świcie przyśle ludzi po ciebie i aż do tego czasu Benjamin będzie na twoje usługi.

Małgorzata miała dość siły, aby odwrócić głowę. Od chwili powrotu do przytomności jedna myśl ją dręczyła: co stało się z Percym? Co się działo z Armandem?

Nie pamiętała co zaszło, gdy w nocnej ciszy rozległ się wesoły śpiew „God save the King“, który był sygnałem śmierci.

— Muszę cię pani opuścić, niestety — ciągnął dalej Chauvelin — „au revoir“ lady Blakeney, zobaczymy się niebawem w Londynie, mam nadzieję. Czy będę miał przyjemność spotkać cię na garden party u księcia Walji? Nie? A więc dowidzenia i proszę o najserdeczniejsze pozdrowienie w moim imieniu dla sir Percy'ego.

I skłoniwszy się jeszcze raz, zniknął na skrawku ścieżki, poprzedzony przez oddział żołnierzy.

ROZDZIAŁ XXXI.

Ucieczka.

Napół przytomna Małgorzata wsłuchiwała się w oddalające się kroki. Po chwili dobiegł do niej turkot starego wózka i drobny truchcik kulawej szkapy. Z ulgą pomyślała, że jej śmiertelny wróg oddalił się już. Nie wiedziała, jak długo leżała na twardych głazach. Spojrzała na niebo jaśniejące promieniami księżyca i czuła, jak orzeźwiający powietrze morskie chłodziło jej twarz pałającą. Dookoła trwała cisza i sennie falowało napół uśpione morze. Tylko myśl Małgorzaty czuwała, dręczona męką niepewności.

 Nie wiedziała!

 Nie wiedziała, czy w tej chwili Percy nie znajdował się w rękach władz republikańskich i nie znosił jak ona katuszy, naigrawań i szyderstwa wrogów. Nie wiedziała, czy skrwawione ciało Armanda nie leży gdzieś w pobliżu i czy nie dowiedział się Percy, że jego żona dopomogła katom do zamordowania brata i jego przyjaciół.

 Znużenie jej było tak straszliwe, że pragnęła zostać na zawsze tutaj, pod tem jasnym niebem, kołysana szumem fal i tym balsamicznym powiewem jesiennym, przesyconym taką bezgraniczną melan-

cholją. W głuchej ciszy nie było słycać żadnego odgłosu. Umilkło nawet słabe echo turkotu oddalającego się wózka.

Nagle... rozległ się szmer, jakby dźwięk, tak nieoczekiwany, tak dziwny, że Małgorzata napół martwa ze znużenia pomyślała, że dobroczynny ostatni sen zbliżającej się śmierci przynosi jej kojące widziadła.

Był to poczciwy, potężny, prawdziwie angielski wykrzyk „Damm!”

Mewy obudziły się w gniazdach i rozejrzały ze zdziwieniem.

W oddali sowa huknęła, a majestatyczne złomy skalne niechętnie i wyniośle powtórzyły echo tego bluźnierczego przekleństwa.

Małgorzata nie wierzyła słuchowi. Dźwignęła się na rękach, wyteżyła wszystkie zmysły, aby widzieć, słyszeć i rozumieć, co się stało.

Lecz dźwięk umilkł i znów wybrzeże morskie zatoneło w milczeniu i ciemności.

Małgorzata, która kilka chwil przeżyła jakby w ekstazie, myśląc że śni w tej nocy gwiazdzistej i fantastycznie pięknej, usłyszała znowu ów dźwięk. Serce jej przestało bić. Spojrzała dokoła rozszerzonymi oczami, nie chcąc jeszcze wierzyć w rzeczywistość, w uczucie, że wciąż marzy.

— A do diabła, byłbym wolał, gdyby te przeklęte katy nie były trzepały tak mocno!

Nie było wątpliwości; tylko jedne na świecie usta nawskroś brytyjskie mogły wymówić te słowa takim powolnym, afektowanym tonem.

— Damm! — powtórzyły te same brytyjskie usta. — Jak Boga kocham — jestem słaby jak szczur!

Małgorzata zerwała się błyskawicznie. Czy śniła, czy te wielkie kamienne skały są bramami niebios? Czy wonny powiew wiatru stał się falowaniem skrzydeł anielskich, przynoszących bezmiar nadziejskiej radości po przebytych cierpieniach? Albo może poprostu majaczy w gorączce, słysząc ów głos najdroższy?

I znów doszły do niej te same dźwięki nawskroś ziemskie, dźwięki kochanej mowy angielskiej, niepodobne w niczem do śpiewów niebiańskich, ani trzepotu anielskich skrzydeł.

Objęła spojrzeniem olbrzymie skały, pustą chatę i ogrom piaszczystego wybrzeża. Tam nad nią lub pod nią, za urwistą ścianą lub w jakiejś rozpadlinie musiał znajdować się właściciel tego głosu, niewidoczny dla jej rozgorączkowanych oczu. Ten który dawniej drażnił ją i niecierpliwił, a który obecnie uczyniłby ją najszcześniejszą kobietą w Europie, gdyby tylko mogła odgadnąć, gdzie się znajdował...

— Percy! — krzyknęła z namiętą czułością, dręczona strachem i nadzieją. — Jestem tu! Przyjdź do mnie, gdzie jesteś Percy?

— Jak to ładnie z twojej strony, że mnie wzywasz! — odpowiedział ten sam głos powolny — ale Bóg mi świadkiem, że nie mogę przyjść do ciebie. Ci przekłeci zjadacze żab związali mnie jak gęś na różnie; jestem słaby jak mysz i nie mogę się ruszyć.

Małgorzata jeszcze nie rozumiała i nie mogła się zorientować, z której strony dochodził głos, ten drogi powolny głos, tak słaby i tak bolesny. Nikogo nie widziała, prócz sylwetki opartego o ścianę... wielki Boże! żyd!... czy śni jej się, czy już oszalała?

Napół leżąc, usiłował powstać, wspierając się na silnie skrępowanych rękach. Małgorzata zerwała się, pobiegła ku niemu, wzięła w obie ręce jego głowę i spojrzała prosto w parę niebieskich oczu, tak dobrych, tak łagodnych, lśniących wesołością, w doskonale ucharakteryzowanej twarzy żyda.

— Percy, mężu mój! — szepnęła drżąc z nadmiaru szczęścia. — Boże dzięki ci, dzięki!

— Tak moja droga — odrzekł wesoło — za chwilę podziękujemy Bogu oboje, jeżeli potrafisz uwolnić mnie z tych sznurów i zmienić moją mało elegancką pozycję.

Nie miała noża, palce jej były słabe i zeszywniałe, ale posługiwała się zębami, a duże, ciężkie łzy spływały z jej oczu na biedne skrępowane ręce.

— Nareszcie — zawołał, gdy po nadludzkich wysiłkach żony sznury się rozluźniły. — Ciekawym, czy zdarzył się już kiedykolwiek taki fakt, aby angielski dżentelmen dał się zbić byle jakim obcokrajowcom, nie usiłując nawet zrewanżować się im w należyty sposób?

Widocznie bardzo był wyczerpany, bo kiedy sznury opadły, zachwiał się i ciężko upadł na skalę.

Małgorzata spojrzała bezradnie dokoła.

— Ach! gdybym znalazła choć kroplę wody na tem okropnem pustkowiu! — zawołała z rozpaczą,

obawiając się, aby Percy nie zapadł znów w omdlenie.

— Nie kochanie — szepnął ze swobodnym uśmiechem. — Wolałbym stanowczo kroplę dobrego francuskiego koniaku! Jeżeli zechcesz włożyć rękę do kieszeni tego olbrzymiego chałatu, to znajdziesz moją manierkę. Niech mnie djabli wezmą, jeżeli mogę się ruszyć!

Napił się nieco koniaku i zmusił Małgorzatę, aby uczyniła to samo.

— Czujemy się lepiej, czy nie? — rzekł westchnawszy z ulgą. — Ale daję słowo, że baronet Percy Blakeney znajduje się w obecności damy swych myśli w stroju oryginalnym... to nie ulega wątpliwości. Nie goliłem się nawet od przeszło 20 godzin — dodał przesunawszy ręką po brodzie. — Muszę wyglądać wstrętnie. No, a te pejsy!...

Śmiejąc się, zdjął szpecącą go perukę, wyciągnął obolałe członki skurczone w ciągu tylu godzin i spojrział przeciągle i badawczo w niebieskie oczy żony.

— Percy — szepnęła, oblewając się gorącym rumieńcem — gdybyś wiedział...

— Wiem kochanie, wiem o wszystkim — rzekł z niewysłowioną słodyczą.

— Czy będziesz mógł mi kiedy przebaczyć?

— Nie mam ci nic do przebaczenia kochanie. Twój heroizm, twoje przywiązanie, na które tak mało niestety zasłużyłem, okupiły aż nadto nieszczęsny epizod na balu.

— Wiedziałeś? — szepnęła z trwoga.

— Tak — odrzekł łagodnie. — Wiedziałem, ale gdybym był przypuszczał, jak szlachetne masz serce, moja Margot, byłbym ci zaufał, jak na to zasługiwałaś, zamiast narażać cię na straszne cierpienia ostatnich godzin.

Siedzieli obok siebie wsparci o skałę. Percy złożył zboląłą głowę na ramieniu Małgorzaty, która czuła obecnie, że jest najszczęśliwszą kobietą w Europie.

— Sprawdza się bajka o ślepym i paralityku, kochanie — rzekł z dawnym pocziwym uśmiechem. — Morbleu! nie wiem co więcej boli, czy moje plecy, czy twoje nóżki!

Schylił się, aby je ucałować, gdyż wyglądały z podartych pończoch jak smutne świadectwo jej wytrwałości i przywiązania.

— A jaki jest los Armanda? — zapytała z nagłym lękiem i wyrzutem sumienia. Wśród niewypowiedzianego szczęścia obraz umiłowanego brata, dla którego popełniła tak wielką zbrodnię, stanął jej przed oczami.

— Nie obawiaj się o Armanda najdroższa — odparł z czułością sir Percy. — Czy nie dałem ci słowa, że nic mu się złego nie stanie? Armand wraz z Tournay'em znajduje się obecnie na pokładzie „Day Dreamu.“

— Jakim sposobem? nic nie rozumiem...

— Ach, to bardzo proste — rzekł z nieśmiałym uśmiechem. — Posłuchaj więc: gdy przekonałem się, że ten nędznik Chauvelin zamierza przyczepić się

do mnie jak pijawka, pomyślałem, że skoro nie mogę się go pozbyć, najlepiej będzie zabrać go ze sobą. Musiałem za wszelką cenę dojść do Armanda i jego towarzyszy, a wszystkie drogi były strzeżone i wszyscy dokoła szukali twego pokornego sługi. Wiedziałem, że gdy wyśliznąłem się ze szponów Chauvelina pod „Burym Kotem“, będzie na mnie czekał tutaj. Chodziło o to, aby nie stracić go z oczu i wiedzieć co zrobi; w rezultacie angielska pomysłowość nie powstydziała się francuskiego dowcipu i wykazała więcej przebiegłości.

Serce Małgorzaty wezbrało radością i podziwem, gdy słuchała chciwie opowiadania o śmiałym uskutecznienu ucieczki zbiegów.

— Przebrany za starego żyda — opowiadał wesoło Percy — ufałem, że mnie nikt nie pozna. Spotkałem Rubena Goldsteina w Calais wczesnym wieczorem. Za parę sztuk złota pożyczył mi tego chałatu i obiecał ukryć się przez parę godzin i wynająć mi wózek i szkapę.

— I nie lękałeś się, że Chauvelin cię pozna mimo przebrania?

— W takim razie byłbym przegrał partję — odrzekł spokojnie. — Zaczynam dokładnie zdawać sobie sprawę z ludzkiej natury — dodał z cieniem smutku w młodym wesołym głosie — i znam Francuzów na wylot. Oni tak nienawidzą żydów, że trzymają ich zawsze o parę kroków od siebie, a zdaje mi się, że uczyniłem wszystko co mogłem, aby wzbudzić wstręt do mojej osoby.

— Tak, a potem? — pytała.

— Później przeprowadziłem plan. Z początku zamierzałem wszystko pozostawić losowi, ale gdy usłyszałem rozkazy Chauvelina, powiedziałem sobie, że muszę koniecznie przyjść z pomocą przeznaczeniu. Budowałem swe plany na ślepe posłuszeństwie żołnierzy. Chauvelin rozkazał im, aby pod karą śmierci nie ruszyli z miejsca, zanim przyjdzie, a Desgas złożył mnie jak worek tuż koło chaty. Straż nie zwracała najmniejszej uwagi na żyda, który przywiózł Chauvelina. Po długich wysiłkach udało mi się uwolnić ręce z więzów, któremi ten zbój mnie skrępował. Noszę zawsze przy sobie ołówek i papier; nakreśliłem więc śpiesznie parę ważnych wskazówek, na skrawku papieru, a potem rozejrzałem się wkoło. Przyczołgałem się do szalasu pod sam nos żołnierzy, ale ani nie drgnęli, jak to im Chauvelin polecił; mogłem więc wrzucić do chaty ów skrawek papieru przez szparę w ścianie. Następnie czekałem. W tej notatce rozkazałem wygnańcom, aby wyszli cicho z chaty, spuścili się ze skały na wybrzeże, trzymając się lewej strony, póki nie dojdą do pierwszego przyładku. Następnie mieli dać umówiony sygnał, aby zabrała ich łódź „Day Dreamu“, stojąca w pogotowiu. Usłuchali mnie ślepo na szczęście ich i moje. Żołnierze usłuchali także ślepo Chauvelina. Poczekałem z pół godziny i gdy przekonałem się, że moi przyjaciele są uratowani, dałem śpiewem sygnał, który wywołał ów popłoch. Oto cała historia.

Małgorzata była olśniona genialną pomysłowością śmiałego spisku i bezprzykładną odwagą męża, któ-

re ten niezrównany plan uwieńczyły pomyślnym skutkiem.

— Ci nędznicy pobili cię! — szepnęła z niepokojem, przypominając sobie nikczemne ich postępowanie.

— Tak, lecz na to nie było już rady — rzekł z czułością. — Musiałem przecież pozostać przy swojej drogiej Margot, której los był tak niepewny! Ale mniejsza o to — dodał wesoło — nie lękaj się! Przysięgam ci, że gdy tylko Chauvelin powróci do Anglii, zapłaci mi za te kije z procentem.

Małgorzata zaśmiała się. Tak jej było dobrze u jego boku, wsłuchanej w ten radosny głos, wpatrzonej w filuterny blask niebieskich oczu...

Nagle drgnęła. Rumieniec szczęścia zbladł na jej twarzy i błysk radości zgasł w jej oczach. Usłyszała ostrożne kroki i odgłos kamienia, staczającego się ze szczytu skały prosto na wybrzeże.

— Co to jest? — szepnęła w śmiertelnej trwodze.

— Ależ nic, kochanie — odparł ze śmiechem. — To tylko mała bagatelka, o której zapomniałaś... mój przyjaciel Ffoufkes!

— Sir Andrew!

W istocie zapomniała zupełnie o wiernym przyjacielu i towarzyszu, który zaufał jej i stał przy jej boku podczas tych strasznych godzin niepewności i udręczenia. Przypomniała go sobie teraz i odczuła wyrzut sumienia.

— Wszak prawda, że zapomniałaś o nim? — rzekł sir Percy żartobliwie. — Na szczęście spotkałem go niedaleko gospody pod „Burym Kotem“

przed ową zajmującą kolacją z moim przyjacielem Chauvelinem... Ale mam rozmaite porachunki — i z tym młodym nicponiem! Tymczasem wskazałem mu pewną długą i okrężną drogę, której ludzie Chauvelina nigdy nie odkryją i która miała doprowadzić go tutaj, gdy nie będzie nam już przeszkadzał.

— I usłuchał? — zapytała Małgorzata ze zdziwieniem.

— Bez słowa protestu. Patrz — oto nadchodzi. Bez wątpienia sir Andrew będzie dla młodej Zuzanny najidealniejszym i najbardziej przywiązany mężem.

Tymczasem sir Andrew Ffoulkes posuwał się ostrożnie wśród skał; przystawał kilka razy, aby posłuchać cichych szeptów, które mu wskazywały miejsce, gdzie ukrywał się Blakeney.

— Blakeney! — szepnęła ostrożnie — Blakeney! czy to ty?

W tej samej chwili okrążył skałę, ukrywającą sir Percy'ego z Małgorzata, i widząc ohydny postać żyda w długim chałacie, zatrzymał się osłupiały.

Ale już Blakeney zerwał się na równe nogi i zawołał śmiejąc się:

— To ja przyjacielu, to ja — żyw i cały, choć wyglądam jak straszidło w tych wstrętnych szmatach.

— Na Boga — krzyknął sir Andrew zdumiony, poznając wodza — do stu...

Młodzieniec spostrzegł Małgorzatę i przerwał dosadne słowa przekleństwa, cisnące mu się na usta, na

widok wytwornego Blakeneya w tem okropnem przebraniu.

— Tak — rzekł Blakeney — do stu... hm, przyjacielu, nie miałem czasu dotąd zapytać się, co robisz we Francji, gdy kazałem ci pozostać w Londynie? Niesubordynacja? Co? Poczekaj, aż mi się plecy zgoją, a zobaczysz co oberwiesz!

— Zniosę karę z przyjemnością, choćby dlatego żeś cały i żyw — odrzekł sir Andrew z rozrzewnieniem — czy miałem pozwolić, aby lady Blakeney odbyła podróż sama? Ale, człowiecze, na imię Boskie, skąd wzięłeś to nadzwyczajne ubranie?

— Ono jest rzeczywiście niezwykle — zaśmiał się wesoło sir Percy. — Ale teraz Ffoulkes — dodał z nagłą powagą — nie mamy czasu do stracenia. Ten nędznik Chauvelin może każdej chwili po nas przysłać żołnierzy.

Małgorzata czuła się tak szczęśliwą, że byłaby tu pozostała na zawsze, wsłuchując się w głos męża i zadając mu tysiące pytań. Ale na wzmiankę o Chauvelinie zdrząła o drogie życie.

— Jak my się stąd wydostaniemy? — jęknęła. — Wszystkie drogi są strzeżone aż do Calais.

— Nie pójdziemy do Calais, najdroższa — rzekł sir Percy — ale na drugą stronę przylądka Gris Nez, najdalej pół mili stąd. Łódź „Day Dreamu“ czeka tam na nas.

— Łódź „Day Dreamu“?

— Tak — zaśmiał się wesoło — to znów mała sztuczka przeze mnie wymyślona. Zapomniałem ci

powiedzieć, że gdy wrzuciłem ową notatkę do chaty, dodałem drugą dla Armanda, którą kazałem mu w chacie zostawić, celem wysłania Chauvelina i jego ludzi w pogoni za mną zpowrotem do gospody pod „Burym Kotem“. Ale tylko pierwszy skrawek papieru zawierał prawdziwe rozkazy dla Armanda i starego Briggesa. Poleciałem mu wypłynąć na pełne morze i kierować się na zachód. Gdy będzie już niewidoczny z Calais, wyśle łódź do małej przystani dobrze nam znanej za przylądkiem Gris Nez. Moi ludzie czekają tam na nas. Mamy umówiony sygnał i znajdziemy się niedługo żywi i zdrowi na pokładzie „Day Dreamu“, gdy tymczasem Chauvelin i jego żołnierze będą pilnowali małej zatoki naprzeciw gospody pod „Burym Kotem“.

— Po drugiej stronie Gris Nez? Ach, ja nie mogę ująć ani kroku Percy — jęknęła bezradnie, czując, że mimo wysiłków nie była w stanie utrzymać się na zbolątych nogach.

— Zaniose cię kochanie — rzekł czule. — Wiesz przecież, że jak w bajce ślepy musi nieść paralytyka!

Sir Andrew pośpieszył z pomocą, ale Percy nie chciał powierzyć innym rękom ukochanego brzemienia.

— Gdy będziemy bezpieczni na pokładzie jachtu — rzekł do młodego towarzysza — a oczy panny Zuzanny nie przyjmą mnie w Anglii z wyrazem pełnym wyrzutu, dopiero wówczas odpocznę za wszystkie czasy.

I mimo zmęczenia i ran objął potężnymi ramionami znękaną, biedną Małgorzatę i podniósł ją w górę jak piórko.

Sir Andrew oddalił się dyskretnie, by nie słyszeć szeptów pełnych czułości tych dwojga ludzi, którzy wreszcie odnaleźli swe szczęście.

Blakeney zapomniał o zmęczeniu i choć ramiona musiały mu boleśnie dolegać, mięśnie jego były ze spiżu, a wytrzymałość wprost niewyczerpana. Niełatwa była ta półmilowa przeprawa po kamienistych zboczach, ale ani przez chwilę nie opuściły go siły i ani razu nie zachwiał się pod drogim ciężarem.

Szedł naprzód pewnym krokiem, silnymi ramionami obejmując żonę, napół przytomną z radości, wpatrzoną przy blasku wschodzącej jutrzzenki w pogodną twarz męża o przymkniętych oczach, jaśniejących uśmiechem.

Usta jej szeptały słowa, które skracaly uciążliwą drogę i koily jak balsam zbolale członki.

Złocista jutrzienka plonęła na wschodzie, gdy dotarli do zatoki, położonej z drugiej strony Gris Nez. Na umówione hasło łódź zbliżyła się i dwaj silni marynarze brytyjscy przenieśli mylady do czółna.

W pół godziny później wszyscy troje stali na pokładzie „Day Dreamu“. Załoga, która oczywiście musiała być wtajemniczona w sprawy pana i która oddana mu była duszą i ciałem, nie zdziwiła się bynajmniej, widząc go w tak dziwnem przebraniu.

Armand, St. Just i inni zbiegowie francuscy czekali niecierpliwie na przybycie zbawcy. Ale Percy nie chciał od nich przyjąć wyrazów wdzięczności.

Zeszedł śpiesznie do prywatnej kajuty, zostawiając Małgorzatę w objęciach brata.

Jacht „Day Dream“ był urządzony z wytwornym smakiem, tak drogim sercu sir Percy'ego i zanim dopłynął do portu w Dover, Blakeney przebrał się w ulubione bogate szaty, które zawsze woził ze sobą na okręcie.

Trudniejsze okazało się zaopatrzenie mylady w parę bucików; mały chłopiec okrętowy ucieszył się niemało, gdy mylady orzekła, że wysiadzie na brzegach Anglii w jego odświętnych trzewikach.

.....

Na wspaniałym ślubie baroneta Andrew Ffoulkesa i panny Zuzanny de Tournay, na którym był obecny jego królewska wysokość książę Walji i elita towarzystwa, najpiękniejszą kobietą była niezaprzeczenie lady Blakeney, a wspaniały strój sir Percy'ego stanowił przez długi czas jedyny temat rozmów w kołach złotej młodzieży londyńskiej.

Oczywiście, mr. Chauvelin, zaufany agent republikańskiego rządu francuskiego, nie był obecny na tej uroczystości i już nigdy od czasu owego sławnego balu u lorda Grenville'a nie widziano go w salonach.

KONIEC.

Spis rozdziałów.

	Str.
I. Paryż we wrześniu 1792 roku	I
II. „Odpoczynek Rybaka“ w Dover	11
III. Ocaleni	22
IV. Liga „Szkarłatnego Kwiatu“	32
V. Małgorzata	42
VI. Elegant z roku 1792	49
VII. Tajemniczy ogród	62
VIII. Zaufany agent	70
IX. Zamach	84
X. W loży operowej	93
XI. Bal u lorda Grenville'a	112
XII. Skrawek papieru	121
XIII. Ten albo tamten	131
XIV. Punkt pierwsza	135
XV. Niepewność	145
XVI. Richmond	152
XVII. Pożegnanie	170
XVIII. Tajemnicze godło	179
XIX. Szkarłatny Kwiat	185
XX. Przyjaciół	197
XXI. Nieoczekiwana przeszkoda	206
XXII. Calais	217
XXIII. Nadzieja	229

	Str.
XXIV. Zasadzka	238
XXV. Orzeł i lis	247
XXVI. Żyd	258
XXVII. Na śladzie	271
XXVIII. Chata ojca Blancharda	280
XXIX. Schwytni	291
XXX. Jacht	297
XXXI. Ucieczka	313



Biblioteka Główna UMK



300000793945